



JERZY EDIGEY

SZKLANKA CZYSTEJ WODY

CZYTELNIK



Ebook został zdygitylizowany z gazetowej wersji książki,
która ukazywała się w „Dzienniku Zachodnim”
od 22 października do 08 grudnia 1973 roku.

W serii z jamnikiem książka została wydana w 1974r.

ROZDZIAŁ 1

Telefon od dyrektora

W malutkim pokoiku — dyżurce pielęgniarek dzwonek telefonu rozlegał się tak głośno, że słycać go było na drugim końcu korytarza szpitalnego. Siostra dyżurna, siedząca przy biało lakierowanym biurczku, podniosła słuchawkę. Z wyraźną niechęcią rzuciła:

— Chirurgia!

Z drugiej strony drutu ktoś powiedział parę słów. Pielęgniarka odruchowo wyprostowała się na krześle i możliwie najgrzeczniejszym tonem odpowiedziała:

— Tak jest panie dyrektorze. Pan doktor Niekwasz jest w zabiegowym. Rozumiem. Zaraz go zawiadomię.

Dziewczyna położyła słuchawkę, wstała z krzesła i wyszła na korytarz. Trzecie drzwi na prawo to sala zabiegowa. Na stole leżał chory, któremu dwie pielęgniarki sprawnie zmieniały opatrunek. Nieco z tyłu stał wysoki mężczyzna w białym ubraniu. Z uwagą śledził ruchy pielęgniarek i wyjaśniał coś choremu. Widać było, że lekarz jest skrajnie zmęczony czy też zdenerwowany. Oczy jak gdyby wpadły w głąb czaszki, zaś na brodzie i policzkach rysował się ciemny zarost. Ten człowiek nie golił się chyba od dwóch dni.

— Panie doktorze — zameldowała wchodząca — pan dyrektor prosił, aby pan zaraz do niego przyszedł.

— Dziękuję — odpowiedział lekarz — pójdę jak tylko skończymy opatrunek. Siostra zadzwoni do dyrektora i mu to powtórzy.

— Mówiłam panu dyrektorowi, że pan jest zajęty, ale dyrektor wyraźnie powiedział, żeby pan doktor natychmiast

przyszeli.

— Dobrze, dobrze - lekarz był nieco zirytowany — nie pali się. Pielęgniarka wyszła z salki, po cichu zamykając drzwi.

Po dziesięciu minutach Zygmunt Niekwasz nacisnął klamkę pokoju opatrzonego tabliczką „dyrektor szpitala”. W gabinecie przy okrągłym stoliku siedział starszy, dość tęgi człowiek o czerwonej twarzy i siwiejących włosach. Gośćmi dyrektora, doktora Stefana Postomskiego, było dwoje ludzi: kobieta w czerni, w kapeluszu z welonem z krepy i mężczyzna również w ciemnym garniturze i czarnym krawacie.

Dyrektor szpitala dokonał prezentacji:

— Oto kolega Zygmunt Niekwasz, ordynator oddziału chirurgii, pani dyrektorowa Maliszewska, pan dyrektor Kowalewski.

Niekwasz w milczeniu ucałował podaną sobie kobietą dłoń i uściśnął rękę mężczyzny. Na zapraszający gest. lekarz zajął pozostałe, czwarte krzesło.

— Właśnie, panie kolego — wyjaśnił dyrektor szpitala — opowiadałem państwu, z jakim ogromnym poświęceniem walczył doktor o życie pana Maliszewskiego. Niestety, my lekarze nie jesteśmy cudotwórcami. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, ale wszelki ratunek był spóźniony. Chory zdecydował się na operację zbyt późno. Bardzo ostry stan zapalny, silne zapalenie otrzewnej. Do tego dołączył się krwotok wewnętrzny. Nie było żadnych szans na utrzymanie pacjenta przy życiu. Pan doktor Niekwasz przez dwa dni nie odchodził od jego łóżka. Stosowaliśmy wszystko, co tylko było możliwe. Niestety... — Postomski rozłożył ręce.

— Jestem najzupełniej przekonany — potwierdził Stanisław Kowalewski — że chory miał tutaj najlepszą opiekę. Nie raz i nie dwa tłumaczyłem Olkowi, że należało wcześniej zdecydować się na ten zabieg. Ale pani wie — zwrócił się do Maliszewskiej — jaki był jej mąż. Poza pracą świata nie widział. Pomimo że często aż mu się twarz wykrzywiła z bólu. zawsze machał ręką i mówił „samo przejdzie” Albo śmiał się, że zapalenie wyrostka robaczkowego jest takim drobiazgiem, którym nie należy sobie zawracać głowy.

— Otóż to — podchwycił doktor Postomski — ludzie lekceważą sobie zapalenie wyrostka robaczkowego. A to bardzo zdradliwa choroba. Zrobiony w porę, to naprawdę „dziecinny zabieg”. Ale odkładanie tego i nie leczenie się często doprowadza do tragicznych skutków. Przyznaję, my lekarze bardziej boimy się tej operacji, niż czegoś, co na pierwszy rzut oka wygląda dużo groźniej. W świecie lekarskim słusznie się mówi, że resekcja wyrostka to najgorsza praca dla chirurga. Nie przyczynia się do zdobycia sławy, a często do jej utraty.

— Rozumiem, ale nic już nie wróci życia Olkowi — kobieta wyjęła z torebki chusteczkę i dyskretnie otarła oczy.

— Bardzo cię proszę. Krysiu! — Kowalewski gestem pełnym współczucia dotknął ręki swojej towarzyszki.

— Pan doktor Niekwasz jest jednym z najlepszych chirurgów. odważyć się powiedzieć, że nie tylko w Warszawie, ale bodaj w Polsce. Dlatego też wiedząc, jak cenne życie mamy w swoich rękach właśnie jemu zleciłem dokonanie tej ciężkiej operacji. Przy zabiegu asystowało trzech naszych lekarzy, Również doskonałych specjalistów. Ale jak już powiedziałem, cudów nie ma. Pozostaje mi jeszcze raz złożyć pani jak najgorętsze wyrazy współczucia — dyrektor pochylił swoją siwą głowę.

— To dla mnie straszna strata — szepnęła kobieta — do tej chwili nie mogę się pogodzić z myślą, że Olek nie żyje. Straciłam wszystko, co miałam w życiu.

Wdowa znowu musiała użyć chusteczki.

— To naprawdę niepowetowana strata — dodał dyrektor Kowalewski. — Jeśli są ludzie niezastąpieni, to do nich należał właśnie dyrektor Aleksander Maliszewski Brak jego dotkliwie odczuwamy w „Maszynoimporcie” już nie mówiąc o tym, że ja osobiście straciłem najlepszego przyjaciela, człowieka któremu zawsze i w każdej okoliczności mogłem zaufać i na którego pomoc mogłem liczyć.

Zapadła cisza. Przerwał ją dyrektor szpitala:

— Jeśli można państwu w czymś pomóc przy załatwianiu tych smutnych formalności...

— Dziękujemy — przerwał Kowalewski — wydałem już w biurze odpowiednie zarządzenia, aby wszystko było

zorganizowane jak należy. Zajmiemy się tym z całą starannością, bo oczywiście pani Krystyna nie ma głowy myśleć o tych sprawach.

Krystyna Maliszewska podniosła się z krzesła. Za jej przykładem poszli mężczyźni. Kobieta spróbowała uśmiechnąć się i wyciągnęła rękę do dyrektora szpitala.

— Przykro mi dyrektorze, że poznajemy się w tak dla mnie tragicznych okolicznościach. Trudno. Widocznie tak musiało być. Trzeba się będzie pogodzić z losem. W każdym bądź razie, dziękuję panom za starania.

Stefan Postomski w niskim ukłonie ucałował podaną sobie dłoń. Ten gest powtórzył Niekwasz Jeszcze pożegnanie panów i obaj lekarze pozostali sami w gabinecie.

— Mógłby pan choć usta otworzyć — wybuchnął Postomski — jak mogę, tak wyłguję pana przed prokuratorem, a pan milczy z obrażoną miną. Mam nadzieję, że udało mi się ich przekonać o pańskiej niewinności. Jeszcze by tylko tego brakowało, aby w moim szpitalu urzędowała milicja i prokurator.

— Nie poczuwam się do żadnej winy, panie dyrektorze — odpowiedział chirurg.

— Pan się nie poczuwa do winy? Dobrze sobie! Chory umiera po dziecinnym zabiegu, który, jak pan sam twierdził, był w ogóle niepotrzebny, a pan uważa, że wszystko w porządku. A przyczyna zgonu? Wewnętrzny krwotok z powodu źle założonej podwiązki na arterii! Student z trzeciego roku medycyny nie popełniłby takiego błędu. Za tę operację sąd by panu zapłacił przynajmniej trzema latami więzienia. Już widzę ten skandal na całą Polskę. Na szczęście udało mi się do tego nie dopuścić.

— Podwiązka była dobrze założona — Zygmunt Niekwasz usiłował zapalić papierosa, ale ze zdenerwowania tak mu się ręce trzęsły, że nie potrafił wyciągnąć zapalki z pudełeczka leżącego przed nim na stole.

— Powiedz pan to swojemu nieboszczykowi, ale nie mnie.

— Przy operacji był drugi chirurg, doktor Lewandowski, narkozę podawał również chirurg, koleżanka Myśliwiec, instrumentariuszką była siostra Lasocka mająca przeszło dwadzieścia lat praktyki. Gdybym rzeczywiście źle założył

podwiązkę, przecież pozostali spostrzegliby ten błąd.

— Błądu nie było, tylko chory zmarł — sarkastycznie zauważył dyrektor.

— Cały zabieg nie był skomplikowany i przeprowadziłem go prawidłowo — powtórzył z naciskiem Niekwasz — przyczyny zgonu Maliszewskiego należy szukać gdzie indziej.

— Gdzie? — dyrektor nie zmienił intonacji głosu.

— Nie wiem. Przypuszczam, że w kilka godzin po operacji wystąpiły u chorego gwałtowne ruchy jelit, które spowodowały obsunięcie się podwiązki.

— Takie głupstwa może pan opowiadać dzieciom, ale nie lekarzowi. Nie mam zresztą zamiaru kłócić się z panem. Grunt, że udało mi się sprawę zatuszować. Obawiałem się, że to nie będzie łatwe, bo ta kobieta od razu wystąpiła z podejrzeniami. Coś mówiła o tajemniczym i niewytłumaczalnym zgonie. Ale chyba uspokoilem ją dostatecznie. Psiakrew. będę musiał iść na pogrzeb i dopilnować, żeby tam za dużo nie gadali.

— Byłoby dobrze, aby prokurator jednak zajął się tym zgonem — odpowiedział Niekwasz.

— Pan zwariował!

Powtarzam panu, że nie poczuwam się do winy.

— Dobrze, dobrze. Ostatnio miał pan kilka śmiertelnych wypadków. Na przykład ta Kościelakowa...

— Carcinoma w ostatnim stadium. Pan dyrektor dobrze wie, że nie chciałem operować. Uważałem za niepotrzebne męczyć chorą przed nieuchronną śmiercią. To właśnie pan na prośby rodziny polecił mi dokonanie tego zabiegu.

— Były i inne zgony na stole operacyjnym albo po operacji. Tak się dziwnie składa, że najczęściej wtedy właśnie operował pan doktor Niekwasz.

— To zupełnie zrozumiałe. Często muszę operować najtrudniejsze przypadki. Takie, gdzie jedyną szansą ocalenia chorego jest zabieg, którego wynik pozytywny jest bardzo problematyczny. Biorę na siebie ten ciężki obowiązek. Jestem dumny z tego, że dzięki takiej decyzji udało mi się ocalić czyjeś życie.

— Skoro pan tak uważa, nie będę się z nim spierał. Pan ma

jeszcze nie wykorzystany urlop. Weźmie go pan sobie — dyrektor namyślał się — powiedzmy od piętnastego tego miesiąca. W ten sposób unikniemy niepotrzebnych plotek, a po urlopie pan tutaj nie wróci.

— Pan mnie wyrzuca z pracy?

— Staram się właśnie tego uniknąć. Pan sam złoży wypowiedzenie z prośbą o wcześniejsze niż ustawowe rozwiązanie stosunku pracy. A ja to po prostu uwzględnię. Już bardziej nie mogę panu iść na rękę. Otrzyma pan jak najlepsze świadectwo. Ze znalezieniem pracy pomimo tej nieszczęsnej historii, nie powinno być trudności. W lecznictwie otwartym każdy chirurg jest mile widziany. Nawet taki, któremu pacjenci umierają pod nożem przy resekcji wyrostka. Najlepiej jednak radziłbym panu doktorowi schować się na parę lat w jakimś szpitalu na prowincji. Na przykład w Kutnie. Albo gdzieś na Mazurach. Mam znajomego w Wojewódzkim Wydziale Zdrowia w Białymstoku. Mógłby panu pomóc ulokować się w Elku. Ładna miejscowość. Duże jeziora. Można rybki łowić, pływać na kajaku lub żaglówce. Gdyby nie rozliczne moje obowiązki, kto wie, czy sam bym się na coś podobnego nie zdecydował? W ostatnim numerze „Służby Zdrowia” jest ogłoszenie: szpital w Resku poszukuje ordynatora-chirurga. Na mieszkanie ofiarowują komfortową willę z garażem. W Warszawie pan ma jeden pokój z kuchnią. Z opinią mojego szpitala przyjmą tam pana z pocałowaniem ręki. Weźmie pan urlop i będzie pan miał wiele czasu na zastanawianie się nad wyborem, nowego, doskonałego miejsca pracy.

Zygmunt Niekwasz całym wysiłkiem zapanował nad ogarniającym go gniewem.

— Pan dyrektor chyba żartuje? — powiedział usiłując zachować spokój.

— Oczywiście, że mówię najzupełniej poważnie. Ta historia, chociaż udało mi się ją ukrećć w sensie dochodzenia prokuratorskiego, rozejdzie się szerokim echem po całej Warszawie. Chorzy, pielęgniarzy, lekarze będą kolportowali plotkę, jak to w moim szpitalu zabija się ludzi na stole operacyjnym. Jediną obroną dobrego imienia tej placówki

może być jak najszybsze rozstanie się z ordynatorem oddziału chirurgicznego. Jeżeli pańskie odejście nie od razu zamknie usta, to w każdym razie zahamuje szeptaną propagandę.

— A we mnie chciałby pan widzieć kozła ofiarnego?

— To nie ja operowałem dyrektora Maliszewskiego, a pan. Ja, przeciwnie, zrobiłem, co było w mojej mocy, aby pacjentowi zapewnić w moim szpitalu jak najtroskliwszą opiekę. Doskonale pamiętam, jak pan się awanturował, kiedy poleciłem, aby dyrektora umieścić w separacie i zorganizować stały dyżur pielęgniarski.

— Protestowałem przeciwko temu, bo uważałem to za objaw protekcjonizmu. Lekko chorego umieszcza się w separacie, gdy tymczasem ciężko chorzy leżą w salach o kilku łóżkach.

— Pojutrze będzie pogrzeb tego lekko chorego — sucho odparł Postomski.

— Nie dlatego, że nie umiałem wykonać resekcji wyrostka.

— Nie wiem, czy prokurator podzielałby pański optymizm. Faktem jest, że na nieskazitelnej opinii mojego szpitala powstała głęboka ryna. Żeby ratować tę opinię, musimy się rozstać.

— Pan dyrektor ciągle mówi o swoim szpitalu. Wydawało mi się, że jest to szpital państwowy, a nie stanowiący pańską własność.

— To jest placówka, którą kieruję przeszło dziesięć lat i dla której rozwoju położyłem istotne zasługi, odpowiednio ocenione przez najwyższe władze państwowe — z dumą odpowiedział Postomski. — Uczciwie zapracowałem na renomę, jaką się dzisiaj cieszy szpital, nie pozwolę jej zmarnować.

— Pan sam mnie tutaj ściągnął. Nie czekałem w przedpokoju z podaniem o przyjęcie mnie na stanowisko ordynatora tutejszego oddziału.

— Przyznaję, uwierzyłem dość lekkomyślnie pańskim przyjaciołom, polecającym mi doktora Nie- kwasza jako bardzo zdolnego chirurga. Trudno, zawiodłem się. Ale nie zamykam panu drogi do dalszej kariery. Wprost przeciwnie, powtarzam to z naciskiem, dostanie pan od nas jak najlepsze świadectwo.

— Serdecznie dziękuję — ironicznie zauważył Niekwasz.

— Panie kolego — dyrektor nagle zmienił taktykę — mówię teraz jak ojciec do syna. Mam do tego pewne prawa, bo jestem znacznie starszy. Rozumiem, że pan jest zdenerwowany i wstrząśnięty tą głupią historią. Rozumiem pańskie zaskoczenie naszą dzisiejszą rozmową. Ale skoro pan spokojnie zastanowi się nad wszystkim, zobaczy pan, że to jedyne wyjście z sytuacji. Z pańskiej winy, czy bez niej zdarzył się panu paskudny przypadek. Mogący złamać całą przyszlą, tak dobrze zapowiadającą się karierę. Zarówno tę naukową, wiem jakie pan ma ambicje i pochwalam je, jak też i zawodową. O takich sprawach ludzie szybko nie zapominają. Zarówno przyjaciele, jak i wrogowie przy każdej okazji będą panu świnie podkładać. Dalszy pobyt w tym szpitalu stanie się dla pana niemożliwy, choćbym nawet nie nalegał, aby pan opuścił swoje stanowisko. Już po powrocie na oddział zauważy pan, że z chwilą zbliżania się do jakiejś grupki lekarzy lub pielęgniarek, rozmawiający będą milkli lub zmieniali temat rozmowy. Każdy pacjent, do którego pan się zwróci z najdrobniejszą uwagą, odpowie ironicznym uśmiechem Koledzy będą dzwoniли nawet do domu z fałszywymi wyrazami współczucia lub pociechę. Im później pan stąd wyjedzie, tym dłużej będzie pan doznawał różnych przykrości i doświadczał małych świństwewek. Znam życie i nie chciałbym teraz znaleźć się w pańskiej skórce.

— Jeszcze raz powtarzam, panie dyrektorze, że nie poczuwam się do najmniejszej winy.

— To obojętne. Kto wie, czy nie byłoby dla pana lepiej, gdyby pan był naprawdę winny? Wtedy przynajmniej nie broniłby się pan i nie rozpalał ciągle na nowo całej afery. A tak, będzie pan tylko dolewał oliwy do ognia.

— Każdy człowiek, nawet lekarz, ma chyba prawo do obrony swojego honoru?

— Ma, ma — ze zniecierpliwieniem powtórzył Postomski. — Żaden z kolegów nie wystąpi oficjalnie z zarzutem przeciwko panu. Odwrotnie, gdyby doszło do czego, każdy weźmie pana w obronę, tak jak ja to zrobiłem wobec żony i przyjaciela zmarłego. Ale może pan sobie wyobrazić, co się będzie mówiło

za pańskimi plecami.

— Nie boję się głupich plotek.

— Tak się panu zdaje. Wielu przed panem śmiało się z plotek, a później niejeden w łeb sobie strzelał. Jak najzyczliwiej doradzam wyjazd. Co z oczu, to i z języka. Tak to jut jest na świecie.

— Nigdzie nie wyjadę i niech pan nie liczy, dyrektorze. że złożę podanie o zwolnienie mnie. A co do urlopów, to grafik ustalono przed wielu miesiącami. Wezmę urlop wtenczas, kiedy przyjdzie na mnie kolej.

Stefana Postomskiego zaskoczyły słowa chirurga. Wierzył, że jego argumenty potrafiły przekonać ordynatora.

— Radzę jednak zastanowić się spokojnie — zauważył.

— Już się zastanowiłem i swojej decyzji nie zmienię.

— Jak pan uważa. Ja jestem w porządku. Dałem panu do wyboru, wóz albo przewóz. Pan sam zdecydował.

— Tak, zdecydowałem!

— Wobec tego niech się pan nie zdziwi, kiedy wkrótce otrzyma pan wypowiedzenie pracy.

— Będę się tym martwił po pierwszym.

— A na razie, jako dyrektor szpitala, wydaję panu zakaz dokonywania samodzielnie jakichkolwiek operacji i zabiegów.

— Na jakiej podstawie? — zachnął się Niekwasz. — Pan mnie zawiesza w prawach ordynatora i lekarza? To przekracza pańskie kompetencje.

— Nie zawieszam pana jako ordynatora i lekarza — uśmiechnął się Postomski — po prostu jako dyrektor szpitala muszę dbać o zdrowie i życie powierzonych mi pacjentów. Dlatego może pan ich badać, prowadzić oddział chirurgii, ale zabraniam panu operować. Jak się to panu nie podoba, proszę bardzo, możemy rozwiązać stosunek pracy choćby od zaraz.

— Pan mi tę decyzję da na piśmie?

— Jeśli pan chce, żeby jeszcze więcej plotek zebrało się wokół pańskiej osoby, nie mam nic przeciwko temu. Maszynistki będą miały uciechę.

— Złożę skargę w Wydziale Zdrowia.

— To pańskie prawo. Nie przypuszczam jednak, aby pan tam

coś zwojował. Nikt nie weźmie na swoją odpowiedzialność ryzyka pańskiej następnej nieudanej operacji. Operacji, której wyniku nie uda mi się, być może, zatuszować jak w przypadku tego nieszczęśnika Maliszewskiego.

Wydawało się, że lekarz straci kontrolę nad sobą i rzuci się na dyrektora szpitala, ale zdołał zapanować nad nerwami i powiedział:

— Dobrze! Proszę mi przysłać tę decyzję. A co do zgonu Maliszewskiego i prób pana zatuszowania tej sprawy, jestem przeciwnego zdania. Sam z tym pójdę do prokuratora. Jeżeli jestem winien jakiegokolwiek zaniedbania, powinienem ponieść karę. Ale karę wymierzoną mi przez sąd, nie przez pana.

— Pan nie ma prawa wywlekać spraw szpitalnych na zewnątrz. Może pan sobie samemu szkodzić, ile tylko pan chce, ale wara od podrywania opinii naszej placówki.

— Ja jej nie zamierzam podrywać. Dążę jedynie do oczyszczenia atmosfery. Zdarzył się tragiczny wypadek. Zmarł pacjent, który według wszelkich kanonów medycyny powinien żyć. Trzeba autorytatywnie wyjaśnić, co było powodem tej niespodziewanej śmierci. Tego nie mogę uczynić sam, bo pan, jako dyrektor szpitala, powodowany fałszywą ambicją zawodową, będzie mi przeszkadzał. Dlatego muszę zwrócić się do kompetentnych władz z prośbą o wyjaśnienie sprawy.

— Zły to ptak, co własne gniazdo kala.

— Nie mam innego wyjścia. Jeszcze raz powtarzam, nie wyjadę na prowincję, nie pójdę na urlop, nie złożę podania o zwolnienie. Będę walczył o swoje dobre imię.

— I doprowadzi pan do tego, że o naszym szpitalu zaczną pisać i mówić jak o siedlisku wszelkiego zła. Dla zadośćuczynienia swoim wybujałym wyobrażeniom o własnej nieomyślności, gotów pan rzucić cień na wszystkich ludzi ciężko tu pracujących.

— Ja też tu ciężko pracowałem i pracuję. Nie pozwolę zmarnować swojego dorobku. Zresztą nie chcę więcej dyskutować z panem na ten temat.

— Gorzko pan tego pożałuje.

— Ale w swoim własnym przekonaniu pozostanę uczciwym człowiekiem. Nie miałbym tego uczucia, gdybym się zgodził na propozycję pana dyrektora — to mówiąc doktor Zygmunt Niekwasz opuścił gabinet.

W niecałe dwie godziny później jedna z najmłodszych pielęgniarek weszła do pokoju ordynatora oddziału chirurgii i podała mu kartkę papieru wypełnioną maszynowym pismem. Dziewczyna była bardzo skonsternowana. Kiedy zjawiała się w budynku dyrekcji szpitala, dano jej to pismo z wyraźnym poleceniem wręczenia go doktorowi Niekwaszowi. Pismo nie miało koperty. Widocznie chodziło o to, aby jego oddawczyni mogła zapoznać się z treścią i później podzielić się z innymi tą zaskakującą nowiną.

— Panie doktorze... — dziewczynie zabrakło odwagi.

— Dziękuję. Wiem o tym — lekarz wziął od dziewczyny ćwiartkę papieru i nie czytając położył na biurku.

— Nie wiem, co mam zrobić — młoda pielęgniarka jeszcze bardziej się zmieszala — w dyrekcji dano mi pismo obiegowe i kazano zebrać pod nim podpisy panów lekarzy, przełożonej pielęgniarek i pielęgniarek z sali operacyjnej

— Proszę zrobić to co pan dyrektor zarządził — odpowiedział spokojnie ordynator.

— Ja bardzo przepraszam Mnie kazano...

— Nie przejmuj się tym, drogie dziecko — Niekwasz uśmiechnął się do dziewczyny.

Kiedy za pielęgniarką zamknęły się drzwi, lekarz sięgnął po leżące na stole pismo. Pod nagłówkiem firmowym szpitala, zaopatrzony w wielką pieczęć i zamaszysty podpis dyrektora, list zawierał następującą treść:

Do Ordynatora Oddziału Chirurgicznego

lek. Zygmunta Niekwasza

Wobec przemęczenia ciężką pracą i wykazaną przez pana złą formą zarówno fizyczną, jak i psychiczną, polecam Panu chwilowo, aż do odwołania, nie wykonywać osobiście żadnych zabiegów ani operacji. O powyższym zarządzeniu zawiadomiłem zainteresowany

personel oddziału chirurgicznego.

*(—) Stefan Postomski dyrektor szpitala Warszawa,
dn. 12 czerwca 1972 r.*

— Głupie, zarozumiałe bydlę — syknął Niekwasz, ponownie rzucając pismo na biurko.

W dziesięć minut później do pokoju wszedł, a raczej wpadł zastępca Niekwasza, doktor Lewandowski.

— Czytałeś to pismo obiegowe? — powiedział — przed chwilą dostałem je do podpisu.

— Nie czytałem, ale znam jego treść. Podobne leży na moim biurku.

— Postomski boi się dochodzenia i chce się zabezpieczyć. Szczwany lis. A ty co myślisz robić?

— Słuchaj, Heniu, przecież byłeś przy zabiegu. Widziałeś, jak zakładałem podwiązkę.

— Nie bój się, stary Gdyby co do czego doszło, przed każdym sądem czy Komisją Kontroli Zawodu zeznam, że wszystko było w zupełnym porządku. O to możesz być spokojny.

— Nie chodzi mi o to, co byś zeznał, lecz jak naprawdę było? Sam chcę wiedzieć.

— A kiedy ja operuję, ty uważasz na takie głupstwa? Skoro mówisz, że dobrze założyłeś, to na pewno tak było. Nie przejmuj się tym pismem. Dyrektor musi najpierw upewnić się, że ani jemu, ani tobie nic nie grozi i wtedy sam cię poprosi, żebyś znowu operował.

— Tak myślisz?

— Grunt, aby tej sprawie łeb ukreć. Swoją drogą, musisz być przygotowany na ciężkie chwile. Ale nie martw się. My ciebie nie opuścimy.

— Dyrektor radził mi wyjechać na prowincję.

— Niegłupi pomysł. Posiedziałbyś w jakiejś dziurze dwa, trzy lata, zarobił kupę forsy i potem, kiedy wszystko ucichnie, wrócił do Warszawy.

— Chyba jednak tego nie zrobię.

— W każdym razie nie załamuj się i nie przejmuj. Jak by co,

możesz na mnie liczyć — pan doktor Lewandowski wielce z siebie zadowolony wyszedł z pokoju.

Niekwasz sięgnął po słuchawkę, nakręcił wewnętrzny numer i zaprosił na rozmowę lekarkę, Zofię Myśliwiec.

Pani Zofia nie tała swojego oburzenia.

— Co oni z panem wyrabiają? Że ten Maliszewski umarł? Przecież wszyscy umierają, prędzej czy później. Pan nie chciał jego śmierci i ratował go. Nie przypuszczałam nawet, że Postomski to taki podły tchórz. Niczego panu nie dowiodą. A ja pod przysięgą zeznam, że operację przeprowadził pan bez zarzutu.

— I jest pani zdania, że wszystko było w porządku?

— Skoro pan doktor tak twierdzi, to tak było.

— Właśnie chciałem na ten temat porozmawiać z panią. Pani przecież podawała narkozę. Widziała pani moment zakładania przeze mnie podwiązki na aortę?

— No... — lekarka zawahała się — tak naprawdę, to nie pamiętam szczegółów. Pilnowałam narkozy i nie zwracałam uwagi na resztę. Ale przecież pan doktor nie mógł tego źle zrobić. Przy pańskim doświadczeniu...

— Dziękuję pani za słowa uznania. Szkoda jednak, że pani sobie tego nie przypomina.

— Głupstwo. Niech pan się nie denerwuje. Oczywiście zeznam, że widziałam i pamiętam dokładnie przebieg całej operacji. A pan, panie Zygmuncie, za bardzo się przejmuję tą sprawą. Dobrze byłoby, aby pan na jakiś czas wyjechał, odpoczął, mamy taką piękną wiosnę w tym roku. Po powrocie dzisiejsze kłopoty będą poza nami. A przy sposobności już ja naszemu dyrektorowi wygarnę parę słów. Niech pan będzie spokojny. Wszyscy na oddziale są po prostu wstrząśnięci jego postępowaniem. Po takim tchórzku można się teraz spodziewać, że w obawie o własną skórę pierwszy poleci do prokuratora. Podobno była u niego żona Maliszewskiego i to ona tak go nastraszyła. Ale żeby kolega koledze, lekarz lekarzowi... To już przechodzi ludzkie pojęcie.

Kiedy wreszcie gadatliwa lekarka opuściła pokój, ordynatorowi, Zygmuntowi Niekwaszowi po raz pierwszy

przyszło na myśl, że dyrektor Postomski miał prawdopodobnie rację. Może rzeczywiście najlepszym wyjściem byłoby usunięcie się na pewien okres ze stolicy. Ale lekarz zaraz odrzucił ten pomysł.

Nie poczuwał się do winy, postanowił walczyć.

ROZDZIAŁ 2

Przepaść pod nogami

Upłynęło kilka dni. Ordynator oddziału chirurgicznego. usiłował pracować jak gdyby nic nie zaszło. Zjawiał się codziennie rano w szpitalu, dokonywał w towarzystwie lekarzy obchodu chorych, kierował pracą podległego sobie personelu.

A jednak zarówno na oddziale chirurgicznym, jak w całym wielkim szpitalu coś się zmieniło. Koledzy lekarze, i co starsi, i co młodszy najwyraźniej unikali spotkania w cztery oczy z Zygmuntem Niekwaszem. Jeśli im się to nie udawało, po prostu przyspieszali kroku rzucając w przejściu: „cześć stary”, „jak się masz” lub „dzień dobry, panie doktorze” — zależnie od tego, na jakiej stopie zażyłości z nim byli, jak układała się znajomość i współpraca z ordynatorem oddziału chirurgii. A kiedy nie mogli wykręcić się od rozmowy, każdy oburzał się na decyzje dyrektora szpitala i podkreślał, że takie postępowanie wobec lekarza jest niedopuszczalne i usiłował pocieszyć kolegę, „żeby się nie przejmował”.

Znalazło się też kilku doradców, którzy przychodzili z gotowymi propozycjami objęcia pracy gdzie indziej. Czy przysłał ich dyrektor Stefan Postomski, tego Niekwasz naturalnie nie mógł wiedzieć. Domyślał się jedynie, że niektóre z tych rozmów i propozycji musiały być wiadome kierownictwu szpitala.

A jednocześnie wiadomość o tym, co się stało w szpitalu, szybko szerzyła się w kołach lekarskich. Kiedy pewnego wieczoru Zygmunt Niekwasz wraz z żoną, także lekarką, poszli do Klubu Lekarza, do ich stolika nie przysiadł się nikt ze znajomych, z wyjątkiem pewnego starszego farmaceuty,

będącego już od paru lat na emeryturze Natomiast spojrzenia całej sali, kierowane właśnie na ten stolik, wyraźnie mówiły, że chirurg jest głównym tematem rozmów prowadzonych przez zebrane tu towarzystwo.

Niekwasz usiłował nadrabiać miną i udawał, że niczego nie dostrzega, ale jego żona po dwóch godzinach takiego ostracyzmu, zdenerwowana do ostateczności, zażądała opuszczenia lokalu.

— Nie chciałam rozjrzeć rany, ale uważam, że powinieneś o tym wiedzieć — pani Niekwaszowa przerwała milczenie dopiero w domu — Dzisiaj w naszym szpitalu gościli koledzy z Krakowa. Kiedy zwiedzali mój oddział ordynator przedstawiając nas zauważył: „a to pani doktor Niekwaszowa żona tego słynnego Niekwasza”. Uśmiechnął się przy tym znacząco:

— To łajdak. Szkoda, że mnie tam nie było. Dostałby w mordę.

— Wszystkim w mordę nie dasz. Ja to jakoś zniosę. Ale ty? Obawiam się, że cała twoja kariera została skończona.

— Nikt mi nigdy nie postawił najmniejszego zarzutu.

— Tym gorzej. Gdyby były zarzuty, mógłbyś się bronić. A tak, wykończą cię bezszelestnie, przy cichym aplauzie całego naszego środowiska.

Zrozum, że nie zrobiłem niczego złego. Przeprowadziłem zabieg według wszelkich wskazań sztuki lekarskiej. Jestem zbyt doświadczonym chirurgiem, abym nie umiał podwiązywać arterii.

— Wierzę ci. Ale pacjent nie żyje i tobie przypisują winę. Może rzeczywiście najlepiej byłoby wyjechać?

— Nonsens.

— Nie mówię, że na stałe. Na dwa, trzy lata. Akurat tyle, ile czasu musimy czekać na nowe, większe mieszkanie.

— Wyjechać, to znaczy poddać się. Przyznać się do niepopelnionych win

— Nie chodzi o winę. Po prostu spotkało cię nieszczęście i z tego faktu należy wysnuć właściwe wnioski. Spójrz w lustro. Chyba widzisz, co się z tobą zrobiło w ciągu kilku dni. A im

dalej, tym będzie gorzej.

Wojując z Postomskim, pozostaniesz w szpitalu jeszcze przez trzy miesiące. Ostatecznie dyrektor szpitala ma prawo dać wypowiedzenie swojemu pracownikowi z zachowaniem ustawowych terminów. Tego nie zmienisz. A co po trzech miesiącach? Nie mówię o sprawach materialnych, bo ostatecznie jakoś damy sobie radę. Chociażby dyżurami w pogotowiu. Ale, sądzę, tego nie uważasz za szczyt swoich możliwości? Teraz, kiedy sprawa stała się tak głośna, trudno będzie ci znaleźć równorzędne stanowisko ordynatora w jakimś innym szpitalu warszawskim.

— Nie chodzi mi o tytuł ordynatora i jego pensję.

— Wiem o tym. Ale nawet posada szeregowego lekarza w szpitalu może okazać się za trudna do zdobycia. Założmy, że godzę się z twoim rozumowaniem i argumentami Postomskiego czy innych, ale wiesz dobrze, że opuszczenie w tej chwili Warszawy jest niemożliwe. Nie mogę przerwać rozpoczętych i tak daleko zaawansowanych badań. Obronę pracy doktorskiej ustaliliśmy przecież z profesorem mniej więcej na przełomie października i listopada.

— Nie mówię, że mamy się natychmiast pakować i wyjeżdżać. Możemy to zrobić także za pół roku. Obawiam się jedynie, że przez ten czas sytuacja się zmieni i to na gorsze. Teraz zarzucają ci winę za spowodowanie śmierci Maliszewskiego. Później dyrektorowi szpitala może być wygodniej zwałać winę na ciebie za wszelkie niedociągnięcia. Raz przyklejonej etykiety trudno się pozbyć.

— Przesadzasz. Upłyną dwa, trzy tygodnie, a wszystko się ułoży. Już teraz w szpitalu nie mogą obyć się beze mnie. Nie widzę tam kolegów, mogących podjąć się tego rodzaju operacji, które przedtem tylko ja robiłem.

— Nie łudź się. Ciągłe nie zdajesz sobie sprawy ze swojego fatalnego położenia Ordynator oddziału chirurgicznego, w którym zabroniono mu operowania! To gorsze, niż aresztowanie pod zarzutem nieumyślnego zabójstwa Maliszewskiego. Na przykład, gdybyś go przejechał na białych pasach na skrzyżowaniu Nowego Świata z Alejami Jerozo-

limskimi. Wtenczas wszyscy by cię żalowali, ale teraz udają współczucie i rozkoszują się sensacyjnym skandalem. A jednocześnie każdy z nich stara się nie dopuścić do tego, aby sprawa wydostała się poza kręgi zawodowe i nie spowodowała interwencji władz milicyjnych lub prokuratury.

— Powtarzałem Postomskiemu, że nie boję się ani prokuratora, ani ewentualnego procesu. Każdy sąd by mnie uniewinnił.

— Opinia publiczna nie lubi procesów lekarzy. Nie dlatego, że ich tak szanuje, ale że te procesy budzą tak dużo wątpliwości. Każdy chce wierzyć, że jest leczony z największą troskliwością. Kiedy w czasie procesu wychodzą na jaw zaniedbania, często nawet karygodne i potworne zaniedbania, jakich się czasem dopuści ktoś z nas, wtedy proces zamienia się w bardzo niesmaczne widowisko. Całe środowisko lekarskie, w imię źle rozumianej ambicji i solidarności zawodowej, zawsze zeznaje na korzyść oskarżonego. W odczuciu społeczeństwa ma to jeszcze gorsze skutki, niż samo przestępstwo popełnione przez jednostkę. Wtedy bowiem obwinia się nas wszystkich.

— Stanę w każdym miejscu przed każdym sądem. Ludzkim, boskim czy nawet diabelskim. Każdy sąd na pewno mnie uniewinni.

— Sam mi opowiadałeś, że zarówno doktor Lewandowski jak i doktor Zofia Myśliwiec nie widzieli momentu, kiedy zakładałeś tę nieszczęsną podwiązkę na arterię A pomimo to każdy z tych lekarzy zapewniał cię gorąco, że przed sądem zezna iż widział zabieg i przeprowadziłeś go prawidłowo. Masz najlepszy przykład źle pojętej solidarności zawodowej. Powiem więcej. Gdybyś tych dwojga prosił, aby w sądzie zeznali prawdę, nie zrobią tego. Nie ośmielą się złamać nie pisanego prawa, że lekarz w sądzie może mówić o koledze tylko jak najlepiej, a nie wolno mu go „topić”.

— W tym co mówisz, jest trochę prawdy.

— Znacznie więcej niż przypuszczasz. Jesteś znanym chirurgiem, wsławnym operacjami, jakich w Polsce jeszcze nie przeprowadzano i jakie w światowej medycynie są zupełną nowością. Ale przez te lata pracy zarówno w klinice, jak i badań

naukowych zupełnie oderwałeś się od życia i od środowiska lekarskiego.

— Z tym się nie zgodzę. Przecież codziennie, choćby na oddziale, stykam się z kolegami.

— Ale rozmawiasz z nimi i z chorymi o sprawach fachowych. Wśród lekarzy nie masz ani jednego prawdziwego przyjaciela, gotowego wysłuchać twoich zwierzeń lub zapytać ciebie o radę w twoich osobistych sprawach. To są po prostu twoi koledzy z miejsca pracy, a nie przyjaciele.

— Nieprawda! Mam wielu przyjaciół. Choćby Kochlewski.

— No tak, zapomniałam o Kochlewskim. Ale Andrzej jest we Wrocławiu. Do Warszawy wpada rzadko i jak po ogień.

— A poza nim są jeszcze inni. Widują się z nimi nie tylko w szpitalu, ale także na terenie Akademii Medycznej, lub w Polskim Towarzystwie Lekarskim.

— To są kontakty czysto zawodowe, co nie zmienia faktu, że tego rodzaju oficjalne kontakty upoważniają lekarzy do bronienia kolegi, jeżeli dochodzi do rozprawy sądowej. Że mam racje, najlepszym tego dowodem był proces tych lekarzy, którzy odmówili przyjęcia do szpitala ciężko chorej i dopuścili, że biedna kobieta, jeżdżąc karetka pogotowia od jednego zakładu do drugiego w końcu zmarła. Na tym procesie zeznawało kilkunastu lekarzy. Świadców i biegłych. Wszyscy stwierdzali, że oskarżeni postępowali prawidłowo i zgodnie z przepisami. Jeden jedyny biegły, zresztą profesor medycyny, człowiek o światowej sławie, ośmielił się publicznie powiedzieć, że zdrowie i życie chorego musi być dla lekarza najwyższym prawem. stojącym ponad wszelkimi papierowymi zarządzeniami. Kto to najwyższe prawo złamie, nie jest godny miana lekarza. Szkoda, że nie słyszałeś, jak się później w światku lekarskim wyrażano o tym czcigodnym profesorze! Ile psów na nim wieszano. Bo ośmielił się złamać solidarność zawodu. Zeznał na niekorzyść oskarżonego - lekarza.

— No tak. przypominam sobie. Czytałem kilkanaście listów w tej sprawie drukowanych w jakimś tygodniku, chyba w „Polityce”. A jednak nie mogę wyjechać. Wstydzilibym się sam siebie.

— Zrobimy, jak postanowisz — Niekwaszowa zgodziła się z mężem. — Pamiętaj jednak, abyś nie przecenił swoich sił i nie zmarnował swoich zdolności w bezpłodnej szamotaninie z silniejszymi od ciebie. Czy nie szkoda zdrowia i nerwów?

W parę dni później Zygmunt Niekwasz stawiał się na umówioną już dawniej konsultację u profesora Jastrzębca, który był promotorem jego pracy doktorskiej. Uczony bardzo lubił swojego wychowanka. Był on nie tylko wyróżniającym się studentem medycyny, długoletnim asystentem profesora, bardzo zdolnym chirurgiem, lecz także miał zadatki na dobrego naukowca: cechowała go ambicja szukania nowych dróg w nauce.

Jastrzębiec wysłuchał sprawozdania z ostatnich wyników badań. Pewne rzeczy pochwalił, inne zakwestionował i zaproponował sprawdzenie tych doświadczeń. Zakończywszy część formalną rozmowy, promotor zauważył:

— Słyszałem różne dziwne pogłoski dotyczące kolegi.

— To już nawet do pana profesora doszło? — zdziwił się lekarz.

— Światło rozchodzi się z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. Szybkość rozchodzenia się plotki uchyla się wszelkim pomiarom. Jest po prostu nieograniczona czasem i przestrzenią. Ta plotka twierdzi, że pan miał ostatnio poważne kłopoty w swoim szpitalu. Wyjątkowo dużą śmiertelność przy stosunkowo błahych zabiegach. Czy to prawda?

— Nie — stwierdził kategorycznie Niekwasz. — Natomiast miałem rzeczywiście jeden wypadek zupełnie niewytłumaczonego zgonu. Resekcja wyrostka. Kiedy badałem tego chorego, uważałem, że operacja w ogóle nie jest potrzebna. Pomimo mojej opinii, pacjent nastawał na wykonanie zabiegu. Twierdził, że często wyjeżdża za granicę i boi się, że ostry atak choroby może go złapać poza krajem. Ten człowiek był dyrektorem jednego z wielkich przedsiębiorstw handlu zagranicznego i naturalnie dyrektor szpitala, polecił mi umieścić uprzywilejowanego pacjenta w osobnej separacie. Moje przeciwskazania dokonania zabiegu całkowicie pominięto. Pacjent żądał dokonania operacji, więc musiałem się na to

zgodzić, na wyraźne polecenie doktora Postomskiego. Przebieg zabiegu w całej rozciągłości potwierdził, że nie był on koniecznością. Lekki stan zapalny dałby się usunąć drogą normalnej kuracji. Po zabiegu nie umieszczono pacjenta w sali pooperacyjnej, jak tego chciałem, lecz znowu na polecenie dyrektora umieszczono go w separacie. Przy chorym czuwała pielęgniarka, która cały czas siedziała w separacie. Maliszewski wyszedł z narkozy w normalnym czasie i czuł się zupełnie dobrze. Sam go badałem w trzy godziny po zabiegu i nie stwierdziłem niczego podejrzanego.

— To normalne po tak prostym zabiegu — wtrącił profesor.

— Pracę w szpitalu skończyłem o godzinie trzeciej po południu. Lekarzem dyżurnym na oddziale był wtedy doświadczony chirurg, doktor Dobrowolski. Po godzinie czwartej odwiedził chorego i rozmawiał z nim. U pacjenta nic go nie zaniepokoiło. Zdaniem dyżurującej pielęgniarki chory czuł się zupełnie dobrze, aż do godziny siódmej wieczorem. Później usnął. Około północy znowu Maliszewskiego odwiedził lekarz dyżurny. Pacjent nadal spał. Był to jednak sen bardzo niespokojny i kolega próbował. zresztą bezskutecznie, obudzić chorego. Kiedy okazało się, że Maliszewski jest po prostu nieprzytomny, wszczęto alarm. Zawiadomiono mnie. Przyjechałem do szpitala w ciągu pół godziny. Był to już stan agonalny. Natychmiast wzięłem chorego na stół operacyjny. Po otworzeniu jamy brzusznej okazało się, że mamy do czynienia z silnym krwotokiem wewnętrznym, którego powodem było obsunięcie się podwiązki arterii. Pomimo wszelkich podejmowanych przez nas prób ratowania, Maliszewski zmarł około czwartej nad ranem, nie odzyskawszy przytomności.

— Ciekawy przypadek — powiedział uczony. — Czy pan jest pewny, że podwiązka była dobrze założona? Może obsunęła się w końcowej fazie operacji? To się czasem zdarza.

— Jestem tak pewien, jak tego, że w tej chwili stoję przed panem profesorem.

— No to niezbyt ściśle — uśmiechnął się Jastrzębiec — Ja bym twierdził, że pan siedzi.

— Przed zamknięciem jamy brzusznej skontrolowałem, mam

ten zwyczaj, czy wszystko zrobiono dobrze. Asystowali mi doświadczeni lekarze, Jak doktor Lewandowski i drugi chirurg, koleżanka Zofia Myśliwiec, która podawała narkozę. Wprawdzie nie pamiętają oni momentu zakładania przeze mnie podwiązki, ale zauważyliby najmniejszą nieprawidłowość przebiegu operacji.

— Bardzo ciekawe — profesor żywo zainteresował się słowami swojego ucznia. — A jak chory czuł się po zabiegu?

— Normalnie. Był wesoły i cieszył się, że ma to już za sobą. Szok pooperacyjny był lekki.

— Nie skarżył się na jakieś bóle, nie był senny? Jak tętno i temperatura?

— Mierzyłem w trzy godziny po zabiegu. Tętno normalne, temperatura parę kresek powyżej trzydziestu siedmiu, a więc także w normie. Chory nie był senny, przeciwnie, miał zwykłe objawy podniecenia pooperacyjnego. Na nic się nie skarżył. Podkreślał swoje dobre samopoczucie. Po obudzeniu się z narkozy nie miał torsji, co przecież często się zdarza. Opuściłem szpital pewny, że niczego nie zaniedbałem. Również i lekarz dyżurny stwierdza, że po godzinie czwartej Maliszewski czuł się zupełnie dobrze. Pielęgniarka mówiła, że pacjent rozmawiał z nią prawie do godziny siódmej wieczorem. Dopiero później poczuł senność i szybko usnął.

— Dostał jakiś środek nasenny?

— Pielęgniarka kategorycznie temu zaprzecza. Niczego mu nie podawała. To jest prawda. Sprawdziłem, że nie brała żadnych leków z dyżurki. Także i lekarz dyżurny niczego nie ordynował choremu.

— A przed usnięciem pacjent także się na nic nie skarżył?

— Jak zwykle po zabiegu, odczuwał pragnienie. Niczego do picia nie dostał. Pielęgniarka zwilżała mu usta gorzką herbatą, co przynosiło mu znaczną ulgę.

— No tak — zauważył Jastrzębiec — normalne objawy pooperacyjne...

— I ja też tak uważałem i dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego chory w pewnym momencie poczuł się nagle bardzo senny i jaki był powód obsunięcia się podwiązki?

— Mógłbym przytoczyć wiele opowieści, kiedy operacja pozornie udała się, a potem nastąpił zgon pacjenta. Ostatecznie organizm ludzki ciągle jeszcze jest dla nas bardzo mało znaną księgą. Przyznaję jednak, że historia, jaką usłyszałem od kolegi, i dla mnie stanowi zagadkę.

— Nie mogę jej zrozumieć. Naturalnie po zgonie chorego całe odium spadło na mnie. Dyrektor szpitala, doktor Postomski, wydał na piśmie polecenie zakazujące mi prowadzenia jakichkolwiek zabiegów i uprzedził, że przed końcem miesiąca otrzymam wypowiedzenie pracy.

— To wyjątkowe świństwo. Powinien załatwić tę sprawę inaczej, nawet jeżeli uważał, że dalszy pobyt pana w tym szpitalu jest niepożądany. Istnieją przecież przeniesienia służbowe, a w najgorszym razie wyjazd na prowincję.

— Żeby być sprawiedliwym, przyznam, że Postomski proponował mi taki sposób załatwienia sprawy. Ponieważ jednak nie czuję się winny, odmówiłem.

Jastrzębiec ani nie zganił, ani nie przytaknął tej decyzji.

— Podobno rodzina zmarłego — dodał Niekwasz — miała jakieś wątpliwości co do przyczyny zgonu Maliszewskiego. Tego nie słyszałem, natomiast w mojej obecności doktor Postomski długo i szeroko opowiadał żonie, że jej mąż zdecydował się na operację zbyt późno i zgon nastąpił wskutek ostrego stanu zapalnego przepony. Zdaje się, że pani Maliszewska uwierzyła w tę historyjkę.

— No cóż, dyrektor bronił zarówno pana, jak i opinii swojego szpitala.

— Ani moja opinia, ani marka, jaką cieszy się szpital nie mogły doznać po tej jakoby nieudanej operacji najmniejszego szwanku, Sam proponowałem Postomskiemu zawiadomienie o wszystkim prokuratora.

— Lepiej żeby ci panowie nie wtrącali się do nas — skrzywił się profesor. — Gdyby jednak doszło do tego, radzę koledze powołać jako biegłych profesorów Rudzińskiego i Hałasa. W razie czego pomówię z nimi w tej sprawie.

— Dziękuję bardzo, panie profesorze. Na niczym innym mi nie zależało, jak jedynie na wykryciu prawdy. Jeżeli w

czymkolwiek zawiniłem, powinienem ponieść karę.

— Karę pan już poniósł. Bez względu na to, czy jest kolega winny, czy też nie. Niech więc osoby nie z naszego zawodu nie roztrząsają tych i tym podobnych przypadków. To na pewno nie wyjdzie na dobre zarówno panu, jak i całemu lecznictwu. A co do przypadku kolegi, to uważam go za wyjątkowo ciekawy. Sam się nad nim zastanowię i przekonsultuję z innymi profesorami.

— Podwiązka musiała się zsunąć w czasie jakichś gwałtownych ruchów jelit. Wystąpiły one dopiero wtedy, kiedy Maliszewski zapadł w sen. Po osiągnięciu dużego stopnia wykrwawienia, chory stracił przytomność,

— To proste — zgodził się Jastrzębiec — ale co było powodem tych dziwnych ruchów jelit? Czy chorego przygotowano do zabiegu prawidłowo?

— Naturalnie.

— A więc jedynym dowodem naukowej rehabilitacji, kolego, musi być udowodnienie, że ruchów jelit nie można było normalnie przewidzieć, a więc znaleźć przyczynę tych ruchów. Niech się kolega nad tym zastanowi, ja też będę próbował rozwiązać to zagadnienie i zainteresuję nim innych. Obawiam się, że aż do otrzymania odpowiedzi na to pytanie, będzie na koledze ciążył zarzut błędu sztuki lekarskiej.

— Nie popełniłem tego błędu.

— Ale sam pan przyznaje, że świadkowie operacji nie mogą potwierdzić tezy o prawidłowo założonej podwiązce.

— Przecież po przeszło piętnastu latach praktyki chirurgicznej i paru tysiącach wykonanych resekcji wyrostka nie mogłem popełnić tak prostego błędu.

— Nigdy nic nie wiadomo. Znam znakomitego sportowca. Narciarz i alpinista. Złamał trzy żebra przy wchodzeniu do własnej wanny.

— Wykluczam błąd. Podwiązkę założyłem prawidłowo. Zresztą gdybym się nawet omylił, krwotok wewnętrzny wystąpiłby dużo wcześniej. Operowałem o ósmej rano, a do siódmej wieczorem, co potwierdzają: lekarz dyżurny i pielęgniarka, krwotoku nie było.

— Ta dziwna senność chorego mogła być skutkiem właśnie wykrwawienia się.

— Senność wystąpiła dopiero w ponad dziesięć godzin po zabiegu. Też za późno w przypadku źle założonej podwiązki.

— Nie wiem — profesor rozłożył ręce — medycyna ma jeszcze wiele tajemnic. Nastąpił zgon i to dla nas najważniejsze. Ustalić jego przyczyny i nie dopuścić, aby taki przypadek się powtórzył. Przypomina sobie kolega, że na moich wykładach ostrzegałem was, młodych, przed lekceważeniem sobie resectio appendicitis.

— Nigdy nie lekceważyłem tego zabiegu.

— Co kolega zamierza dalej robić?

— Spokojnie przyjąć wymówienie i czekać na rozwój wydarzeń.

— To może być trudne. Radziłbym przynajmniej wziąć urlop.

— I tak będę musiał go wykorzystać przed upływem okresu wymówienia.

— Proszę być ze mną w stałym kontakcie. Postaram się wyświetlić tę zagadkę. Może razem to zrobimy? Jeszcze raz podkreślam, że jest to dla kolegi najważniejszy problem. Ważniejszy niż stanowisko ordynatora czy też praca doktorska. Niewyjaśnienie tej sprawy może rzutować na całą przyszłość pana jako chirurga.

— Rozumiem to doskonale, panie profesorze.

— Jeszcze jedno. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak szeroko rozeszły się wieści o tym nieszczęsnym wypadku. Proszę mi nie mieć za złe, ale w takiej atmosferze, jaka wytworzyła się wokół kolegi, uważam za niecelowe i chciałbym pana o tym przekonać, wyznaczanie terminu obrony pracy doktorskiej w tym roku. Mogłyby być z tym duże trudności w Radzie Wydziału. Nie znaczy to, abym uważał pracę kolegi za złą. Przeciwnie, Jest doskonała i wnosi dużo nowego w ten dział nauki. Będę nawet proponował, aby ten temat, odpowiednio rozszerzony, był podstawą przyszłej pańskiej habilitacji. No, niech się pan nie martwi! Uszy do góry! Liczę, że wszystko skończy się pomyślnie.

Opuszczając gmach Akademii Medycznej, Zygmunt Niekwasz miał wrażenie, że pod jego stopami otworzyła się bezdenne przepaść. Jego marzenia, budowane przez lata wielkich poświęceń i oddanie pracy leżały w gruzach.

A jednak chirurg postanowił po raz nie wiadomo który, że nie podda się, ani nie ulegnie naciskowi złego losu. Nie bardzo wierzył, że pomoc profesora Jastrzębca, o jakiej go zapewniał, mogła odmienić sytuację. Przynajmniej szybko. Konieczne byłyby szczegółowe badania naukowe. A taki drugi przypadek, jak zgon Maliszewskiego, może się przytrafić za kilka albo dopiero za kilkanaście lat. Dopiero suma doświadczeń różnych lekarzy potrafiłaby wyjaśnić przyczyny zgonu.

Zdaniem Niekwasza, pozostawała mu jeszcze tylko jedna droga. Samemu iść do prokuratora i zażądać wszczęcia śledztwa w sprawie zgonu Maliszewskiego. Wyrok uniewinniający, a takiego wyroku lekarz był więcej niż pewien, powinien być najlepszym świadectwem oczyszczenia chirurga ze stawianych mu zarzutów.

Lekarz długo na ten temat rozmawiał z żoną. Pani Niekwaszowa nie podzielała optymizmu męża, jego wiary w skuteczną interwencję prokuratora i sądu.

— Wydaje mi się, że to ci nic nie da. Opinia publiczna uzna, że lekarze jak zwykle wybraniają „swojego”, zaś w świecie lekarskim takie uniewinnienie w procesie sądowym nikomu ust nie zamknie. Będzie się mówiło: „Co tam sędziowie wiedzą. Żaden z nich nie ma zielonego pojęcia o medycynie. Nic dziwnego, że się chłop wyłgał. Jednak ten Niekwasz musiał sknocić zabieg, bo aż się chwycił takiego głupiego sposobu zamazania swojej winy”.

— Z twoich słów wynika — zirytował się mąż — że nie ma dla mnie żadnego ratunku.

— Przyznaję, że ciemno patrzę w przyszłość. A co do ratunku, to widzę aż dwie drogi wyjścia.

— Ciekawy jestem?

— Najlepsza — wyjechać jak najdalej i przeczekać.

— Znowu wracasz do tego?

— Pytałeś, więc odpowiedziałam. Wiem, że tego nie zrobisz.

Pozostaje zatem drugi sposób, to, o czym mówił profesor Jastrzębiec, wyjaśnienie zgonu Maliszewskiego.

— Czekaj tatka tatka.

— Niekoniecznie. Spróbuj ponownie porozmawiać z lekarzami i z pielęgniarkami Tymi z sali operacyjnej i innymi osobami, które stykały się z chorym. Przed zabiegiem i po nim. Może jednak znajdziesz odpowiedź. Przecież podobnie postępowałby prokurator. Tobie łatwiej przeprowadzić to pseudodochođenje.

— Najpierw pójdę do prokuratora — upierał się Niekwasz.

— Idź — zgodziła się żona — ale ja nie wierzę w pozytywny skutek tej wizyty.

ROZDZIAŁ 3

Wizyta u prokuratora

— Pan w jakiej sprawie? — zapytała sekretarka.

— Chciałbym się widzieć z panem prokuratorem. Moje nazwisko Zygmunt Niekwasz, jestem chirurgiem, ordynatorem w szpitalu.

— Pan doktor był umówiony z szefem?

— Nie. Ale mam bardzo ważną sprawę.

— Pana prokuratora nie ma. Wyjechał do Ministerstwa na konferencję. Ale jest zastępca, prokurator Wielomiejski. Może on mógłby to załatwić?

— Przypuszczam, że tak.

— Zaraz porozumiem się z nim, czy będzie mógł pana doktora przyjąć — sekretarka wyszła do sąsiedniego pokoju.

Po powrocie oznajmiła:

— U zastępcy jest jeden z wiceprokuratorów, ale to nie potrwa długo. Proszę zaczekać — to mówiąc wskazała krzeselko stojące koło niewielkiego stoliczka pod ścianą. Usłużnie podała gazetę.

Lekarz czekał nie dłużej niż dziesięć minut. Potem drzwi do gabinetu zastępcy prokuratora otworzyły się i wyszedł z nich niski mężczyzna z plikiem akt w papierowych obwolutach.

Powiedział do Niekwasza:

— Proszę, niech pan wejdzie, pan prokurator czeka.

Chirurg wszedł do typowo umeblowanego gabinetu. Zza biurka podniósł się postawny mężczyzna. Pomimo upału ubrany był w ciemny garnitur, białą koszulę z krawatem. Wszedł na spotkanie interesanta i podając mu rękę przedstawił się:

— Wielomiejski. Jestem zastępcą prokuratora dla miasta Warszawy. — Czym, możemy pomóc panu doktorowi? — gestem wskazał jeden z foteli a sam usiadł na drugim. Podsunął paczkę a papierosami Doświadczony prawnik wiedział, że ludziom niełatwo przychodzi rozmawiać i prokuratorem, nawet jeżeli nie są przestępcami. Uśmiechając się życzliwie, czekał spokojnie aż jego gość zabierze głos.

— Zdarzył mi się tragiczny wypadek. Niespodziewany zgon po prostym, nieskomplikowanym zabiegu chirurgicznym. Typowa resekcja wyrostka robaczkowego Tak zwana popularnie „ślepa kiszka”.

— Wiem dobrze jaka to zdrażliwa operacja — zauważył prokurator

— Nic nie wskazywało, że tym razem mogą grozić jakiegokolwiek komplikacje A jednak chory zmarł w ciągu dwudziestu godzin po zabiegu Przyczyną było obsunięcie się podwiązki arterii i krwotok wewnętrzny — doktor Niekwasz szczegółowo opisał przedstawicielowi wymiaru sprawiedliwości cały przebieg zdarzeń od momentu ukończenia zabiegu aż do chwili zgonu Aleksandra Maliszewskiego.

Wielomiejski uważnie wysłuchał opowiadania chirurga

— Więc pan twierdzi, że w czasie zabiegu podwiązka została założona prawidłowo?

— Jestem o tym najmocniej przekonany.

— A czy były jakieś inne zaniedbania, tłumaczące ten zgon?

— Żadnych. Chory był osobą szczególnie uprzywilejowaną przez dyrektora szpitala. Cieszył się jego specjalnymi względami. Z tego też tytułu miał opiekę znacznie troskliwszą niż kto inny

— Jeśli dobrze rozumiem, mamy tu do czynienia ze zgonem,

którego nie można wytłumaczyć określonymi przyczynami?

— Przyczyna jest dla mnie jasna, gwałtowne ruchy jelit, które wystąpiły mniej więcej w dziesięć godzin po zabiegu.

— A co je wywołało?

— Właśnie na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.

— Może mówiłem jak laik — uśmiechnął się przepraszająco prokurator — ale to samo mieliśmy na myśli. Nieznana przyczyna zgonu.

— Konsultowałem się w tej sprawie z wielu kolegami, a także z profesorem Jastrzębcem, który cieszy się światowym autorytetem w dziedzinie chirurgii. Także nie umieli znaleźć żadnej sensownej przyczyny tej tragedii.

— A więc, panie doktorze?

— Chciałbym, aby prokuratora przeprowadziła śledztwo, zbadała dokładnie całą sprawę, a następnie oskarżyła mnie o spowodowanie śmierci Aleksandra Maliszewskiego.

— A sąd pana uniewinni.

— Tak. To będzie najlepszą rehabilitacją dla mnie jako człowieka i jako chirurga.

— Pan ma przykrości zawodowe?

— Tak. Nawet poważne. Dyrektor szpitala zawiesił mnie w prawach chirurga i uprzedził, że wkrótce otrzymam wypowiedzenie.

— Czy rodzina zmarłego miała jakieś zastrzeżenia co do tej operacji? Zarzucała panu „błąd w sztuce lekarskiej”? Groziła skargą do prokuratury?

— Podobno żona zmarłego napomykała o swoich wątpliwościach, ale dyrektor szpitala zapewnił ją o prawidłowości dokonania zabiegu u jej męża. Do tej chwili nie słyszałem, aby zmieniła zdanie. Wydawało mi się, że słowa dyrektora szpitala przekonały ją.

— Zaraz sprawdzimy — prokurator Wielomiejski podniósł słuchawkę i wydał sekretarce odpowiednie dyspozycje.

— Nikt mi nie postawił konkretnych zarzutów, a jednak wytworzyła się wokół mnie atmosfera nie do wytrzymania. Zarówno w szpitalu, bo co to za ordynator, który nie ma prawa operowania, jak i w innych kołach lekarskich. Nawet promotor

mojej pracy doktorskiej, człowiek szczerze mi życzliwy, radził zaniechania w tym roku obrony pracy. Mogę powiedzieć, że pod moimi stopami otworzyła się przepaść. Ten wypadek zwichnął całą moją karierę naukową i zawodową.

— W tej sytuacji uznał pan, że zrehabilituje pana wytoczony przez prokuraturę proces, który zakończy się wyrokiem uniewinniającym. Prawda?

— Ma pan rację, prokuratorze. Tak to sobie wyobrażam.

Na sygnał telefoniczny prokurator podniósł słuchawkę, wysłuchał relacji, podziękował i odłożył z powrotem na widełki.

— Do dnia dzisiejszego nie wpłynęła na pana żadna skarga — zwrócił się do chirurga — a zatem z punktu widzenia prawa wszystko jest w porządku.

— Przyznam się, że nie rozumiem...

— Po prostu nie ma przestępstwa, nie ma więc śledztwa.

— Ale to ja sam proszę o wszczęcie dochodzenia!

— Gdyby pan przyszedł do prokuratury i stwierdził, że wskutek źle przez pana zrobionej operacji umarł człowiek, wtedy rozpoczęlibyśmy śledztwo. Być może, uznalibyśmy za słuszne wnieść przeciwko panu akt oskarżenia pod zarzutem nieumyślnego zabójstwa. Ale pan doktor uważa, że operację przeprowadził prawidłowo. Jestem absolutnie przekonany, że świadkowie i biegli będą tego samego zdania. Tak się zresztą dziwnie składa, że lekarze, występujący jako świadkowie i biegli w procesach lekarskich są zawsze jednomyślni. Według ich świadectwa, lekarz nigdy nie jest winien. To chorzy są winni, że złośliwie umierają na schodach szpitala, do których nie chciano ich przyjąć.

— To przykre dla lekarza słyszeć taką opinię z ust prokuratora.

— Nie panu chciałem zrobić przykrość, bo być może pan na to nie zasłużył, ale niektórzy pańscy koledzy. Dowiodły tego bodaj wszystkie procesy przeciwko lekarzom, jakie kiedykolwiek toczyły się zresztą nie tylko w Polsce. Fałszywie pojęta solidarność zawodowa każe lekarzom składać wyraźnie fałszywe zeznania, byleby osłonić kolegę i uwolnić go od winy i kary. A przecież jak w każdym zawodzie, i w tym są znakomici

fachowcy i mierni. Lekarze pracujący z całym poświęceniem i obiboki zwalający pracę i odpowiedzialność na innych. Jak w każdym zawodzie, i w lekarskim zdarzają się zaniedbania lub błędy. Ale przedstawiciele medycyny uważają, że te sprawy nie mogą wyjść na światło dzienne i per fas czy ne fas starają się pokierować wymiarem sprawiedliwości. Dlatego też, jestem pewien, że jeżeli pan źle założył tę podwiązkę, pańscy koledzy wezwani bądź do mojego gabinetu, bądź na salę sądową, i tu i tam zeznają, że doskonale widzieli ten moment operacji i że nie było najmniejszego błędu.

Bo i nie było, panie prokuratorze.

— Jeśli nie było błędu, nie może być i sprawy. My, prokuratura i sąd, nie jesteśmy powołani do uruchamiania wielkiego aparatu maszyny sprawiedliwości jedynie po to, aby później wysłuchać z góry przewidzianego wyroku uniewinniającego oskarżonego.

— Mam chyba prawo do obrony?

— Przecież pan sam powiedział, że oficjalnie nikt nigdy nie wysunął przeciwko panu żadnych zarzutów. A więc przed czym ta obrona?

— Czyli że można mnie zabić cywilnie w całym majestacie prawa?

— No nie! — zachnął się prokurator — lekarze mają swój związek zawodowy i komisje kontroli zawodu. Tam powinien się pan udać ze swoimi problemami. Ale nie do nas. My wkraczamy wówczas, kiedy popełnione zostało przestępstwo. Ale nie wtedy, kiedy go nie było. Wspominał pan o wymówieniu pracy. Tę decyzję może pan zaskarżyć do sądu, że jest niezgodna z zasadami współżycia społecznego i socjalistycznego. Naturalnie do sądu pracy. Wyrok przywracający pana do pracy byłby w pewnym stopniu tą rehabilitacją, o którą pan tak zabiega.

— Pismo zawieszające mnie w prawach chirurga nic nie mówi o tej fatalnej operacji. Wspomina o przepracowaniu, złej formie fizycznej i psychicznej. Obawiam się, że wymówienie powtórzy te argumenty. Zespół sędziowski rozpatrujący sprawę nie będzie wdawał się w dociekania przyczyn zgonu mojego

pacjenta.

— To racja — przyznał prokurator. — Postępowanie ograniczyłoby się do stwierdzenia, że pana zdolności fizyczne i umysłowe pozwalają mu nadal sprawować funkcję ordynatora. Przypuszczam, że dyrekcja szpitala zapytana o powody wymówienia panu pracy nie wspomniałaby słowem o tamtej operacji.

— Ja też tak sędzę, ale dyrektor Postomski uwa-
ża, że splamilem nieskazitelną opinię jego szpitala i dlatego muszę stamtąd odejść.

— Bardzo mi przykro — prokurator Wielomiejski kończył rozmowę — że nie mogę nic panu pomóc Ale, niestety, sprawa nie leży w naszych kompetencjach. Radzę się zwrócić do Ministerstwa Zdrowa i jego organów dyscyplinarnych.

Niekwasz machnął ręką.

— Te orzeczenia nie mają zbyt wielkiego autorytetu w naszym środowisku. Są lekarze, którzy jak historyczny Łaszcz mogliby sobie kitel szpitalny podbić tego rodzaju upomnieniami, naganami i wyrokami. Najczęściej zawiesza się lekarze w prawach wykonywania zawodu w jednym województwie, a wtedy wyjeżdża on do sąsiedniego, bo tam ta kara nie obowiązuje. A orzeczenie uwalniające lekarza od winy ma jeszcze mniejszą wartość. Tego się nigdzie nie publikuje, o tym nikt nie wie

— Trzeba przyznać, że lekarze nieźle się urządzili. Choćby w porównaniu z adwokatami. Minister sprawiedliwości może zawiesić adwokata w prawach pełnienia zawodu, a komisja dyscyplinarna feruje surowe wyroki, włącznie z usunięciem z adwokatury na zawsze. Postanowienia te wraz z motywami ogłasza się w piśmie adwokatury w „Palestrze”. Są one dobrym ostrzeżeniem dla innych.

— Nie wiedziałem o tym.

— Jeszcze raz powtarzam, że przykro mi odmawiać panu doktorowi pomocy, ale przecież nie z braku chęci Natomiast przyrzekam, że gdybym ja sam potrzebował interwencji chirurga, zgłoszę się do pana — prokurator wstał z fotela, dając tym do zrozumienia, że rozmowę uważa za skończoną

Zygmuntowi Niekwaszowi nie pozostało nic innego jak tylko podziękować prawnikowi, uścisnąć jego rękę i opuścić pokój.

Nadzieja na oczyszczenie się z zarzutów tą drogą rozwiała się jak dym.

Pani Niekwaszowa, widząc zdenerwowanie i coraz gorszy stan psychiczny męża, zdecydowała się ściągnąć z Wrocławia starego przyjaciela ich obojga, doktora Andrzeja Kochlewskiego. Umówiła się z nim przez telefon, że zjawi się niby przypadkowo, pod pozorem podróży służbowej. Toteż lekarka udała wielkie zdziwienie, kiedy pewnego wieczoru rozległ się dzwonek i w drzwiach mieszkania stanął przybysz z miasta nad Odrą.

— Oo! Andrzej! Co za dobre bogi cię przyniosły?

— Nie tyle bogi, co Ministerstwo Zdrowia, które zwołało kolejną konferencję w bardzo ważnych Niepotrzebnych Sprawach, zamiast załatwić to pismem lub telefonicznie.

Po kolacji, kiedy na stole zjawiła się już kawa i kieliszek winiaku. Zygmunt Niekwasz zwierzył się przyjacielowi z tragicznych skutków przeprowadzonego zabiegu. Kochlewski słuchał z zainteresowaniem, nie dając po sobie poznać, że sprawę zna z relacji pani domu, a także z plotek uczynnych kolegów, których spotkał w stolicy. Nie wiedział jedynie o rozmowie przyjaciela z prokuratorem.

— Sam jestem dyrektorem szpitala i może nie postąpiłbym tak jak Postomski, ale trudno mi się dziwić jego reakcji. Ostatecznie bliższa koszula ciału aniżeli sukmana. Mając do wyboru bronić ciebie za cenę różnych mniejszych lub większych przykrości, czy pozbyć się pechowego chirurga i znaleźć na jego miejsce może gorszego, lecz nie skompromitowanego, wybrał tę drugą koncepcję. A co do prokuratora, to miał on stuprocentową rację. Jaki sens ma organizowanie procesu, którego jedynym wynikiem byłby wyrok uniewinniający? Przypuszczam nawet, że prokurator wnoszący akt oskarżenia przeciwko komuś, kogo później nie uwalnia od winy, musi się tłumaczyć przed swoją zwierzchnią władzą, że niepotrzebnie przysporzył człowiekowi przykrości, a

skarb państwa naraził na koszty procesu. Taki wyrok robi prokuratorowi opinię brakoroba, podobnie jak ślusarzowi, który lutował garnek, a pozostawił w nim dziurę.

— Nie przekonuje mnie to porównanie — zaprotestował Niekwasz.

— No, może trochę przesadziłem — zgodził się gość — ale chyba przyznasz mi rację, że dążeniem i celem prokuratury nie jest uzyskiwanie wyroków uniewinniających.

— Więc co robić?

— Rzeczywiście, masz paskudną sytuację. Wiesz co? Jedź do mnie do Wrocławia. Nowy kolejowy szpital, supernowoczesny, nie da się nawet porównać z tymi budami, w których teraz pracujesz. Sale operacyjne wyposażone jak nigdzie w Polsce. Na upartego moglibyśmy robić najtrudniejsze operacje serca, co przecież od lat ciebie pasjonuje. Mieszkanie wam wykombinuję, bo PKP wyjątkowo dba o lekarzy. Po pewnym czasie będą ciebie prosić o powrót do stolicy, ale ty sam nie będziesz chciał.

Śłuchając tych słów pani Niekwaszowa lekko się uśmiechnęła. Wiedziała doskonale, jak zareaguje Zygmunt.

— Nigdzie nie wyjadę. Dajcie mi wreszcie święty spokój z tym wyjazdem! Nie jestem zbrodniarzem, abym musiał uciekać i kryć się przed ludźmi — wybuchnął Niekwasz. — A ty na moim miejscu wyjechałbyś gdzie indziej, choćby ci proponowali złote góry? Jak ciebie znam na pewno nie.

— Może i masz rację — zgodził się Andrzej. — Nie wiem, co bym zrobił będąc w twoim położeniu. Nie jest ono wesołe.

— Najgorsze, że nie mam żadnej obrony.

— To nie jest głównym złem. Najgorsze, że nie można wytłumaczyć zagadki tego zgonu. Tylko dlatego stałeś się kozłem ofiarnym dyrektora Postomskiego i tylko dlatego powstała ta dziwna atmosfera wokół twojej osoby. Zagadkowe fakty zawsze tłumaczy się na niekorzyść tych, którzy w nich uczestniczyli. Trzeba po prostu dotrzeć do sedna i poznać tajemnicę. Wtedy cała wrzawa wokół ciebie automatycznie ucichnie. Inaczej będziesz miał przez długi czas wiele nieprzyjemności. Sądzę, że gdyby prokuratura zgodziła się na

twoją propozycję i urządziła „pokazówkę” wyrok uniewinniający niczego by nie zmienił w opinii społecznej naszego światka. Mówiono by wtedy, że Niekwasz jest wprawdzie chirurgiem, który spartolił zwykły zabieg, ale za to okazał się wielkim cwaniakiem, bo oszwabił cały sąd z prokuraturą włącznie.

— Do diabła, co robić?!

— Wy tłumaczyć przyczynę zgonu Maliszewskiego. Dowieść, że nie była nią źle założona podwiązka. Czy robiłeś sekcję zwłok?

— Nie miałem do tego ani prawa, ani najmniejszych podstaw. Wiem tyle, co widziałem w czasie drugiej operacji. Tej, kiedy chory był już w agonii. Stwierdziłem wtedy gwałtowny krwotok. Podwiązka rzeczywiście była obsunięta. Ale istniały wyraźne ślady gwałtownych ruchów jelit i to musiało spowodować krwawienie wewnętrzne.

— Ciągłe mi się wydaje, że już gdzieś słyszałem o podobnym przypadku... Bodajże we Wrocławiu... To było przed co najmniej dziesięciu laty. Albo i wcześniej.

— Jestem w stałym kontakcie z profesorem Jastrzębcem. Liczyłem, że on potrafi wytłumaczyć zagadkę zgonu Maliszewskiego. Profesor chciałby mi pomóc, ale także nie ruszył z miejsca. Ale co ciekawsze — zauważył Niekwasz — on również słyszał o takim samym zgonie. Nie pamiętał jednak żadnych okoliczności, ale mówił, że zmarły był księdzem.

— Mam! — ucieszył się Kochlewski. — Wcale nie księdzem. Zaraz wam opowiem tę historię. Była bardzo głośna nie tylko we Wrocławiu, ale w całej Polsce sprawa „Kanonika” z „Klubu czterdzieści cztery”.

— A jednak ksiądz — roześmiała się Niekwaszowa. — Jastrzębiec miał rację. Kanonik też jest osobą duchowną.

— Ten kanonik nie miał nic wspólnego ze stanem kapłańskim — odpowiedział doktor Kochlewski. — W naszym mieście w tamtych latach istniał groźny gang młodzieżowy. Jego uczestnicy poznali się w 1944 roku. Dlatego też nazwali się „Klubem 44” Grasowali w Lasku Szczytnickim, a ich meliną był mały drewniany kościółek stojący w tym lasku. Wówczas

kościółek był nieczynny. Chłopcy podrobili klucze i tam się zbierali. Odkrywca tego lokalu klubowego dostał od koleżków pseudonim „Kanonik”.

— I ten „Kanonik” zmarł po takiej operacji jak Maliszewski.

— Nie. „Kanonik” żyje do dzisiejszego dnia. I mam nadzieję, że został porządnym człowiekiem. Zmarł jeden z członków gangu, noszący pseudonim „Czarny Romcio”. Ale żebyście dobrze zrozumieli całą sprawę, muszę zacząć od początku.

Gospodarz napełnił kieliszki winiakiem.

— Młodzieżowy gang — zaczął Kochlewski — grasował — jak już mówiłem, głównie w Parku Szczytnickim. Wtedy bodaj nazywano go „Laskiem Szczytnickim”. Milicja niezbyt się przejmowała tą grupą, bo początkowo jej działanie ledwie ocierało się o kodeks karny. Ale pewnego poranka pracownicy Muzeum Narodowego stwierdzili kradzież. Zginęło trzynaście obrazów. Były to najcenniejsze płótna jakimi muzeum mogło się pochwalić: pięć płócien Matejki, obrazy Juliusza Kossaka, Gierymskiego, Rodakowskiego i innych najślawniejszych malarzy.

— Znam tę aferę. To zdarzyło się wcześniej niż twierdzisz, bo jeszcze w 1957 roku — przerwała Niekwaszowa — chyba w marcu.

— Jak ten czas leci! Mógłbym przysiąc, że to nie było dawniej niż przed dziesięciu laty. Całe szczęście, że my ciągle młodzi. Szczególnie ty.

— Nie kpij ze starszej pani i nie przerywaj opowiadania w najciekawszym miejscu.

— Zaczem ad rem. Skradziona kolekcja obrazów warta była lekko licząc, około pół miliona dolarów. Pod warunkiem oczywiście, że wywiezie się ją z kraju i po cichu sprzeda jakiemuś kolekcjonerowi. Sprawa stała się głośna na cały świat. Zablokowano granicę, zawiadomiono o zuchwałej kradzieży wszystkie policje świata, nawiązano łączność z „Interpolem”. Na próżno.

— Przecież w końcu odnaleziono te obrazy.

— Dopiero po przeszło roku. Kiedy trwało gorączkowe śledztwo milicja naturalnie zwróciła także uwagę i na „Klub

44”. Przesłuchiwano jego członków, jednakże bezskutecznie. A tymczasem złodzieje sami się zgłosili. Przesłali do milicji czy też do muzeum, nie pamiętam już dokładnie, list z żądaniem okupu w wysokości miliona złotych. Na dowód, że są posiadaczami obrazów, zdeponowali jeden z nich w przechowalni dworcowej i przysłali razem z listem kwit bagażowy. Zaś odpowiedź kazali wydrukować w miejscowej gazecie „Słowie Wrocławskim”.

— To bardzo sprytnie posunięcie.

— Sprytu temu towarzystwu nigdy nie brakowało. Milicja chcąc zyskać na czasie, przeciągała rokowania, nie ustając w poszukiwaniu skradzionych obrazów. Wreszcie złodzieje domyślili się podstępu i przerwali korespondencję. Wtedy ogłoszono wysoką nagrodę za pomoc w odzyskaniu skradzionych przedmiotów lub wskazanie sprawców.

— O ile sobie przypominam, chodziło o sto tysięcy złotych — wtrąciła Niekwaszowa.

— Tak. nagroda zrobiła swoje. Jedna z pracownic muzeum zgłosiła, że jej znajomy, właśnie Kanonik” często bywał w sali wystawowej i szczegółowo wypytywał o wartość poszczególnych obrazów. To była ta przysłowiowa nitka, po której milicja doszła do kłębka. Po jeszcze długo trwającym śledztwie, odnaleziono resztę obrazów ukrytych w drewnianym sklepieniu kościoła. Udało się też ustalić, w jaki sposób dokonano włamania i którzy członkowie „Klubu 44” brali w nim udział. Obrazy jakoś względnie dobrze zniosły tę przygodę i po odnowieniu nadal zdobią nasze muzeum.

— Jak tylko przyjadą do Wrocławia — obiecywał Niekwasz — zaraz je obejrzę.

— Obiecujesz ten przyjazd od przynajmniej dziesięciu lat. Nawet mojego nowego wspaniałego szpitala jeszcze nie widziałeś, chociaż otwarto go przed kilku laty.

— Za to w całej prasie często mogę podziwiać pana doktora Andrzeja Kochlewskiego w otoczeniu młodych, przystojnych pielęgniarek. Taki to pożyje.

— Wracając do rzeczy, nie będę wam mógł opisać, jak wyglądała sama technika kradzieży, bo dokładnie nie

pamiętam. Dość, że uczestniczyło w niej bodaj sześciu młodych ludzi. Wyobrażali sobie, że wywiozą obrazy za granicę, tam sprzedadzą je za tysiące dolarów i będą mogli prowadzić „słodkie życie”. Po zawładnięciu skarbem, szajka wysłała jednego z członków „Klubu” za granicę, aby nawiązał rozmowy z handlarzami obrazów i przygotował grunt na obcym terenie. Po prostu wszyscy złożyli się i zafundowali chłopakowi wycieczkę do Danii, skąd młody złodziej nie powrócił do kraju.

— Ale obrazów nie wywieziono.

— Przypuszczam, że ambasador gangu znalazłszy się w Kopenhadze szybko przekonał się o nierealności tego rodzaju transakcji. Dochodzenie nie zdołało ustalić, czy komunikował się on z pozostałymi w kraju współnikami. Oni zeznawali, że nie otrzymali od niego żadnych wiadomości i dlatego postanowili wszcząć rokowania z dyrekcją muzeum, aby wyciągnąć z całej transakcji chociażby ten głupi milion złotych, skoro nie udało się zdobyć go w dolarach.

— A gdzie jest analogia z operacją Maliszewskiego i jego zagadkowym zgonem? — Niekwasza więcej obchodziła własna sprawa niż przygoda członków „Klubu 44”.

— Chwileczkę, dojdziemy i do tego. Zastrzegam, że są to pewne hipotezy, które nigdy nie znalazły potwierdzenia w akcie oskarżenia i w konkretnych dowodach zbrodni. Otóż wśród członków gangu był jeden noszący pseudonim „Czarny Romcio”. Wydaje się, że chłopak zrozumiawszy, jak szeroki, światowy rozgłos zdobyła cała sprawa, przestraszył się konsekwencji i namawiał kolegów do natychmiastowego zwrotu płócien muzeum, bez żadnych warunków, a najwyżej z zastrzeżeniem bezkarności i umorzenia dochodzenia.

— Nie wiem czy to było możliwe z punktu widzenia prawnego?

— Mniejsza o to. To teraz nie jest ważne. Dość, że „Czarny Romcio” pewnego dnia uległ atakowi zapalenia wyrostka robaczkowego, trafił do szpitala i znalazł się na stole operacyjnym. Nie był jednak tak uprzywilejowanym pacjentem, jak ten twój dyrektor. Ten nieskomplikowany zabieg wykonano pod miejscowym znieczuleniem, a po operacji chory wrócił na

salę, na której przedtem go umieszczono.

— Po zabiegu nie przebywał na sali pooperacyjnej? U mnie każdy pacjent musi tam leżeć przez przynajmniej dwadzieścia cztery godziny pod baczna obserwacją dyżurującej pielęgniarki. Robię wyjątek wtedy, kiedy chory leży w separacie i przy nim czuwa osobna pielęgniarka.

— O czym ty myślisz, Zygmuncie? Powiedziałem przecież, że było to miejscowe znieczulenie a nie narkoza. A poza tym wszystko działo się w 1957 roku. Wtedy rygory były mniejsze, tłok w szpitalach znacznie większy. Nawet nie wiem, czy tamtejszy szpital w ogóle miał wówczas „izbę wytrzeźwień”, jak u mnie nazywają sale pooperacyjną.

— Tę nazwę ma ona w całej Polsce — roześmiała się doktorowa

— Otóż w kilkanaście godzin po zabiegu „Czarny Romcio” stracił przytomność. Pozostali chorzy podnieśli alarm. Dalej wypadki potoczyły się identycznie jak u ciebie. Druga operacja i zgon. Powód zejścia wewnętrzny krwotok.

— Obsunięcie się podwiązki?

— Nie znam dokładnie szczegółów. Nie byłem przy tym. Ale wówczas od razu zrobiono sekcję zwłok. Stwierdzono że mniej więcej w siedem czy osiem godzin po operacji „Czarny Romcio” zjadł większą ilość kompotu z jabłek, a raczej wypił sok z kompotu. Jak później zeznali chorzy leżący na tej samej sali, kompot przyniósł do szpitala któryś z członków gangu i gorąco namawiał Romcia do machnięcia ręką na zakazy i ugaszenia meczącego go pragnienia. Nie udało się odnaleźć tego człowieka, ani też udowodnić, że kompot podano „Czarnemu Romciowi” dla ułatwienia mu opuszczenia ziemskiego padółu. Wszystko jednak wskazywało na to że taki był cel. Romcio odgrażał się współnikom, że jeżeli nie oddadzą obrazów on sam zgłosi się do milicji. Trzeba było zamknąć mu usta

— No tak — stwierdził Niekwasz — płyn podany po mniej więcej dziesięciu godzinach po resekcji wyrostka musi wywołać ruchy jelit. Często mogą być one tak gwałtowne, że spowodują obsunięcie się podwiązki.

— Przypuszczam — dodał Kochlewski — że z twoim

pacjentem stało się to samo Każdy chory odczuwa po zabiegu ostre pragnienie.

— Maliszewskiego nie odstępowała pielęgniarka. Rodzinę uprzedzono że może przyjść do szpitala dopiero na drugi dzień po zabiegu. W pokoju nie było nic do picia. Zresztą pielęgniarka wiedziała, że pacjentowi nie wolno pić. Zwiłżała mu wargi gorzką herbatą.

— Dziewczyna, choćby ze względów fizjologicznych nie siedziała bez przerwy w separacie. A kiedy wyszła, pacjent, który, jak sam wspominałeś, czuł się bardzo dobrze, wstał z łóżka i dorwał się do kranu z wodą. Łyknął ze dwie szklanki płynu i grzecznie wrócił do łóżeczka. W parę godzin później nastąpiła reakcja organizmu.

— To wykluczone! Na moim oddziale panuje ścisły rygor jeśli chodzi o tego rodzaju „ostry dyżur” przy chorym. Pielęgniarki w sali pooperacyjnej nie wolno na moment opuścić swojego stanowiska. Jeżeli musi, ma telefon i dzwoni do dyżurki pielęgniarek, skąd przychodzi zastępczyni.

— Maliszewski nie leżał w „izbie wytrzeźwień”, lecz w oddzielnym pokoju.

— Tak ale dyżurowała przy nim pielęgniarka z ekipy operacyjnej. Stworzyłem taką grupę dziewcząt, które wyłącznie asystują przy operacjach lub dyżurują w „izbie wytrzeźwień”. Dzięki temu są bardziej wyspecjalizowane. Każda z nich zawsze może zastąpić instrumentariuszkę. Ten reżim, że chorego po zabiegu nie wolno ani chwilę zostawić samego, moje dziewczęta mają już niejako we krwi. Nie jestem absolutnie przekonany, że Rafalska by tego nie zrobiła.

— Przecież nie miała w separacie telefonu.

— Ale dzwonek. Wystarczyło nacisnąć guzik, żeby wezwać koleżankę lub salową. Gdyby twoje twierdzenie przyjąć za pewnik to Maliszewski napił się wtedy gdzieś między szóstą a siódmą wieczorem. Po siódmej poczuł się senny i zasnął. Wtedy na korytarzu szpitala panował jeszcze normalny ruch, pielęgniarki kręciły się roznosząc chorym lekarstwa i przywołanie jednej z nich, choćby przez otwarte drzwi, nie stanowiło problemu.

— Ja widzę tylko takie wytłumaczenie tego wypadku - upierał się doktor Kochlewski. — Naturalnie, jeżeli z góry się założy, że nie było błędu w sztuce lekarskiej

— Na pewno nie było — oburzył się Niekwasz.

— A zatem zrehabilitujesz się wtedy, kiedy udowodnisz, że chory został sam przez czas dostatecznie długi, aby zdążyć wstać z łóżka i napić się wody. Innego sposobu nie ma.

— Ale jak to zrobić? — wtrąciła Niekwaszowa — Jeżeli ta dziewczyna wyszła z pokoju to teraz nie przyzna się do tego za żadną cenę. Groziłaby jej poważna odpowiedzialność za zaniedbanie, dla pacjenta śmiertelne w skutkach.

— Zygmunt musi zabawić się w detektywa. Sam przeprowadzi małe śledztwo. Niech rozpytuje lekarzy i pielęgniarki, wszystkich, którzy tego dnia dyżurowali, czy nie widzieli tej, jak jej tam...

— Elżbieta Rafalska.

— Czy nie widzieli Rafalskiej poza separatką. Jeżeli tak, czy i kto ją zastępował przy łóżku chorego. Taki wypadek był zapewne szeroko komentowany przez innych chorych. Dobrze byłoby spróbować pociągnąć za język co zdrowszych. Może oni coś zauważyli?

— Trochę to nieprzyjemnie ratować się kosztem kogoś innego. — Niekwasz miał zastrzeżenia.

— Nie bądź śmieszny — uspokajał go przyjaciel. — Nie cudzym kosztem. Nie szukasz ofiary i nie usiłujesz zrzucić winy na podległy ci personel, lecz sprawdzasz dyscyplinę pracy. To nawet twój obowiązek, jako ordynatora oddziału chirurgicznego.

ROZDZIAŁ 4

Doktor Niekwasz rozpoczyna dochodzenie

Nazajutrz Zygmuntowi Niekwaszowi nadarzyła się okazja rozmowy w cztery oczy ze swoim zastępcą, lekarzem Janem Dobrowolskim. Zagadnął go:

— Jasiu, ciągle mnie gnębi ten wypadek z Maliszewskim.

— Ja myślę! Kilku z nas rozmawiało z Postomskim o twojej sprawie. Ale dziadyga się uparł i za nic nie chce ustąpić. A przecież, szczęśliwie, wszystko skończyło się na sucho. Początkowo poważnie obawiałem się, że zrobią ci sprawę.

— Może to byłoby i lepiej? Ale chodzi mi o coś innego. Staram się zbadać, jak mogło dojść do zgonu pacjenta. Mam nawet pewną małą teoryjkę na ten temat. Tyś był u niego wtedy po południu?

— Tak. Miałem dyżur do godziny ósmej wieczorem. Po mnie przyszedł Adamczyk. To on wszczął alarm.

— Dziwi mnie, że Rafalska nie spostrzegła zmian w zachowaniu się chorego. Spał przecież bardzo niespokojnie i Adamczyk zauważył to od razu po wejściu do separatki.

— To była już późna pora. Światło w pokoju zgaszone. Dziewczyna mogła się także zdrzemnąć. Nie zapominaj, że pracowała od szóstej rano. Poza tym, co to znaczy „spał niespokojnie”? Lekarz to zaunażył bo zaczął go badać. Ale nie dowód, że chory się rzucał lub jęczał. Jeśli czasem i jęknął to po zabiegu objaw raczej normalny. Nie uważam żeby Rafalska siedząc przy chorym miała podstawy do zaniepokojenia się jego stanem. Co innego Adamczyk. Jest lekarzem, badał Maliszewskiego.

— Masz sporo racji — zgodził się Niekwasz. — Ty byłeś u pacjenta o czwartej po południu?

— Chyba trochę później. Nie patrzyłem na zegarek, ale popołudniowe odwiedziny w salach rozpocząłem o wpół do czwartej. Najpierw po kobiecej stronie korytarza, potem przeszedłem na męską. A do separatki wszedłem na ostatku. Mogło być dobrze po godzinie czwartej.

— A co potem robiłeś?

Dobrowolski nieco zdziwił się tą indagacją, ale odpowiedział:

— Zrobiłem kilka inspekcji. Następnie wydałem pielęgniarce polecenia, których chorych i jak należy przygotować do zabiegów w dniu następnym. Z kolei jedna z babek skarżyła się na silne bóle. Jeszcze raz zajrzałem do jednej z sal dla kobiet i zbadałem pacjentkę. Na ogół popołudnie było spokojne, ale jak dobrze wiesz, roboty mi nie brakowało. Wyszedłem po ósmej.

— A jak znalazłeś Maliszewskiego?

— W dobrej formie. Szok pooperacyjny mijał. Temperatury za dużej nie miał. Tylko pragnienie go męczyło. Skarżył się, że pielęgniarka nie daje mu pić. Powiedziałem, że nazajutrz dostanie gorzką herbatę, a na razie musi trochę pocierpieć. Puls był prawie normalny. Słowem nie stwierdziłem niczego podejrzanego. Pamiętam jeszcze, że Maliszewski skarżył się na bóle pleców od leżenia na wznak. Pozwoliłem mu zmienić pozycję i uprzedziłem Rafalską, że gdyby chory nie mógł zasnąć ma dostać środek uspokajający. Chodziło mi o to, żeby nasz uprzywilejowany pacjent zbytnio nie męczył się tym pragnieniem.

— Rafalska mi nic nie wspominała o leku na sen.

— Pewnie o tym zapomniała. Przecież to nie mogło go zabić.

— Oczywiście — przytaknął Niekwasz. — Po prostu staram się jak najdokładniej odtworzyć przebieg dnia i rozwój wypadków.

— Co ci to da?

— Bo ja wiem? Tonący brzytwy się chwyta. Nie przypominasz sobie, później już po twoich odwiedzinach w separacie, nie widziałeś Rafalskiej na korytarzu?

— Aha! — domyślił się lekarz — chodzi ci o to czy pacjenta ktoś nie odwiedził i nie dał mu pić?

— Nie miałem tego na myśli. To było dawno po godzinach odwiedzin. Raczej skłonny jestem przyjąć, że Maliszewski sam wstał z łóżka i napił się wody z kranu

Dobrowolski zastanawiał się.

— Nie widziałem na korytarzu Rafalskiej. Ale to wcale nie znaczy, że dziewczyna ani na chwilę nie odeszła od chorego. Wprawdzie to jedna z lepszych pielęgniarek, ale wyjątkowo dobry stan pacjenta mógł uśpić jej czujność. Tym bardziej, że słyszała jak obiecywałam Maliszewskiemu herbatę następnego dnia. Zanim doszła do dyżurki, wzięła stamtąd lek na sen i powróciła, minęło tyle czasu, że dyrektor zdążył napić się wody. Zapewne nie przyszło jej do głowy, że Maliszewski może zdobyć się na taki wybryk

— To jedyny sensowny sposób wytłumaczenia zgonu Maliszewskiego. Jestem absolutnie pewien, że podwiązkę

założyłem prawidłowo. Mogła się zsunąć tylko przy ruchach jelit, wywołanych wypiciem przez chorego większej ilości płynu.

— Ja Rafalskiej nie widziałem, ale zapytaj Adamczyka. On był na oddziale już przed ósmą. Także odwiedził kilku chorych. Robił to jeszcze przed moim wyjściem. Wtedy na korytarzu ruch się zmniejszył. Zdrowi siedzieli w świetlicy przy telewizorze, reszta w swoich pokojach. Możliwość obserwacji znacznie większa.

— Świadek Adamczyka nie ma większego znaczenia, Rafalska kategorycznie twierdzi, że chory usnął zaraz po godzinie siódmej wieczorem. Jeśli coś pił, to przedtem

— Racja, wtedy w dyżurce siedziały dwie pielęgniarki. Maryla Łabunówna i Janka Pietraszek. To pamiętam doskonale, zresztą łatwo sprawdzisz w książce dyżurów, kto pracował wtedy na drugiej zmianie.

— To się świetnie składa, bo Łabunówna i Pietraszek są teraz na oddziale. Łabunówna w zabiegowym — ucieszył się Niekwasz.

Zajęcia na oddziale chirurgicznym przebiegały swoim codziennym normalnym torem. Sprzątanie, toaleta chorych, poranny obchód, potem śniadanie. Po śniadaniu część chorych zgłaszała się do sali zabiegowej, gdzie zmieniano im opatrunki. Przeważnie wszystkich tych czynności dokonywały pielęgniarki, ale pod nadzorem jednego z chirurgów. Najczęściej funkcje te spełniał jeden ze stażystów. Dzisiaj zajrzał tutaj sam ordynator.

— Pani Marylko — powiedział chirurg do Łabunówny kiedy zostali sami — chciałbym o coś zapytać. W prywatnych rozmowach Niekwasz zwracał się do pielęgniarek per „pani”, nigdy ich nie „tykał” formę tę stosują niektórzy lekarze, uważając, że w ten sposób podnoszą własny autorytet. — Jak zachowywał się ten nieszczęsny Maliszewski wtedy, kiedy pani zastępowała przy nim Rafalską?

— Był bardzo gadatliwy. W kółko powtarzał to samo. Że bardzo się cieszy ze swojej decyzji i że operację ma już za sobą. Opowiadał także, jaki był dzielny sam idąc na salę operacyjną.

Jak śmiał się i rozmawiał z panem doktorem. I że nic nie czuł i nie pamięta. Nawet momentu, kiedy zaczęła działać narkoza. Jak to zwykle każdy pacjent.

— Normalny szok pooperacyjny. Nie skarżył się na nic? Nic go nie bolało?

— Trochę narzekał, że musi leżeć na wznak. Pocieszałam go, że niedługo przyjdzie lekarz i pewnie pozwoli mu zmienić pozycje.

— Długo pani z nim rozmawiała?

— Nie. Najwyżej piętnaście minut. Elka poszła do stołówki. Była bardzo głodna i wyrzekała na późny obiad. Pielęgniarki na porannej zmianie były jednak tak zajęte, że nie mogły jej zastąpić.

— To było tak późno?

— Nie tak bardzo. Ze trzy kwadranse po drugiej. Jeszcze zanim rozwiozłyśmy kompot, co zawsze robimy około trzeciej.

— Maliszewskiemu też dałyście?

— Panie doktorze! Skąd? Elka nie wzięła. Choremu nie wolno pić bezpośrednio po operacji.

— A później, tak około szóstej po południu. Maliszewski był nadal podniecony, czy szok ustąpił?

— Później przy nim nie byłam. Wyszłam z pracy po dziesiątej. Dopiero na drugi dzień dowiedziałam się o całym nieszczęściu... — dziewczyna spostrzegła swoją gafę, zarumieniła się i dodała — przepraszam pana doktora.

— Nie ma za co — Niekwasz uśmiechnął się — to naprawdę nieszczęście dla naszego szpitala, dla oddziału chirurgicznego i przede wszystkim dla mnie osobiście. Pani wie, jaka wytworzyła się sytuacja...

— Rozmawiałam z dziewczętami, które asystowały przy operacji. W ogóle wypadek był szeroko komentowany. Zarówno przez personel, jak i przez chorych. Dziewczyny twierdzą, że pan doktor jak zwykle zrobił zabieg szybko i sprawnie. Halinka — instrumentariuszka doskonale pamięta, kiedy pan doktor zakładał podwiązkę. One gotowe zeznawać w sądzie pod przysięgą. Wszystkie się martwimy, że pan doktor ma teraz z tego powodu takie ogromne przykrości.

— Przykrości to głupstwo. Nie chodzi o nie. Najbardziej mnie gnębi powód śmierci tego człowieka. Muszę dojść prawdy.

— Rozumiem — powiedziała pielęgniarka.

Rozmowa się urwała, bo do salki wszedł następny chory, prowadzony przez jedną z pielęgniarek. Niekwasz aż do obiadu asystował przy zabiegach. W krótkich przerwach usiłował dowiedzieć się czegoś więcej od sympatycznej i życzliwej mu Łubanówny.

— A kto zastępował Rafalską, kiedy drugi raz opuściła separatkę?

— Nie wiem. Podczas mojej obecności w dyżurce nie dzwoniła. Może salowa? A może przedtem umówiła się z Pietraszkówną?

— Widziała pani potem Rafalską na korytarzu?

— Nie pamiętam. Nie zwracałam uwagi. Stale kręcą się tutaj jakieś pielęgniarki. Jeżeli nie z naszego oddziału, to z innego. Choćby z urologicznego. Z pierwszego piętra mają blisko

Jeszcze tego samego dnia Niekwasz rozmawiał z Janiną Pietraszek. Dziewczyna przyznała, że koleżanka dyżurująca w separacie prosiła ją o krótkie zastępstwo. Było to nieco przed piątą. Nieobecność Rafalskiej w pokoju trwała najwyżej dziesięć minut.

— Jak się zachowywał chory?

— Mówił, że czuje się dobrze i cieszył się, że lekarz pozwolił mu położyć się na boku. Narzekał, że od leżenia na stole operacyjnym i później w łóżku, ciągle w pozycji na wznak, rozboleł go kręgosłup. To mu bardziej dokuczalo niż sama operacja.

— Nie skarżył się na pragnienie?

— Wspomniał, że wypiłby ze dwie szklanki herbaty, a Elka tylko mu wargi zwilża gazą. Poprawiłam mu poduszki i zapewniłam, że kiedy nazajutrz się obudzi pragnienie nie będzie mu tak dokuczalo, a na śniadanie pan doktor pozwoli mu wypić kubek gorzkiej herbaty. Zaraz potem przyszła Elka. Przez parę minut rozmawialiśmy w trójkę i ja wyszłam, bo miałam dużo pracy.

— A kiedy Rafalska poszła do telefonu, tak w godzinę później — lekarz „strzelał w ciemno” - kto ją zastępował?

— Nie ja.

— Pamięta pani, która wtedy była godzina? Mówię o tym następnym wyjściu Rafalskiej?

— Nie pamiętam.

— Ale pani ją widziała na korytarzu? Wstępowała do dyżurki? Może brała lek nasenny dla Maliszewskiego?

— Nie ode mnie. Może Maryla jej dawała? Prawdę mówiąc, to nie przypominam sobie, czy rzeczywiście widziałam później Rafalską. Tak jak gdyby mignęła mi przechodząc przez korytarz, ale czy to była ona i kiedy to było, nie mogłabym przysiąc. Pan doktor myśli, że Elka coś nawaliła?

— Znam ją i nie przypuszczam, ale szukam rozwiązania zagadki. Może chory w czasie nieobecności Rafalskiej wziął jakiś lek, którego nie powinien zażywać po zabiegu? W szufladzie stolika Maliszewskiego znaleźliśmy całą aptekę. Pielęgniarka czy salowa, która zastępowała chwilowo Elkę, mogła nie orientować się, że choremu któryś z tych leków zaszkodzi.

— Ja jej więcej nie zastępowałam — powtórzyła pielęgniarka.

Dalsze usiłowania Zygmunta Niekwasza dowiedzenia się czegokolwiek nowego nie dały rezultatu. Nikt nie przyznawał się, że około szóstej wieczorem, chociaż na krótko zastępował pielęgniarkę przy chorym. Nikomu też nie utkwiło w pamięci czy w tym czasie dziewczyna pojawiła się na korytarzu. Lekarzowi nie pozostało nic innego, jak tylko rozmówić się z Rafalską osobiście. Mógł to jednak uczynić dopiero nazajutrz, bo pracownica szpitala miała wolny dzień po nocnym dyżurze. Ale i następnego dnia nie udało się lekarzowi znaleźć okazji do porozmawiania na osobności, bez świadków, z panną Elżbietą.

Do tej rozmowy doszło dopiero na czwarty dzień. Przez cały ten czas Niekwasz nadal usiłował dowiedzieć się jakichś szczegółów z ostatnich godzin życia dyrektora Maliszewskiego. Dopytywał nawet lżej chorych, leżących w pokojach sąsiadujących z separatką.

Wszystko na próżno. Ponieważ pielęgniarka Rafalska przebywała przeważnie na trzecim piętrze, gdzie mieściły się sale operacyjne i „izba wytrzeźwień”, przeto chorzy nie znali jej

tak dobrze, jak inne siostry stykające się z nimi bezpośrednio na co dzień. Nikt więc nie zwrócił uwagi na dziewczynę w stroju pielęgniarskim, nawet jeżeli przeszła korytarzem.

Natomiast jeden z pacjentów upierał się, że mniej więcej jakiś kwadrans przed siódmą z separatki wyszedł lekarz. Opowiadający o tym wydarzeniu wracał właśnie ze świetlicy i obaj mężczyźni wyminęli się na korytarzu.

— To pewnie był doktor Dobrowolski — tymi słowami Niekwasz pokwitował uwagę chorego, nie przywiązując do niej większego znaczenia.

— Ależ nie. Doktora Dobrowolskiego znam dobrze — zaprotestował pacjent. — To był ktoś inny. Nigdy go nie widziałem na chirurgii.

— Jak wyglądał?

— Nie przyglądałem się specjalnie. Jak to lekarz, w białym ubraniu. Średniego wzrostu. Szedł szybko korytarzem w stronę schodów.

— Może to był któryś z salowych?

— Nie. Na pewno lekarz.

— Wychodził z separatki?

— Tak mi się zdaje. A może z sąsiedniej sali? Drzwi znajdują się blisko siebie. Z daleka można się omylić — rozmówca Niekwasza zawahał się.

W rozmowie z pielęgniarką Niekwasz postanowił postawić sprawę jasno. Mógł się przecież dowiedzieć prawdy jedynie pod warunkiem zdobycia całkowitego zaufania dziewczyny.

Na to spotkanie Rafalska przysłała bardzo speszona. Koleżanki zdążyły ją uprzedzić, o co ordynator zapyta.

— Domyśla się pani na jaki temat chciałem z panią rozmawiać. Chodzi mi o tamten dzień, kiedy operowałem Maliszewskiego. Pani miała przy nim dyżur.

— A nie zrobiłam alarmu — zaczęła się tłumaczyć pielęgniarka — bo zdawało mi się, że wszystko jest w porządku i chory po prostu śpi. Leżał spokojnie. Czasami jęknął albo przekręcił się z boku na bok. Skąd ja mogłam wiedzieć, że zaczął się krwotok wewnętrzny? Dopiero pan doktor Adamczyk, kiedy badał chorego i nie mógł się go dobudzić,

zorientował się, że pan Maliszewski jest nieprzytomny.

— Nie czynię pani żadnych zarzutów Nic dziwnego, że chory zasnął. Doktor Dobrowolski polecił pani dać mu środek nasenny.

— Nic mu nie dawałam.

— Jak to? Przecież doktor Dobrowolski zalecił! Zresztą słusznie. Chorego męczyło pragnienie i należało przynieść mu jakąś ulgę.

— Chciałam dać mu na sen gdzieś około dziewiątej, żeby chory za wcześnie się nie obudził. Ale pan Maliszewski sam zasnął wcześniej.

— Nie skarżył się na nic?

— Trochę narzekał, że krzyż boli. Rozmawialiśmy. To był bardzo rozmowny pacjent. Zdążył mi przez te kilka godzin opowiedzieć chyba całe swoje życie. Jak to on często jeździ za granicę. Francja, Włochy, Szwajcaria, NRF. Ma drugą żonę. Z pierwszą miał dwoje dzieci. Syn skończył już technikum i pracuje w FSO. Nie dostał się na politechnikę, studiuje zaocznie. Córka kończy chemię na Uniwersytecie Warszawskim. Słuchałam tego piąte przez dziesiąte... Potem dodał, że w drugim małżeństwie też mu się nie układa. Najpierw on chciał się rozwieść, żona nie dawała zgody na rozwód. Teraz ona podobno kogoś sobie znalazła więc on na złość chciał ją przytrzymać. Miał jakąś trzecią, ale go rzuciła. Właśnie dla niej chciał się rozwodzić drugi raz. Chwalił się ogromnym powodzeniem u kobiet. W jego biurze kochało się w nim kilkanaście urzędniczek.

— Wpływowo dyrektor. Często wyjeżdżający za granicę...

— A jak się przechwalał, co to on naprzywoził stamtąd! Mnie również obiecywał, że przywiezie z Francji najmodniejszą kremplinę. Radził się, co przywieźć panu doktorowi, bo chciałby się jakoś odwdzińczyć za tak dobrze zrobioną operację.

— Widzi pani — uśmiechnął się Niekwasz — cośmy oboje stracili na tej śmierci.

— Pan doktor... — dziewczyna nagle urwała.

— Krwotok wewnętrzny nastąpił dlatego — chirurg przystąpił do decydującej fazy „przesłuchania” — że chory coś zjadł lub

wypił.

— To niemożliwe! Nie pozwoliłabym na to.

— Wiem. Ale mogło się zdarzyć, że pani wyszła na chwilę z pokoju. To nie dyżur na sali pooperacyjnej, gdzie pielęgniarki nie wolno odejść nawet na sekundę od chorych. Tym bardziej, że stan Maliszewskiego nie budził najmniejszych obaw i w gruncie rzeczy pacjent nie powinien blokować separatki, lecz po obudzeniu się z narkozy zająć łóżko na sali ogólnej.

— Nie było takiego momentu, panie doktorze — obstawała przy swoim Rafalska — że chory został sam. Jeżeli musiałam wyjść z separatki, wzywałam którąś z koleżanek. Za długo pracuję na oddziale chirurgicznym, abym zostawiła chorego bez opieki.

— Więc twierdzi pani, że to wykluczone, aby Maliszewski mógł coś wypić?

— Wykluczone. Zresztą pragnienie mu tak bardzo nie dokuczało. Skarżył się na nie, ale na pewno mniej cierpiał, niż nieraz inni po poważniejszych operacjach. Przecież wiem, jak to jest z chorymi.

A ponieważ narzekał, że go światło razi, zasunęłam story i w separacie cały czas panował półmrok.

— Maliszewski przyniósł ze sobą do szpitala dużo rozmaitych leków. W tym także środki psychotropowe. Librium, psychedrynę i tym podobne. A co do tego bólu oczu, to skutek narkozy. Miał rozszerzone źrenice.

— Tak. Miałam wrażenie, że należy do takich pacjentów, którzy lubią się leczyć i dbają o siebie. Opowiadał mi, jakie leki stale przyjmuje. Podejrzewam, że był hipochondrykiem.

— To na pewno. Najlepiej o tym świadczy ta podręczna apteczka w stoliku. Czy niczego nie łykał?

— Nigdy bym na to nie pozwoliła.

— Nikt go nie odwiedzał?

— Nie. Nie wpuściłabym nikogo do chorego bezpośrednio po operacji. I tak ciągle musiałam powtarzać panu Maliszewskiemu, żeby tyle nie mówił, bo się niepotrzebnie męczy. A jemu dosłownie usta nie zamykały się ani na chwilę. Dopiero po godzinie siódmej trochę się uspokoił z tym

gadaniem. A zaraz potem powiedział: „Spać mi się zachciało, zdrzemnę się na pół godzinki” Prawie natychmiast usnął. Już się biedak nie obudził... Ale przedtem było sporo telefonów. Dzwoniła żona i z pracy jacyś panowie. Dyżurne pielęgniarki przyjmowały te telefony i informowały, że chory czuje się dobrze, lecz nie jest wskazane, żeby go odwiedzać przez najbliższe dwa dni. Kiedy drzwi na korytarz były otwarte, zaglądali do separatki inni chorzy i wypytywali, jak się udał zabieg. Przepędziłam ich szybko i zamykałam drzwi z powrotem, aby jeszcze bardziej nie podniecać pacjenta.

— Dziękuję pani — lekarz orientując się, że od Rafalskiej niczego więcej się nie dowie, zrezygnował z dalszych pytań.

— Chciałabym panu doktorowi dopomóc. Doskonale rozumiem, w jakim pan się położeniu teraz znajduje. Ale ja doprawdy nic nie wiem...

Po powrocie do domu Niekwasz zrelacjonował żonie przebieg rozmowy z Elżbietą Rafalską. Był kompletnie załamany Ostatnia nadzieja, jaką jeszcze miał po rewelacjach doktora Andrzeja Kochlewskiego, teraz rozwiała się jak dym.

— Ta dziewczyna kłamie — Niekwaszowa pocieszała męża — po prostu boi się odpowiedzialności. Na pewno tamte pielęgniarki uprzedziły ją, o co możesz posądzać Rafalską. Jednocześnie wie, że nie masz przeciwko niej żadnego dowodu i dlatego nie przyznaje się do winy.

— Robiła wrażenie szczerzej. Podkreślałem przecież, że na dyżurze w separacie nie obowiązywał jej tak ścisły rygor jak w „izbie wytrzeźwień”. Nie miałbym żadnego powodu do ukarania. Nie polecałem dziewczynie siedzenia kamieniem w separacie. To nie było konieczne, stan chorego nie wymagał takiej przezorności.

— Pacjent umarł, wołała się nie narażać.

— Albo powiedziała prawdę... Nie wiem, co dalej robić. Czuję, że zaczynam wariować.

— Zygmunt — prosiła żona — rzuć w diabły ten przeklęty szpital. Mogę zamienić się urlopem z jednym z kolegów. Wyjedźmy stąd. Powłóczymy się po Polsce, albo jeszcze lepiej, jedźmy do NRD i do Czechosłowacji. Uspokoisz się nerwowo i

odpoczniesz po tych wszystkich tarapatach.

— Nie mogę kochanie, nie mogę. Muszę zdobyć pewność, że to nie ja zabiłem tego człowieka.

— Możesz się tego nigdy nie dowiedzieć.

— To nie będę chirurgiem. A nawet w ogóle rzucę medycynę.

— Ty się naprawdę wykończysz.

— Musisz mnie zrozumieć. Tu nie chodzi o tę całą bandę, która na mój widok stroi współczujące miny a za plecami niejeden cieszy się z moich kłopotów. Tu idzie o moje wewnętrzne przekonanie, że byłem w porządku. Muszę to wiedzieć.

Niekwaszowa nie starała się nakłonić męża do zmiany decyzji. Rozumiała go aż za dobrze. Sama postąpiłaby nie inaczej. Usiłując pocieszyć Zygmunta dodała bez większego przekonania.

— Mam nadzieję, że ta pielęgniarka jeżeli jest uczciwą dziewczyną, sama dojdzie w końcu do wniosku, że powinna powiedzieć ci całą prawdę.

Ale do tego nigdy nie doszło. W kilka godzin po rozmowie Niekwasza z żoną, Elżbieta Rafalska już nie żyła.

ROZDZIAŁ 5

Pirat drogowy

— Pogotowie milicji.

— Mówi Karol Leszczyński. Na skrzyżowaniu Stołecznej i Krasińskiego jakiś samochód przejechał kobietę. Pirat uciekł

— Widział pan ten wóz?

— Nie widziałem

— Skąd pan dzwoni?

— Od siebie z domu.

— Numer telefonu?

— 31-93-82.

— Dziękuję. Wysyłamy radiowóz. Czy pogotowie ratunkowe zawiadomiono?

— Najpierw telefonowałem do nich. Obiecali przyjechać.

— Dziękujemy. Proszę się wyłączyć.

Ten meldunek pogotowie milicyjne przyjęło w sobotę wieczorem o godzinie dwudziestej trzeciej i pięćdziesiąt jeden minut. Leszczyński, jak to później zeznał podczas przesłuchania, usłyszał krzyk i jęki dochodzące do mieszkania z ulicy. Kiedy podbiegł do otwartego okna, zauważył leżącą na jezdni kobietę i czerwone światła szybko oddalającego się samochodu. Natychmiast zawezwał pogotowie ratunkowe i milicję. Wypadek zdarzył się kwadrans przed północą.

Oba samochody, karetka pogotowia i radiowóz, podjechały na miejsce wypadku prawie jednocześnie. Tymczasem jacyś przechodnie przenieśli nieprzytomną kobietę ze środka jezdni i delikatnie położyli na trawniku. Miejsce wypadku wskazywała duża plama krwi.

Lekarz pochylił się nad dziewczyną, aby ją zbadać potem otworzył walizeczkę, wyjął strzykawkę i zręcznie dokonał zastrzyku. Podniósł się i wyjaśnił stojącemu obok sierżantowi MO z radiowozu.

— Paskudnie dostała. Stan bardzo ciężki. Zabieramy ją do Szpitala Praskiego. Oni dzisiaj mają ostry dyżur.

Noszowy nie czekając na polecenie, wysunął z karetki nosze. Lekarz z pomocą kierowcy i noszowego ułożyli dziewczynę w samochodzie.

— Kto to? — zapytał doktor sierżanta który przeglądał zawartość torebki rannej kobiety.

— Jakaś Elżbieta Rafalska, pielęgniarka ze szpitala na Zielnej. Zamieszkała przy ulicy Krasińskiego 124

Lekarz zapisał te dane.

— Dokumenty zabieracie?

— Tak

— No to my jedziemy.

Karetka pogotowia zniknęła w mroku.

Sierżant radiowozu porozumiał się z komendą, skąd miała nadjechać ekipa dochodzeniowa dla zabezpieczenia śladów wypadku.

— Kto z państwa to widział? — milicjant zwrócił się do grupki ludzi którzy przystanęli na chodniku i komentowali to

zdarzenie.

Nikt nie był świadkiem wypadku. Jedni, jak Karol Leszczyński, usłyszeli krzyk kobiety inni nadeszli później. Nikt też nie umiał określić marki samochodu który spowodował nieszczęście. Wypadek zdarzył się na przejściu strzeżonym na pasach. Sierżant wynotował więc jedynie nazwiska i adres osób mogących tylko potwierdzić, że słyszeli krzyk lub zauważyli szybko oddalający się wóz. Ci drudzy twierdzili, że chyba to albo ciężarówka albo furgonetka. Numeru nikt nie zdołał zanotować.

Przyjechała ekipa dochodzeniowa. Zaczęły się normalne czynności. Fotografowanie miejsca wypadku z plamą krwi na jezdni i szukanie śladów opon samochodowych.

— Ciekawe — zauważył jeden z milicjantów — niech pan porucznik popatrzy. Jechał tędy i nagle skręcił w lewo Prosto na tę kobietę. Jak gdyby chciał ją umyślnie przejechać. Przecież nie mogło go aż tak zarzucić. Jezdnia zupełnie sucha i czysta

— Może mu lewa przednia dętka nawaliła i ściągnęło wóz? — wtrącił jeden z nielicznych już gapiów.

— To by nie uciekał — odpowiedział milicjant. — Zresztą ślady nie wskazują na uszkodzenie wozu. Wyraźnie widać, jak ostro skręcił w lewo w Kasińskiego. Szybko jechał, bo omal go nie zniosło na przeciwległy chodnik.

Milicjanci fotografowali odciski opon.

— Nic nie widać — złościł się fotograf — jezdnia sucha jak pieprz. Dawno nie padało, a jak nawet polewaczka pokropi, to po piętnastu minutach ani śladu wilgoci.

— To na pewno „Warszawa” — twierdził któryś z techników dochodzeniowych. — Na zakręcie widać charakterystyczne bieżnikowanie opon.

— Ja tam nic nie widzę — upierał się fotograf — Może po wywołaniu i powiększeniu coś wyjdzie?

— Złapiemy go — porucznik kierujący akcją był optymistą.

Ekipa skończyła pracę i odjechała. Na jezdni pozostała ciemnoczerwona plama. Dopiero nazajutrz dozorca zmył ją paru kubłami wody.

A tymczasem ranną przewieziono do szpitala przy

Zygmuntowskiej Tutaj dziewczynę natychmiast poddano dokładnym badaniom. Stan był rzeczywiście groźny. Wiele złamań, ciężkie obrażenia kręgosłupa i głęboka rana oraz prawdopodobnie pęknięcie czaszki. Nie licząc innych, mniej poważnych obrażeń.

Ofiarę wypadku, ciągle nieprzytomną, wzięto od razu na stół operacyjny. Tutaj dziewczyna na chwilę odzyskała przytomność. Usiłowała podnieść głowę i zdobywając się na najwyższy wysiłek powiedziała wyraźnie:

— To bardzo ważne! Powiedzcie doktorowi Niekwaszowi...

Głowa rannej opadła do tyłu. Znowu straciła przytomność.

Już jej nigdy nie odzyskała. Anestezjolog czuwający nad chora w czasie operacji przerwał pracę chirurga.

— Brak akcji serca — stwierdził.

Rozpoczęto zabiegi reanimacyjne. Bez skutku. Elżbieta Rafalska skończyła życie w niedzielę nad ranem, o godzinie drugiej trzydzięci siedem. Miała dwadzieścia trzy lata i osiem miesięcy.

Noc z soboty na niedzielę to w każdym wielkim mieście najgorsze godziny dla szpitala pełniącego ostry dyżur. Toteż lekarze w Szpitalu Praskim mieli i tej nocy ręce pełne roboty. Dopiero w niedzielę, po zakończeniu pracy, jeden z nich przypomniał:

— Co też ta biedna dziewczyna chciała powiedzieć?

— Która? — zapytał kolega, bo w czasie ich dyżuru nie wszystkie przywiezione pacjentki udało im się utrzymać przy życiu.

— No ta, która wpadła pod samochód.

— Pamiętam wyraźnie jej ostatnie słowa: „To bardzo ważne. Powiedzcie doktorowi Niekwaszowi”.

— Może to była jego dziewczyna?

— Znam Niekwasza — dodał trzeci z lekarzy — to świetny chirurg, ale ostatnio miał wyraźnego pecha. Coś tak sknocił w czasie resectio appendicitis, że mu pucjent wykitował pod nożem. Ma facet z tego tytułu duże nieprzyjemności.

— To ten? Znam całą historię, tylko nazwisko jej bohatera wyleciało mi z pamięci.

— Byłoby dobrze zawiadomić tego Niekwasza o śmierci dziewczyny.

— Zawiadomcie — zgodził się anestezjolog — ja się nie nadaję do takich żałobnych misji. Na pewno figuruje w książce telefonicznej.

Jeden z lekarzy odszukał nazwisko Niekwasza i wykręcił numer. W słuchawce odezwał się głos kobiecy.

— Czy mogę rozmawiać z panem doktorem Niekwaszem?

Zaraz poproszę męża.

Chirurg podszedł do aparatu.

— Mówię ze Szpitala Praskiego. Maciej Wierzbicki, lekarz.

— Słucham kolegę.

— U pana doktora pracowała pielęgniarka Elżbie Rafalska?

— Tak.

— Przykro mi, ale ona nie żyje.

— Co się stało?!

Ubiegłej nocy wpadła pod samochód. Przywieziono ją do nas na ostry dyżur. Niestety...

— To straszne - Niekwasz był wstrząśnięty tragiczną wiadomością.

— Robiliśmy co w naszej mocy. Złamanie kręgosłupa, pęknięcie czaszki i wiele innych obrażeń. Krwotok w prawym płucu.

— Rozumiem. To bardzo smutne. Szkoda dziewczyny. Jak to się stało?

— Nie znamy szczegółów. Pogotowie przywiozło ją z Żoliborza. Podobno została przejechana na pasach, a sprawca uciekł.

— Miejmy nadzieję, że go złapią.

— Dziewczyna była nieprzytomna i jedynie na moment odzyskała świadomość. Zdołała wtedy powiedzieć kilka słów. Właśnie dlatego telefonuję do pana doktora, że dotyczyły jego osoby.

— Co mówiła?

— „To bardzo ważne. Powiedzcie doktorowi Niekwaszowi...”

— Nic z tego nie rozumiem, niemniej dziękuję panu koledze za przekazanie mi tej wiadomości.

— Nie ma za co. Żałuję, że nie dzwonię z jakąś przyjemniejszą

nowiną — Wierzbicki odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi. Tego rodzaju obowiązki nie należą do najmilszych.

— Coś się stało? — Niekwaszowa zapytała męża.

— Rafalska nie żyje.

— Co?!

— Miała wczoraj dyżur. Wracła do domu w nocy i widocznie nie zauważyła nadjeżdżającego samochodu. Co za straszny wypadek? Jakieś dziwne fatum mnie prześladowuje. Z kim tylko mam do czynienia, ten zaraz umiera. Dopiero wczoraj rozmawiałem z dziewczyną. Przejęła się tą historią, może zdenerwowała się niesłusznym posądzeniem jej o brak dyscypliny i dlatego wpadła pod samochód.

— Nie opowiadałbyś głupstw.

— To nie głupstwa. Nawet w momencie śmierci Rafalska myślała o mnie. Jej ostatnie słowa: „To bardzo ważne. Powiedźcie doktorowi Niekwaszowi...”

— To nie był wypadek. To było morderstwo. Ktoś wiedział, że rozmawiałeś z Rafalską i postanowił zamknąć jej usta na zawsze.

— Co ty opowiadasz? Zastanów się. Któż mógł chcieć śmierci tej dziewczyny?

— Ten, kto zabił Maliszewskiego.

Chirurg zdziwiony tonem głosu żony spojrział na nią uważnie.

— Nie myśl, że zwariowałam. Właśnie dopiero teraz zrozumiałam całą prawdę. Maliszewskiego zamordowano. Nie wiem, czy Rafalska była współniczką w tej zbrodni, ale musiała coś wiedzieć albo mogła się czegoś domyślać. Kiedy morderca dowiedział się, że ty na własną rękę usiłujesz rozwiązać zagadkę tajemniczego zgonu dyrektora i dlatego przeprowadzasz szczegółowe rozmowy z personelem szpitalnym, wtedy przestraszył się. W obawie, że pielęgniarka może się z czymś wygadać, popełnił drugie morderstwo. Tym razem ze strachu. To jasne.

— Nie wiedziałem, że masz taką fantazję.

— To nie fantazja. Głowę mogę dać, że tak było. Tylko zamach na życie Maliszewskiego tłumaczy jego zagadkowy zgon. Rafalska musiała wyjść z separatki pozostawiając chorego

samego, albo co gorsza pod opieką... mordercy. Wtedy ten człowiek dał dyrektorowi jakiś mocny środek nasenny i pozwolił mu ugasić pragnienie. Zwykłą wodą a może przyniósł kompot, jak tamci z Wrocławia? Nic dziwnego, że Maliszewski nagle poczuł się taki senny i tak mocno zasnął. I albo Rafalska coś zauważyła po swoim powrocie do separatki, albo przestępca bał się, że zauważyła.

Początkowo nie był tego pewny i spokojnie czekał. Skoro dowiedział się że ty coś podejrzewasz, postanowił działać.

— Z tego co mówisz wynika, że ten człowiek jest doskonale poinformowany o wszystkim, co dzieje się w naszym szpitalu.

— Nie przeczę.

— Nie mogę odmówić logiki twojemu rozumowaniu. Ale pomimo to nie wierzę w tę hipotezę. Nie mam śmiertelnych wrogów. Są ludzie zawistni, którym solą w oku jest mój pewien rozgłos zawodowy i przed ukończeniem trzydziestu pięciu lat uzyskanie ordynatury w dużym szpitalu. Ale nie sądzę, żeby któryś z nich aż tak dążył do mojej zguby, aby iść po trupach do tego celu.

— Jednak znalazł się ktoś taki.

— Przecież nie Postomski? Dyrektor sam mnie ściągnął do swojego szpitala. Zawsze pomagał mi realizować plany, zwłaszcza przy przebudowie gmachu.

— Nie twierdzę, że Postomski. Nawet uważam, że możesz go z tej listy wykluczyć. Nie miał w tym żadnego interesu.

— A więc kto? Dobrowolski ?

— Kto zostanie ordynatorem po twoim odejściu?

— Jedyne szanse na to stanowisko mają Lewandowski i Dobrowolski. Nie przypuszczam, żeby obaj palili się do tej posady. Lewandowski pracuje także w lecznictwie otwartym. Dobrowolski ma dobrze płatne godziny w przemysłowej służbie zdrowia.

Namawiają go, aby rzucił szpital i przyjął tam pełny etat. Obydwoj nie mogliby pogodzić funkcji ordynatora z tymi zajęciami. Poza tym każdy z nich straciłby na takiej zamianie co najmniej z półtora tysiąca złotych.

— Może temu komuś nie tylko chodziło o pieniądze, ale o za-

spokojenie swojej ambicji albo swojej zazdrości lub nienawiści?

— Nie oni. Obaj doskonali chirurdzy. Czeka ich wielka przyszłość.

— To nie muszą być twoi bezpośredni zastępcy. To może być jakiś inny lekarz, który uważa, że go niesprawiedliwie pomijasz przy przydzielaniu trudniejszych zabiegów i w ten sposób zamykasz mu drogę do kariery. Jakaś pielęgniarka skarcona przez ciebie lub usunięta z oddziału.

— Bój się Boga kobieto, gdyby z tych powodów ludzie nawzajem się mordowali, już by dawno nikogo nie było na świecie. Tylko wariat zdobyłby się na to.

— Czy ja mówię, że to zrobił człowiek normalny? W ogóle uważam, że każdy przestępca jest trochę psychopatą. A możesz zapewnić mnie, że wśród lekarzy lub wśród pielęgniarek nie ma wariatów? Piekielny spryt, z jakim zorganizowano te dwie zbrodnie, potwierdzałyby moją tezę. Nie ma tak przemyślnych ludzi, jak psychopaci, kiedy postanawiają zrealizować jakiś swój zamiar.

— Ja chyba też zwariuję.

— Ale przedtem ubierz się i jedź do Pałacu Mostowskich. Do Komendy Stołecznej MO. Tam porozmawiaj z jakimś mądrym facetem.

— Wyśmieją mnie.

— Nie przypuszczam. Chcesz, pojedę z tobą?

— Mówisz poważnie?

— Uważam, że teraz jest to twoim obowiązkiem. Rozmawiałeś przecież z prokuratorem. Wtedy nie miałeś żadnych argumentów poza nieusprawiedliwioną krzywdę jaką ci wyrządzono. Prokurator ciebie nie wykipił, a jedynie stwierdził, że nie ma podstaw do wszczęcia śledztwa, którego celem byłaby rehabilitacja lekarza. Ale od tego czasu wiele się zmieniło, śmierć Rafalskiej rzuca nowe światło na tę sprawę. Leży ona w kompetencji milicji. Tym bardziej, że i tak muszą wyjaśnić wypadek samochodowy.

— Nie przekonałaś mnie w zupełności, ale pójdę spróbuję porozmawiać z nimi. Posłucham, co mi powiedzą.

— Idź. Nie masz nic do stracenia.

ROZDZIAŁ 6

„Zbadamy sprawę bardzo dokładnie”

— Obywatel w jakiej sprawie?

— Nazywam się Zygmunt Niekwasz. Jestem chirurgiem ze szpitala na Zielnej. Wczoraj w nocy zabito Elżbietę Rafalską, pielęgniarką z naszego zakładu.

— Kto ją zabił i jak? — starszy sierżant MO siedzący w dyżurce w Pałacu Mostowskich ożywił się.

— Zabił ją samochód. Na skrzyżowaniu Stołecznej i Krasińskiego.

— To nie do nas. Dochodzenie w tej sprawie na pewno prowadzi dzielnica.

— Ale ja znam ważne szczegóły. Chciałbym porozmawiać z którymś z oficerów.

— W dzielnicy.

— To nie był zwykły wypadek. To zabójstwo.

— Naprawdę?

— Po prostu chciano ją zabić i czekano, kiedy wejdzie na jezdnię.

— Obywatel był widocznie na jakimś amerykańskim filmie z gangsterami.

— Ta pielęgniarka wiedziała o innej zbrodni. Dlatego poniosła śmierć.

Starszy sierżant z niedowierzaniem popatrzył na Niekwasza. Westchnął w duchu, że trudno będzie spławić takiego niezwykłego petenta, który w niedzielę rano przychodzi złożyć jakieś zeznania i nie pozwoli nawet spokojnie przeczytać porannej gazety. Postanowił więc tę piłkę podać do następnego gracza. Z ociąganiem się sięgnął po słuchawkę i nakręcił numer wewnętrzny:

— Obywatelu majorze — meldował — zgłosił się obywatel... Jak wasze nazwisko? Acha, Zygmunt Niekrasz, doktor...

— Nie Niekrasz, tylko Niekwasz — poprawił chirurg.

— Wszystko jedno — odpowiedział starszy sierżant prosto do

słuchawki. Ten obywatel wyjaśnia, że nazywa się Niekwasz. Twierdzi, że wie o jakimś podwójnym morderstwie. Pielęgniarka z ich szpitala kogoś zabiła. Przejechała samochodem.

— To ją przejechali — sprostował Niekwasz.

— Wszystko jedno. Ten obywatel poprawia, że to pielęgniarkę przejechali. Mówiłem mu, że takimi sprawami zajmuje się dzielnica na Żoliborzu, bo tam została przejechana, ale ten obywatel twierdzi, że ma ważne wiadomości i musi się widzieć z oficerem dochodzeniowym. A że pan major ma akurat dyżur... Tak jest, rozumiem, zaraz go doprowadzę... Dobrze, sam przyjdzie. Odmeldowuję się obywatelowi majorze.

— Pójdziecie, obywatelu, tymi schodami na drugie piętro. Pokój dwieście trzydzieści siedem. Zapamiętajcie dobrze. Major Janusz Kaczanowski. Zrozumieliście?

Lekarz bez słowa skierował się w stronę schodów, zaś starszy sierżant wielce rad, że tak zręcznie pozbył się niedzielnego interesanta, wrócił do swojej ciekawej lektury.

Na powitanie chirurga podniósł się zza biurka wysoki, szczupły mężczyzna w jasnym ubraniu. Ciemne, lekko siwiejące na skroniach włosy miał gładko zaczesane do tyłu. Twarz pociągła, mocno opalona. Nos był zbyt duży. Gdyby ten nos był innego kształtu, Kaczanowski mógłby zrobić karierę nie w milicji, lecz jako amant filmowy. Oczywiście przed dwudziestu laty, kiedy jeszcze nie dociągał trzydziestki. Oczy jasno niebieskie o zimnym, czujnym spojrzeniu.

— Proszę, niech pan siada — oficer milicji uprzejmym gestem wskazał wygodny fotel — może papierosa? — podsunął pudełko „zefirów”.

— Dziękuję, nie przepadam za mentolowymi. Zresztą staram się ograniczyć palenie.

— Pan ma jakieś ważne wiadomości, którymi chciałby się pan z nami podzielić. Proszę mi opowiedzieć.

— Uprzedzam, że to będzie dłuższa historia.

— Nie szkodzi. Ja mam dyżur do wieczora, a panu też pewnie się nie śpieszy?

— Obawiam się — chirurg nie odpowiedział na to pytanie — że pan major uzna mnie za wariata. Moja historia jest tak

nieprawdopodobna, że ja sam chwilami nie mogę w nią uwierzyć.

— Panie doktorze, te mury słyszały przeróżne historie. Takie, że przy nich najbardziej wymyślne bajki wyglądały jak opowiadanie ślepego o kolorach. A jednak te historie były prawdziwe. A jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, włączmy magnetofon. To nam obu ułatwi rozmowę. Zawsze będzie można odtworzyć interesujące nas szczegóły.

— Proszę — zgodził się Niekwasz.

Przedstawiciel MO wydobył z biurka małą kasetkę. Chwilę manipulował kontaktami i następnie, jak gdyby inaugurując przesłuchanie, zwrócił się do lekarza:

— Sprytny wynalazek, te magnetofony kasetowe. Bardzo pomagają nam w pracy, ale... Słucham pana.

— Jestem chirurgiem. Pracuję w tym wielkim szpitalu przy ulicy Zielonej. Pełnię funkcję ordynatora oddziału chirurgicznego. Dotychczas miałem opinię zdolnego lekarza. Mam drugi stopień specjalizacji. Kończę pracę doktorską u profesora Jastrzębca. I nagle, pewnego dnia cały mój dorobek, wszystko na czym budowałem swoje największe nadzieje, zostało przekreślone. Prawie dosłownie otworzyła się przede mną przepaść — zaczął swoje opowiadanie Zygmunt Niekwasz.

— Przed niespełna trzema tygodniami jak zwykle od rana operowałem. Moim pierwszym pacjentem tego dnia był dyrektor techniczny „Maszynoimportu”, Aleksander Maliszewski. To był prosty i łatwy zabieg. Właściwie resekcja wyrostka robaczkowego nie była potrzebna. Niegroźny, lekki stan zapalny można było usunąć drogą niewielkiej kuracji. Ale pacjent upierał się przy zabiegu...

Lekarz szczegółowo opisał przebieg operacji i następne zdarzenia, a także wszystko to, co go później spotkało. Wspomniał o przypuszczeniach doktora Andrzeja Kochlewskiego z Wrocławia i śledztwie, jakie usiłował sam przeprowadzić. Wreszcie opisał ostatnią rozmowę z pielęgniarką Elżbietą Rafalską i późniejszy telefon ze szpitala praskiego, zawiadamiający Niekwasza o śmierci dziewczyny i o jej słowach wypowiedzianych przed śmiercią.

Opowiadanie Niekwasza trwało naprawdę dość długo. Oficer Kaczanowski ani słowem nie przerywał swojemu rozmówcy i kiedy wreszcie chirurg skończył, w milczeniu wyłączył magnetofon.

— Teraz pan major będzie mnie uważał za wariata? — Niekwasz szczerze nie wykluczał takiej możliwości.

— Opowiedział pan ciekawą historię — major uchylił się od wyraźnej odpowiedzi — musimy zbadać sprawę bardzo dokładnie. O tym mogę pana zapewnić z całym poczuciem odpowiedzialności za to przyrzeczenie. Jakie będą nasze wnioski, za wcześniej jeszcze o tym mówić. Uważam jednak, że pan doktor dobrze zrobił zgłaszając się do nas.

— Jednego nie mogę zrozumieć — dodał ordynator — kto może mnie tak silnie nienawidzić, aby się posunąć do zbrodni? Do zabicia Bogu ducha winnego człowieka, a później tej miłej, młodej dziewczyny.

— Jeżeli zabił Maliszewskiego, to logicznym następstwem tej zbrodni jest usunięcie świadka. Nie pozostało mu już nic innego, jak pozbyć się i Rafalskiej.

— Jestem przerażony. Starałem się zawsze żyć jak porządny człowiek. Nigdy nikogo nie chciałem skrzywdzić. Mam w szpitalu opinię lekarza wymagającego i od siebie i od drugich, ale dbającego zarówno o chorych, jak i o personel. Moją zasadą jest przyjmowanie na oddział lekarzy i pielęgniarek tylko takich, którzy zgłaszają się na ochotnika. Nigdy jednak nie brakowało mi personelu. Przeciwnie, nieraz musiałem odmawiać. A tu nagle ktoś wymierza mi tak potworny cios. Kto? Żebym chociaż mógł to wiedzieć. Może by udało mi się zrozumieć działanie przeciwnika.

— Psychika ludzka jest bardziej niezbadana niż tajemnice Kosmosu. To może być pański najlepszy przyjaciel.

— Przecież nie Andrzej Kochlewski. Zresztą on pracuje we Wrocławiu.

— Pan zbyt dosłownie wziął moje słowa — roześmiał się oficer milicji. Nie chciałbym wskazywać nikogo z pańskich bliskich znajomych... Ale dziękuję panu doktorowi za zgłoszenie się do nas. Jeszcze dzisiaj porozumiem się z

dzielnicą prowadzącą dochodzenie w sprawie wypadku drogowego. Dowiem się do jakich wniosków doszli i czy odnaleziono sprawcę wypadku. Będę z panem w kontakcie.

Major zatelefonował do dyżurującego podoficera, że doktor Niekwasz wychodzi z gmachu i żeby mu nie robiono trudności. Starszy sierżant obrzucił chirurga ciekawym spojrzeniem. O czym tak długo rozmawiał z Kaczanowskim ten gość, który nawet nie umiał jasno wytłumaczyć, kto kogo przejechał?

Prosto z komendy Niekwasz wrócił do domu. Rozmowa z oficerem milicji trochę podniosła samopoczucie chirurga. Może wreszcie w tej sprawie zacznie się coś dziać? Może żona rzeczywiście miała rację?

— No, jak ci poszło? — tymi słowami Niekwaszowa powitała męża.

— Wysłuchali wszystkiego bardzo uważnie i całą historię nagrano na magnetofon. Ten oficer, major Janusz Kaczanowski obiecywał, że będzie w kontakcie ze mną.

— O widzisz — ucieszyła się Niekwaszowa — mówiłam, że nikt z ciebie nie będzie się wyśmiewał. Prawie siłą musiałam cię nakłaniać, żebyś tam poszedł.

— Co ja bym bez ciebie zrobił? — doktor pocałował żonę w rękę.

— Zginałbyś marnie. Nie doceniasz mnie.

— Ależ zawsze kochanie.

— A więc dzisiaj ja rządę. Przebierz się, zaraz wyjeżdżamy samochodem.

— Dokąd ?

— Wszystko jedno. Byle dalej od Warszawy i od ludzi. Najlepiej gdzieś nad Bug. Może do Broku?

— Kiedy samochód jest brudny. Czy nie lepiej spokojnie posiedzieć w domu?

— Nie - zaprotestowała żona — już ja cię znam. Będziesz siedział w fotelu i ciągle gryzł się tą sprawą. No szykuj się. Pojedziemy nad rzekę i tam umyjesz wóz.

— To może do Małkini? Jeszcze nie widziałem tego nowego mostu na Bugu.

— Może być Małkinia. Ale się pośpiesz. Przygotowałam

wszystko do drogi. Nawet obiad, który ze sobą zabierzemy.

A tymczasem major Kaczanowski, tak jak obiecywał lekarzowi, połączył się z dzielnicową komendą MO. Oficer niezbyt przejął się prawie fantastycznym opowiadaniem chirurga, ale i nie zlekceważył go. Ludzi z ekipy dochodzeniowej nie było dzisiaj w pracy bo mieli wolny dzień po nocy, ale w końcu przy dobrej woli kolegi, który podobnie jak Kaczanowski pełnił niedzielny dyżur, udało się odszukać akta sprawy.

— Przepraszam, poruczniku, że wam głowę zawracam — tłumaczył major — ale zgłosił się do mnie pewien człowiek, który twierdzi, że to nie był wypadek, lecz zbrodnia. Że tę Rafalską umyślnie przejechano.

— To nie jest, panie majorze, wykluczone — zauważył porucznik po drugiej stronie drutów. — W protokole zrobiono uwagę, że samochód nagle skręcił w lewo, chociaż ze względu na pogodę należy wykluczyć poślizg. Mam przed sobą szkic sytuacyjny z zaznaczeniem śladów kół pojazdu.

— Co porucznik powie? — Kaczanowski był naprawdę zaskoczony. Fantazja, za którą uważał słowa Niekwasza, zaczynała przeradzać się w rzeczywistość. — W takim razie prawd opodobnie przejmujemy dochodzenie w tej sprawie.

— Nie przypuszczam, żeby nasza komenda stawiała wam jakieś przeszkody — porucznik z dzielnicy wyraźnie się ucieszył.

— Ja wiem, że chętnie tego się pozbędziecie — roześmiał się major — porucznik sądzi, że tak się palimy do tej sprawy?

— Ale bądźcie łaskawi zażądać tego drogą służbową. Jeżeli jednak major chce teraz przejrzeć akta, mogę mu je zaraz przysłać radiowozem. Pod warunkiem zwrotu jeszcze dzisiaj.

— Nie. To niepotrzebne. Nie ja poprowadzę tę sprawę, ale ktoś z brygady zabójstw, od pułkownika Adama Niemirowicza. Przygotuję tylko notatkę służbową i nadmienię w niej o waszych spostrzeżeniach. Dziękuję bardzo.

Optymizm majora Kaczanowskiego, że wraz ze zrobieniem

notatki służbowej pozbędzie się całej sprawy, okazał się całkowicie nieuzasadniony. Kiedy bowiem w poniedziałek oficer zjawił się w Pałacu Mostowskich, na biurku czekało polecenie natychmiastowego stawienia się u pułkownika Adama Niemirocha.

— Winszuję ci Januszkule — pułkownik starał się być jak najbardziej serdeczny — Podłapałeś wspaniałą sprawę. Przesłuchałem taśmę z opowiadaniem tego chirurga. Jak w sensacyjnym filmie. Ty masz szczęście. Nie dziwię się, że niejeden ci zazdrości.

— Przekazałem wam tylko i martwcie się dalej.

— Nie mam serca odbierać ci tej sprawy. Znaj przyjaciela. Prowadź ją do zwycięskiego końca Tym bardziej, że zrobisz to znacznie lepiej niż kto inny. Już rozmawiałem ze „starym” i zgodził się. Udało mi się go przekonać. Czego ja bym zresztą dla ciebie nie zrobił.

— A niech cię diabli — zaklął Janusz. — Znowu mnie zrobiłeś w konia. Nie jestem w twojej brygadzie zabójstw, a ciągle na mnie zwalasz najtrudniejsze sprawy. Tak jak bym całymi dniami nic nie robił i tylko leżał do góry brzuchem.

— Jedyne powodowany szczerą przyjaźnią i dla twojego dobra. Dzięki temu wszyscy mówią o „naszym sławnym majorze Kaczanowskim” A i jakaś nagroda ci kapnie. Mogę powiedzieć, że od ust sobie odejmuję, aby tobie dać Pewnie niedługo i nowa gwiazdka pojawi się na ramieniu.

— Gdybym cię zamordował, każdy sąd by mnie uniewinnił.

— Znam ciebie Januszkule. Udajesz. Narzekasz, ale w gruncie rzeczy aż się palisz do tego tajemniczego zabójstwa.

— W ogóle jeszcze nie wiadomo, czy to jest zabójstwo. Cała historia może być wynikiem rozstroju nerwowego i histerycznych urojeń chirurga. Nie udała mu się operacja i teraz chciałby się jakoś wywinąć.

— Zbadasz. Będą ci towarzyszyły moje gorące błogosławieństwa. Na inną pomoc zbytnio nie licz bo jak wiesz, sezon urlopowy. Zresztą na co ci pomoc? Sam sobie doskonale zawsze dajesz radę

— Wychodzę — stwierdził Kaczanowski — jeszcze parę minut

rozmowy z tobą i za nic nie rękę.

Tak prawdę mówiąc, wywody pułkownika Niemirocha, długoletniego przyjaciela majora, nie były pozbawione podstaw. Kaczanowskiego zainteresowała historia Niekwasza i jeśli się tak przeciw niej zarzekał, to wyłącznie dla zasady, aby szef brygady zabójstw nie nauczył się zwałać części roboty swoich ludzi na barki druha.

Wracając do swojego pokoju Kaczanowski po drodze wstąpił do kancelarii. Chciał za jej pośrednictwem polecić komendzie dzielnicowej przysłać akt wypadku przy Stołecznej.

— Akta już przed chwilą zaniósł do pokoju pana majora — odpowiedziała jedna z urzędniczek — Pułkownik Niemiroch zażądał ich z samego rana i kazał przekazać je panu majorowi.

Akta, jak to zawsze akta wypadku samochodowego. Niczego pewnego nie mogły ustalić. Oficer przestudiował je uważnie. Rzeczywiście ze szkicu sytuacyjnego zorientował się, że samochód gwałtownie skręcił przed wjechaniem na pasy. Jak gdyby specjalnie celował, aby trafić w przechodzącą kobietę. Ale czy kierowca zrobił to umyślnie? Może po prostu stracił panowanie nad swoimi odruchami i nad pojazdem? Może dziewczyna nagle wbiegła na jezdnię, a człowiek prowadzący wóz liczył, że nagłym skrętem zdoła ją ominąć, a przynajmniej lżej uderzyć bokiem i nie wziąć pod koła? Dlaczego kierowca nie zatrzymał się i nie pospieszył z pomocą swojej ofierze? Wytłumaczenie tego faktu także było stosunkowo proste. Była to noc z soboty na niedzielę. Kierowca mógł być po paru wódkach. Niestety walka z pijaństwem kierowców nie przynosi zbyt wielkich sukcesów. Prowadzenie wozu w stanie nietrzeźwym było już poważnym przestępstwem, ale przecież nie umyślnym zabójstwem.

Rozmyślanie majora przerwał telefon. Komenda dzielnicowa z ulicy Wilczej zawiadamiała, że zgłosił się do nich kierowca taksówki bagażowej. Antoni Słomiak i zameldował, że dzisiaj rano znalazł swój wóz nie na miejscu postoju, lecz nieco dalej. Na przednim zderzaku i na masce samochodu Słomiak odkrył ślady krwi.

Ponieważ w dzielnicy wiedziano już o wypadku na Stołecznej,

przeto porozumiano się z Żoliborzem, który ich poinformował, że dochodzenie przejęła Komenda Stołeczna MO. W ten sposób trafili do Janusza Kaczanowskiego.

— Proszę zatrzymać tego kierowcę. Natychmiast przyjeżdżam, aby z nim porozmawiać — polecił major i pojechał na Wilczą.

Na ulicy przed wejściem do budynku stała taksówka bagażowa. Jej właściciel czekał wewnątrz.

— Jak to było? Proszę, niech pan opowie od początku.

— Mieszkam przy ulicy Kopernika. Nie mam garażu, bo i po co? Swoją taryfę trzymam na ulicy. Naprzeciwko domu jest parking. Pamiętam dobrze, w sobotę skończyłem pracę około dwunastej. Później taksówka bagażowa w sobotę wiele nie zarobi. Nie opłaca się czekać na klienta. Zjechałem do domu i postawiłem samochód tuż koło przejścia. Tam jezdnię od chodnika rozdziela szeroki trawnik, przez który prowadzą schodki do ulicy.

— Wiem, znam to miejsce.

— Jak więc mówiłem, postawiłem wóz akurat tuż przy przejściu. Tylko tyle, że nie zawadzał. Zjadłem obiad i pojechaliśmy z koleśkiem na ryby.

— W sobotę?

— Tak. W sobotę. Umówiłem się z kolegą, że spotkamy się na Dworcu Powiśle o godzinie czwartej po południu.

— Dokąd pojechaliście?

— Do Otwocka. Stamtąd do Karczewa autobusem i na piechotę do Starego Otwocka.

— Na to jezioro?

— Pan major też rybak? — ucieszył się Antoni Słomiak. — Dawniej tam były ładne karpie. A i szczupaka można było wyciągnąć jak moja ręka. Nie to co dzisiaj. Łapaliśmy wieczorem na jeziorze, a rankiem w niedzielę spróbowaliśmy na Wiśle. Tam, przy brzegu, są wysepki. Pan major zna?

— Naturalnie — potwierdził oficer, pozwalając kierowcy się wygadać. Major z praktyki wiedział, że nawet najbardziej niewinny człowiek w kontaktach urzędowych z milicją staje się mniej rozmowny, a znalezienie wspólnych zamiłowań prze-

słuchującego z przesłuchiwanym daje lepsze wyniki.

— Nie powiem, nie poszło nam najgorzej. Złapałem trzy ładne ślizie, a koleżka też nie wrócił z pustymi rękoma. Wyciągnął taką brzanę, że miała chyba przeszło dwa kilogramy.

— Na groch?

— Nie. Na rosówkę.

— A na żywca nie próbowaliście?

— Eee — kierowca skrzywił się — teraz we Wiśle szczupaka nie zobaczysz. Wszystko na jesieni wytruli. Kiedy ten fenol był w wodociągach.

— Kiedy wróciliście do Warszawy?

— Dopiero późnym wieczorem. Moja stara przyjechała koło południa. Przywiozła wałowę. Ryb się już nie łowiło, ale był ładny dzień, to siedzielim nad wodą.

— Po powrocie oglądał pan wóz?

— Ani mi to do głowy nie przyszło. Bo i po co? Takiego starego grata nikt nie ukradnie. Zresztą nie słyszałem, żeby taksy bagażowe podiwaniali. Mają dużo innych ładnych wózków. Dopiero dzisiaj rano, kiedy chciałem wyjechać, nie znalazłem wozu tam, gdzie go zostawiłem.

— A gdzie?

— Najpierw chciałem telefonować do pogotowia milicyjnego. Ale widzę, że tam z brzegu, od ulicy Ordynackiej stoi jakaś taksówka bagażowa. Podchodzę bliżej, patrzę — moja. W pierwszej chwili myślałem, że mnie już skleroza mocno stuknęła i zaczynam zapominać, gdzie wóz stawiam. Ale podchodzę bliżej, biorę za klamkę, ale zamknięte. Sprawdziłem, podłączone przed stacją. Więc oglądam dokładnie. Niczego nie brakuje. Ale na masce zobaczyłem krew. Mało mnie szlag nie trafił. Nie dość, że jakiś lebiega podiwaniał mi wóz, to jeszcze kogoś nim stuknął. Od razu przyjechałem tutaj.

— Nocował pan w Starym Otwocku?

— Tak. Tam jest schronisko.

— A ten kolega?

— Bogdan Safiański. Też kierowca, jeździ na taksie osobowej. Numer tysiąc dwieście dwanaście.

— Zna pan jego adres?
— Wspólna 44.
— Nie domyśla się pan, kto mógł ukraść pańską „Nysę”?
— Żebym wiedział, to facet już by leżał w pogotowiu.
— Jest pan zupełnie pewien, że taksówkę postawił pan przy tym przejściu?

— Jak mnie pan tu żywego ogląda.

— A dlaczego facet nie odstawił wozu na miejsce?

— Pewnie było zajęte. To na przeciwko kina „Skarpa”. Tam na parkingu trudno o wolny plac. Najczęściej trzymam wóz z tyłu, na ulicy Okólnik. Dlatego udało mi się postawić na Kopernika, że wcześniej zjechałem z pracy. To co będzie ze mną? — martwił się kierowca.

— Podpisze pan protokół i jest pan wolny.

— Ja to głupstwo, a taryfa?

— Technicy obejrzą, wezmą próbki z tych plam. Może to wcale nie krew? Trzeba najpierw zbadać. Nie widzę potrzeby zatrzymywania samochodu.

— Bardzo panu majorowi dziękuję, bo już się bałem...

— To my panu dziękujemy za zgłoszenie się. Inny by wóz umył i po krzyku.

— Za stary kierowca jestem, żebym miał to robić. Nie chcę leżeć za jakiegoś łobuza.

— Słusznie — major pożegnał pana Antoniego Słomiaka.

Na zderzaku i masce wozu technicy znaleźli zarówno ciemne plamy wyglądające na krew, jak i kilka długich włosów oraz drobne włókna jakiegoś materiału. To wszystko skrzętnie zebrano, umieszczono w kopertach i przesłano do Zakładu Kryminalistyki, dla przeprowadzenia analizy. Major polecił przesłać do zakładu także próbkę krwi zabitej Elżbiety Rafalskiej dla oznaczenia grupy, lok jej włosów oraz skrawek sukienki, którą dziewczyna miała na sobie w chwili wypadku.

Po powrocie z Wilczej Kaczanowski znowu zgłosił się do pułkownika Niemirocha. Zdał mu relację z wydarzeń i zarządzeń, jakie zostały podjęte.

— Nie można wykluczyć, że taksówkę bagażową — zauważył pułkownik — skradli złodzieje, którzy planowali jakiś skok i

potrzebowali transportu. Niewprawny, kierowca, albo człowiek w ogóle nie mający prawa jazdy mógł wyczyniać na jezdni rozmaite cuda. Dlatego też szkic wypadku na ulicy Stołecznej nie jest jeszcze stuprocentowym dowodem zbrodni.

- Ale nie obala tej hipotezy. Przeciwnie, w dużym stopniu ją potwierdza, chociaż nie można — dodał major — brać wszystkiego poważnie, co mówił Niekwasz.

— Nie dziwię się chirurgowi — uśmiechnął się pułkownik — każdy z nas jest w mniejszym lub większym stopniu egocentrykiem. Po trosze uważamy, że cały świat obraca się wokół nas. Lekarze, którzy w swoim ręku mają władzę większą niż królowie, bo władzę nad zdrowiem i życiem ludzkim, mają ten egocentryzm znacznie bardziej rozwinięty niż zwykli zjadacze chleba. Nie było dla mnie żadną niespodzianką rozumowanie chirurga, że ktoś go tak nienawidzi, czy też tak mu zazdrości, że aż targnął się na życie zupełnie niewinnego człowieka, aby tą drogą zniszczyć karierę młodego ordynatora. Domysł, że ktoś chciał i zgładził dyrektora Maliszewskiego z jakichś jeszcze nam nie znanych, przyczyn nie przyszedł Niekwaszowi do głowy.

— Sądzę, że my, milicjanci, także nie jesteśmy lepsi od lekarzy. Ile razy ktoś z nas nie chce uznać własnego błędu i upiera się przy fałszywej koncepcji prowadzenia dochodzenia? Często dlatego, że fałszywa ambicja nie pozwala przyznać się do niedopatrzeń lub zaniedbań.

— Bo my również — odpowiedział pułkownik — mamy wielką władzę nad ludźmi. Wprawdzie nie nad ich życiem, ale mamy w rękach ich wolność. Na szczęście, ludzie są tylko ludźmi, istnieje u nas bardzo surowa kontrola merytoryczna każdego naszego kroku. I to kontrola aż trzech niezależnych od siebie ogniw. Bezpośrednich zwierzchników z naszego aparatu. Prokuratora który z racji piastowanego urzędu nie tylko poluje na głowę podejrzanego, jak to się laikom wydaje, ale także czuwa, aby niewinnemu nie stała się krzywda. Wreszcie jest jeszcze i sąd, ostatecznie wszystko wyważający. Lekarze tej kontroli merytorycznej właśnie nie mają. Błąd sztuki lekarskiej jest trudniejszy do zauważenia i skorygowania, niż błąd

dochodzenia milicyjnego. Stąd przekonanie lekarzy o ich nieomyślności i żądanie nie wtrącania się do ich spraw. Nawet prokuratora i sądu.

Tym razem egocentryzm chirurga jest mi bardzo na rękę — roześmiał się Kaczanowski. — Nie myślę wyprowadzać Niekwasza z błędu. Przynajmniej na razie. Będzie mi pomagał, zwłaszcza na terenie szpitala. Wchodząc tam wbrew jego woli, nie miałbym ułatwionego zadania.

— Dobrze byłoby, abyś tam zajrzał i pogadał z ludźmi na miejscu.

— Przede wszystkim trzeba przejrzeć rzeczy tej Rafalskiej. Może znajdzie się jakiś ślad? Już telefonowałem do Niekwasza. Pielęgniarki mają szafki na odzież. Prosiłem, aby szafkę dziewczyny zamknął na własną kłódkę i specjalnie opieczętował. Nie spodziewam się wielkich rewelacji ale musiałem się zabezpieczyć. Co do rozmów z pracownikami szpitala, zorientuję się jeszcze. Kto wie, czy nie będzie lepiej wzywać ich do komendy. Tu będą zeznawać bez presji otoczenia. Nie mogę jednak zastosować tej metody wobec chorych, których trzeba będzie przesłuchiwać na miejscu.

— Tak doświadczony as służby śledczej sam wie, co ma robić. Coraz bardziej jestem przekonany, że dobrze zrobiłem, powierzając ci to dochodzenie. Kiedy przesłuchałem taśmę magnetofonową, od razu postanowiłem, że „trzeba Januszowi dać szansę do wykazania się”.

— A komu powierzysz dochodzenie w sprawie zabójstwa pułkownika Niemirocha? — major spojrział na zegarek. — My tu gadu gadu, a dochodzi dwunasta. Jadę na Zielną do Niekwasza.

— Powodzenia. Może ci przydzielić kogoś do pomocy? Wprawdzie wiesz, jaka jest sytuacja, ale jeżeli trzeba będzie, komu innemu zabiorę i dam tobie.

— Na razie nikogo nie potrzebuję. Ale później na pewno nie obejdę się bez pomocy.

Major wstał i przyjmując postawę zasadniczą zameldował:

— Panie pułkowniku, odmeldowuję się!

— Nie pajacuj. Cześć!

ROZDZIAŁ 7

„Lynnda”

Zygmunt Niekwasz, uprzedzony telefonicznie o przyjeździe majora Janusza Kaczanowskiego, oczekiwał go zgodnie z umową przy wejściu do szpitala.

— Przede wszystkim — zauważył oficer milicji po przywitaniu się z chirurgiem — chciałbym się trochę zorientować w topografii zakładu. To może mieć znaczenie dla późniejszej fazy dochodzenia. Muszę też pana poinformować, że znaleźliśmy samochód, który spowodował wypadek. Jest to taksówka bagażowa. Skradziono ją prawowitemu właścicielowi i podrzuciono później na to samo miejsce.

— To potwierdza moje przypuszczenia, że Elżbieta Rafalska została zamordowana.

— Niewątpliwie.

— Głowią się nad tym, kto tak dąży do mojej zguby.

— Dowiemy się panie doktorze. Niech pan o to będzie spokojny.

— Cała moja nadzieja w milicji.

— Nie zawiedziemy jej. Ale jednocześnie liczymy na pańską pomoc.

— Zawsze i wszędzie. Wracając jednak do rzeczy, nasz szpital jest bardzo stary. Nie raz i nie dwa był przebudowywany i rozbudowywany. Najpierw istniał ten jeden budynek. Powstał on prawie dwieście lat temu. Naturalnie nie w dzisiejszej formie. Następnie kolejno wznoszono w dużym ogrodzie nowe pawilony. To ma swoje złe strony, bo bardzo utrudnia komunikację i transport wewnętrzny, ale i dobre bo izoluje poszczególne oddziały. Ten budynek najstarszy, na prawo od portierni, to interna. W tym niewielkim pawilonie mieści się dyrekcja i biura oraz rejestracja chorych. Na lewo dwupiętrowy gmach z dwoma skrzydłami i nadbudówką trzeciego piętra pośrodku, to właśnie moje miejsce pracy. Parter i pierwsze piętro zajmuje oddział urologiczny. Drugie chirurgia.

Nadbudówka wykończona dopiero przed laty, już w czasie mojej ordynatury, to sale operacyjne i tak zwana „izba wytrzdźwień” Nie chwaląc się wprowadziłem tam wiele drobnych zmian i poprawek, usprawniających i ułatwiających prace zarówno lekarzy, jak i personelu średniego. Pokażę panu majorowi...

— Chodźmy więc na górę. Najpierw chciałbym zobaczyć tę separatką i przejrzeć rzeczy dziewczyny.

— Proszę zatem do mnie, na drugie piętro.

Pierwsze, co wpadło oficerowi w oczy, to nadzwyczajna czystość. Pod tym względem szpital ten, a może jedynie oddział chirurgiczny, reprezentował się o niebo korzystniej od innych placówek. Po drugie cały personel był młody. Żadna z pielęgniarek nie przekroczyła chyba trzydziestki. Majorowi przemknęła myśl, że Niekwasz dobierał zespół, kierując się urodą dziewcząt. Wszystkie bowiem były wysokie, zgrabne, postawne i przystojne. Biel odzieży jeszcze bardziej to podkreślała. Zwłaszcza zgrabne czepeczki z czarnymi paskami. Dwie z mijających ich dziewcząt miały zamiast czarnego czerwony pasek.

— Położne. Odbywają praktykę na chirurgii — powiedział ordynator. — Jak pan widzi, majorze, cały budynek jest w kształcie dużej podkowy. W środkowej części są takie pomieszczenia, jak salki zabiegowe, magazyn, apteka, świetlica, pokoje dla lekarzy, szatnie. Na obu krańcach podkowy dwie dyżurki dla pielęgniarek. Ramiona podkowy zajmują sale chorych Z jednej strony dla kobiet, z drugiej dla mężczyzn. Sale dla chorych są stosunkowo niewielkie trzy, cztero i najwyżej pięciołóżkowe. Mamy też dwie separatki. Dla najciężej chorych, którzy wymagają szczególnej opieki i spokoju Właśnie jedną z nich zajmował dyrektor Maliszewski. W tej chwili jest wolna Oto ten pokój — chirurg otworzył drzwi małego pomieszczenia z jednym łóżkiem pod ścianą Przy łóżku stała metalowa szafka nocna Poza tym w pokoju były dwa krzesła, wieszak i biała, porcelanowa umywalnia z baterią kranów, umocowana na ścianie naprzeciwko łóżka,

— Tak prawdę mówiąc — zauważył Kaczanowski — żeby

sięgnąć do kranu z wodą nawet nie trzeba wstawać z łóżka. Wystarczy dobrze się wychylić

— Pokoik jest rzeczywiście mały — potwierdził lekarz - wygoszparowaliśmy to pomieszczenie przy okazji ostatniego remontu. Po prostu odcięło się ścianką kawałek większej sali. W efekcie „zgubiliśmy” jedno łóżko, uważałem jednak, że takie separatki są nam konieczne.

Major otworzył szafkę. Była zupełnie pusta. Najmniejszego pyłku.

— Po śmierci Maliszewskiego dokładnie posprzątało?

— I to wielokrotnie. Pacjenci się zmieniali.

— Nie mam czego tu szukać. W takim razie obejrzę szafkę tej dziewczyny.

— Proszę bardzo. Ale wolałbym to zrobić w obecności przełożonej pielęgniarek. Wstąpimy po nią. Pokój przełożonej jest tuż przy szatni.

— Słusznie. Po co stwarzać okazję do zbędnych komentarzy.

Niekwaz dokonał prezentacji i wyjaśnił:

— Pan major prowadzi dochodzenie w sprawie wypadku Elżbiety. Chciałby obejrzeć jej rzeczy.

Przełożona pielęgniarek, jedyna chyba niska dziewczyna, ale za to — jak ocenił major — bardzo energiczna zaprowadziła ich do sąsiedniego pomieszczenia. Wskazała jedną z metalowych szafek, zamkniętą na dwie kłódki i opieczętowaną paskiem papieru.

— To ta.

Chirurg wyjął pęk kluczy.

— Mam klucz do jednej kłódki. Tej, którą tu umieściłem po telefonie pana majora. Proszę, ta już zdjęta, a do drugiej coś dobierzemy.

— Dziękuję, niech pan doktor się nie trudzi — oficer milicji wyjął z kieszeni mały wytrych. Włożył go w otwór kłódki i delikatnie obracał. Po paru sekundach rozległ się lekki trzask i wieczko odchyliło się. Drzwi zostały otwarte.

— W szafce wisiał biały fartuch pielęgniarski. Na górnej półeczce porządnie złożona czysta zmiana bielizny oraz parę czepków. Na dole miękkie filcowe pantofle jakie noszą

pielęgniarki przy pracy. Prócz tego kilka czystych chusteczek.

Major włożył rękę do kieszeni fartucha. Wyjął z niej pudełko zapalek i jeszcze jedną chustkę do nosa. W drugiej kieszeni znalazł pudełko „giewontów” i malutki futeralik. Cała trójka z zaciekawieniem go oglądała. Futeralik wykonany z wysokogatunkowej skóry safianu, był ciemno czerwonego koloru z wytłoczonym na wierzchu napisem „LYNNDA”.

— Do czego to może służyć? — zapytał oficer milicji. — Futerał na jakieś narzędzie chirurgiczne?

— Na pewno nie — zaprzeczył lekarz.

— Pierwszy raz to widzę — zauważyła przełożona pielęgniarek. — Elka nigdy go nie pokazywała.

— Na wszelki wypadek zaopiekuję się tym drobiazgiem — postanowił oficer milicji.

— Lynnda — powtórzyła pielęgniarka — to brzmi jak nazwa jakiejś zagranicznej firmy kosmetyków. Ale nie słyszałam o takiej.

— Sądząc po wykonaniu, służył on do chowania jakiegoś luksusowego, cennego przedmiotu. Przecież sam futerał jest kosztowny. Prawdziwa skóra w doskonałym gatunku, a litery nie malowane, lecz metalowe, nabijane w safian. Złoczone, a może nawet ze szczerego złota?

— To dziwne. Rafalska — wyjaśniła przełożona pielęgniarek — była sympatyczną dziewczyną, ale biedną, jak mysz kościelna. Mieszkała z matką i dwojgiem młodszego rodzeństwa. W tej rodzinie każdy grosz dwa razy oglądano przed wydaniem.

— Mogła dostać kosztowny prezent. Choćby od któregoś z chorych.

— Nie sądzę. Zresztą pochwaliliby się tym przed koleżankami.

— Może od swojego chłopaka? Miała go chyba? — dopytywał Kaczanowski.

— Miała, studenta na piątym roku medycyny. Planowali ślub po zakończeniu przez niego studiów. Ale jemu też się nie przelewało. Syn urzędnika pocztowego z Ciechanowa. Żył ze stypendium, bo rodzice niewiele mogli mu pomóc.

— Chciałbym porozmawiać z tym młodym człowiekiem. Pani

zna jego nazwisko? Może wie pani gdzie on mieszka?

— W akademiku na Kickiego. Ale teraz nie ma go w Warszawie. Żeby trochę zarobić, zaangażował się jako lekarz na jakieś kolonie młodzieżowe nad morzem. Wyjechał przed czterema dniami, przełożona pielęgniarek była doskonale wprowadzona we wszystkie sprawy, nawet te sercowe, swoich koleżanek.

— Słyszę, że pani jest zorientowana. To może pani także wie o jakimś flircie Rafalskiej. Może odpałiła jakiegoś wielbiciela? Albo ktoś się w niej, jak to mówią „beznadziejnie kochał”?

Przełożona uśmiechnęła się.

— Nasze dziewczęta nie mogą narzekać na brak powodzenia. Są przeważnie bardzo ładne. Niejednemu choremu mogą wpaść w oko. Nieraz to się kończyło w urzędzie stanu cywilnego. Poza tym u nas odbywają praktyki studenci różnych lat Akademii Medycznej. Także zerkają na ładne dziewczęta. Okazji do flirtu jest więc dużo. Ale to nie z Elką. Oboje, ona i jej chłopak, świata poza sobą nie widzieli. Nie wiem jak ten nieborak zniesie wiadomość o tym nieszczęściu.

Major podziękował przełożonej pielęgniarek za informacje, zanotował adres narzeczonego Rafalskiej i schował futerałik. Wyszli na korytarz szpitalny.

— Chciałbym zatelefonować — oficer zwrócił się do chirurga.

— Można to zrobić z któregoś pokoju dla lekarzy albo z jakiejś dyżurki pielęgniarek. Ale to są telefony wewnętrzne miasto najczęściej zajęte. Najwygodniej będzie majorowi z aparatu bezpośredniego, który wisi na ścianie przy schodach na pierwszym piętrze, tuż przy wejściu do oddziału urologicznego — chirurg zaprowadził Kaczanowskiego. — Aparat wprawdzie zamykamy na kłódkę, ale dla majora, jak widziałem, żadna przeszkoda.

Oficer milicji załatwił parę rozmów służbowych i wydał odpowiednie dyspozycje, również polecił sprawdzić, czy narzeczony Rafalskiej rzeczywiście wyjechał z Warszawy przed wypadkiem.

— Dziwne, że nie macie automatu, a jedynie zwykły telefon?

— Mamy automat. Na naszym piętrze. Ale tego telefonu nie

zlikwidowaliśmy, bo jest wygodny. Rodziny chorych dzwonią właśnie na ten numer, jeśli chcą się dowiedzieć o stanie zdrowia swoich bliskich i nie blokują nam centralki.

— A kto podnosi słuchawkę?

— Tak się przyjęło, że każdy kto znajduje się w pobliżu. Na schodach panuje zawsze duży ruch. Najczęściej jednak pielęgniarki z urologi, albo nasze. Sygnał dzwonka słychać dobrze na obu piętrach. Może to trochę niewygodne dla dziewcząt, ale przyzwyczyły się. Zresztą, nawiasem mówiąc, one najczęściej korzystają z tego aparatu, aby umówić się ze swoimi chłopcami. W zamian za to muszą się czasem pofatygować i dla innych. Czy nie mam racji?

— Najzupełniej. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie mógłbym spokojnie porozmawiać z panem doktorem i ułożyć plan naszej batalii na najbliższe dni?

— Proszę do mnie — chirurg wprowadził oficera do pomieszczenia niewiele obszerniejszego od niedawno oglądanej separatki. — Tak wygląda gabinet ordynatora oddziału. To i tak ogromny luksus, bo gdzie indziej lekarze muszą często zadowalać się wspólnym pomieszczeniem, ponieważ każdą wolną przestrzeń wygospodarowuje się na dodatkowe łóżka. Budowa nowych szpitali ciągnie się dosłownie dziesiątki lat. Trwa dłużej, niż budowa hoteli.

— Największy w Polsce hotel, na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich Szwedzi mają postawić w ciągu dwóch lat. Na tysiąc pięćset miejsc.

— Więc daj Boże, żeby Skandynawowie wzięli się i za budowę naszych szpitali.

— Panie doktorze — major z powrotem wcielił się w postać oficera dochodzeniowego. — Chciałbym dzisiaj porozmawiać z chorymi, względnie z tym chorym, który twierdzi że widział jakiegoś lekarza wychodzącego z separatki. Pan w swoim opowiadaniu nadmienił o tym, nie przywiązując jednak do tego faktu zbyt wielkiego znaczenia. Ja, przeciwnie, uwżam, że to może być bardzo ważny dla śledztwa szczegół. Czy ten chory jest jeszcze u was?

— Tak. Zaraz go tu poproszę.

— Za chwilę. Najpierw ustalimy nazwiska i adresy pielęgniarek, które dyżurowały po południu w tym dniu, kiedy Maliszewski leżał w separacie po zabiegu. Chodzi mi o pielęgniarki z oddziału męskiego i kobiecego, zarówno z chirurgii, jak i z urologii.

— Dlaczego? — zdziwił się lekarz.

— To proste Rafalska mogła opuścić separatkę nie tylko po to, aby pójść do toalety lub do dyżurki na oddziale męskim, ale także, żeby na przykład porozumieć się z koleżanką pracującą na urologii, albo zatelefonować z aparatu na klatce schodowej.

— Rzeczywiście! Że też o tym nie pomyślałem — Całe moje śledztwo na nic. Marny byłby ze mnie oficer milicji.

— Chyba nie gorszy niż ze mnie chirurg — roześmiał się Kaczanowski.

— Nazwiska moich pielęgniarek podam panu z książki dyżurów. Co do tych z urologii, to musiałbym się porozumieć z ordynatorem tamtego oddziału.

— Jeśli pan woli, mogę tego zażądać oficjalnie.

— To zbyteczne, panie majorze, ordynator oddziału urologicznego jest moim kolegą z czasów studenckich. Chyba, że pan chce sam z nim porozmawiać?

— Nawet lepiej, jeżeli pielęgniarki z urologii nie będą o niczym wiedziały. Pewnego dnia dostaną wezwanie do Pałacu Mostowskich. Czasami takie zaskoczenie daje niezły efekt.

— Nie ja a pan jest fachowcem w prowadzeniu śledztwa, jak wykazała to praktyka, zastosuję się więc do pańskiego życzenia. Jeżeli major pozwoli, zejść teraz na pierwsze piętro i zbiorę potrzebne informacje.

— Doskonale — zgodził się oficer — ale przedtem proszę przysłać tutaj tego chorego, o którym mówiliśmy. Zanim pan wróci, zdążę z nim porozmawiać.

W kilka minut później do gabinetu ordynatora wszedł starszy, niski mężczyzna. Nosił na sobie ciemnoczerwoną piżamę i narzucony na nią szpitalny szlafrok.

— Proszę, niech pan siada. Pan?...

— Władysław Biernacki. Pracuję w zarządzie miejskim. Adres: Warszawa, Puławska 129.

— Och, to niepotrzebne. Na razie utniemy sobie małą pogawędkę pół prywatnie, pół urzędowo. Pan dawno leży w tym szpitalu?

— Prawie dwa miesiące. Ciężka operacja żołądka.

— Ale już lepiej?

— Tak. W przyszłym tygodniu wracam do domu.

— Będzie pan jednak musiał jechać do sanatorium. Trzeba odpocząć i jeszcze się podleczyć. Ze zdrowiem nie ma żartów.

— W ogóle myślałem, że nie wyjdę z tego. Ale doktor Niekwasz to prawdziwy cudotwórca. Złota ręka. Dosłownie z trumny mnie wyciągnął.

— A jednak i jemu czasem się nie udaje. Choćby z tym Maliszewskim.

— Różnie o tym mówią.

— Co tu można mówić. Po prostu sknocił operację i pacjent mu wykitował.

— To nie doktor Niekwasz. On na pewno by nie sknocił.

— Więc dlaczego chory umarł? — majora ciekawiła opinia pacjentów na temat zagadkowego zgonu.

— To był taki „bananowy” pacjent. Wszystko było dla niego. Lekarze z separatki nie wychodzili. Jeden mu dawał takie lekarstwo, inny za pół godziny przepisywał znowu coś nowego. Tak go leczyli, aż wykitował. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść, a gdzie za dużo lekarzy, tam pogrzeb.

— Może pan ma i rację. Ale doktor Niekwasz twierdzi. Że nikt, nawet lekarze nie odwiedzali chorego. Jedynie doktor Dobrowolski badał chorego podczas popołudniowego obchodu.

— Dużo Niekwasz wie! Przecież on o drugiej wyszedł ze szpitala. Ja nie jestem ciekawy i nie zaglądam tam gdzie nie potrzeba, a widziałem jeszcze trzech prócz Dobrowolskiego.

— Co pan powie?

— Najpierw tak około trzeciej przyszła ta blondynka, doktor Myśliwiec. Siedziała u chorego ze trzy kwadransy. Później około siódmej widziałem jak z separatki wychodził inny lekarz. Nie znam go. A później sam dyrektor Postomski. Panie, tego żaden chory nie wytrzyma. Musiał facet nogi wyciągnąć.

— Myśliwiec, Postomski — powtórzył major — i ten trzeci... z

chirurgii?

— Tutaj wszystkich znam. Nawet stażystów. Ale tamten nie był od nas.

— Długo siedział u chorego?

— Nie wiem. Widziałem tylko kiedy wychodził z seperatki. Byłbym może nawet nie zwrócił na niego uwagi, gdyby nie broda, wąsy i ciemne okulary. Kto to wieczorem takie nosi?

— W czerwcu o godzinie siódmej jeszcze nie wieczór. Jest zupełnie widno.

— Nasze korytarze zawsze są ciemne. Tutaj stale pali się światło. W separtace też było mroczno.

— Dlaczego?

— Od razu poznać, że pana nigdy nie operowali. Po obudzeniu się z narkozy często oczy bołą. Na górze, tam, gdzie są sale operacyjne i „izba wytrzeźwień” w ogóle nie ma okien. Światło pada jedynie przez szklaną ścianę, za którą siedzi dyżurna pielęgniarka.

— Ten lekarz był wysoki?

— Wyższy ode mnie.

— Czy dużo? — dopytywał oficer, bo pan Władysław Biernacki liczył najwyżej metr sześćdziesiąt centymetrów wzrostu.

— Chyba o głowę.

— Tęgi?

— Średniej tuszy.

— A włosy?

— Nie widziałem. Głowę miał zakrytą. Ale broda i wąsy ciemne.

— Jak był ubrany?

— Zwyczajnie. Jak każdy lekarz.

— Pamięta pan tę pielęgniarkę, która wtedy dyżurowała u Maliszewskiego?

— Elżbietę Rafalską?

— Właśnie.

— Nie. Nie znałem jej. Słyszałem, że wpadła pod samochód w sobotę wieczorem.

— Niestety, to prawda... A może pan widział jak wchodziła

lub wychodziła z separatki?

— Tu się tyle tych dziewczyn kręci. Już nie ten wiek, żeby się za takimi smarkułami oglądać.

— Jednak zawsze miło spojrzeć.

— To prawda, panie majorze, ale nie zauważyłem.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Niekwasz.

— Pan doktor już z powrotem? A ja akurat skończyłem miłą rozmowę z panem Władysławem i bardzo mu dziękuję za cenne informacje.

Chory wyszedł z gabinetu. Major otworzył leżącą na stole teczkę i wyłączył schowany w niej magnetofon. Przesłuchiwanie nie było, ale rozmowa między oficerem i Władysławem Biernackim utrwalona została na taśmie.

— Oto pełna lista osób, o którą panu majorowi chodziło — chirurg wręczył oficerowi spis nazwisk.

— Czego pan się dowiedział od Biernackiego?

— Dużo pochlebnych rzeczy o panu. Chory nazywa pana „złotą ręką”. Poza tym podtrzymywał swoje twierdzenie, że widział jakiegoś lekarza wychodzącego około siódmej wieczorem z separatki, w której leżał Maliszewski.

— To mógł być któryś z kolegów z innego oddziału. Może znajomy dyrektora?

— Albo właśnie ten pański wróg?

— Wie pan majorze, chwilami wolałbym, żeby mi się ta operacja rzeczywiście nie udała. To byłoby łatwiejsze do zniesienia niż świadomość, że ktoś, kogo na pewno dobrze znam, pała do mnie tak ogromną nienawiścią. Zwłaszcza, że na terenie całego szpitala nie ma nikogo, komu umyślnie wyrządziłbym jakąś krzywdę. Fakt, że może istnieć człowiek, który dla zaspokojenia swojego uczucia zemsty morduje osoby trzecie jest sam w sobie czymś potwornym. Ja znajduję się w wyjątkowo przykrew sytuacji, bo zdaję sobie sprawę, że jestem podmiotem tej dzikiej nienawiści.

— Musimy znaleźć tego człowieka.

— Ba? Ale jak?

— Niech mi pan powie doktorze, którzy z pańskich kolegów noszą brody i wąsy? A także ciemne okulary?

— Jednym z wymogów Jakie stawia dyrektor Postomski pracownikom naszego szpitala, jest schludne ubranie, codzienne golenie się i skromne uczesanie. Poza goleniem, reszta dotyczy zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Dyrektor chciał nawet założyć na terenie szpitala zakład fryzjerski, który za darmo, albo za jakąś symboliczną opłatą świadczyłby te usługi personelowi i chorym. To „na górze” nie przeszło z braku kredytów, pomieszczenia i etatów. A przede wszystkim dlatego, że było nowością. W służbie zdrowia niczego tak się nie boją, jak wszelkich innowacji. Ile ja się nawojowałem, zanim zdołałem przekonać kogo trzeba, że sale operacyjne powinny być całe w spokojnym kolorze zielonym, a także stroje personelu operującego w tej samej barwie. Białe kolor sali operacyjnej kojarzy się chorym z rzeźnią albo prosektorium. Mógłbym książkę napisać o tym...

— Wracajmy do brody i wąsów...

— Dyrektor Postomski nie toleruje tego. Najwyżej jakaś malutka „szczoteczka” pod nosem lub hiszpańska bródka. Jedynym wyjątkiem pod tym względem jest Paweł Wildman, lekarz z oddziału dla nerwowo wyczerpanych, czyli jak tu popularnie mówią „wariatów”. Postomski z nim wojuje już od trzech lat. Gdyby miał kogoś na jego miejsce, na pewno już dawno zwolniłby Wildmana. Ale o neurologów jest jeszcze trudniej niż o chirurgów, zaś Wildman przez przekorę paraduje z coraz dłuższą brodą i wąsiskami a la Sobieski.

— Pan Biernacki twierdzi, że lekarz, który około siódmej wychodził z separatki Maliszewskiego, nosił brodę i wasy.

— To niemożliwe! Biernacki musiał się omylić.

— Świadcowie często mylą blondynów z rudymi, a nawet łysymi. To często się zdarza jeżeli jednak ktoś zauważył brodę, wasy i na dodatek ciemne okulary, dowodzi spostrzegawczości obserwatora i trzeba przyjąć to za prawdę.

— Przecież ja Wildmana prawie nie znam. Wprawdzie pracujemy od kilku lat w tym samym szpitalu, ale nie mamy żadnych kontaktów zawodowych. Rozpoznaję go jedynie dlatego, że ma wasy i brodę. Nie wiem, czy przez ten cały czas podaliśmy sobie z dziesięć razy rękę i zamienili ze dwadzieścia

słów.

— Istnieje opinia, że neurologicy upodobią się do swoich chorych. Jest nawet taka powieść francuska...

— Znam ją. Przybysz zjawia się w zakładzie dla umysłowo chorych, gdzie dokonano rewolucji. Chorzy zamknęli cały personel i sami objęli rządy w szpitalu. Nowo przybyły, zresztą też lekarz, długo nie orientuje się w tej mistyfikacji, pomimo że styka się zarówno z pseudolekarzami, jak i pseudochorzymi. Ale to fantazja literacka, daleka od rzeczywistości. W każdym zawodzie występują objawy wyczerpania nerwowego. Wśród neurologów nie częstsze niż na przykład wśród piekarzy. Co do Wildmana, jest to młody człowiek pełen energii i radości życia. Wśród pielęgniarek ma zdecydowaną opinię uwodziciela. Wśród lekarzy dobrego kompana nie stroniącego od „pójścia w Polskę”.

— Nie twierdzę, że doktor Wildman jest przestępcą, którego poszukujemy. Trzeba jednak wyjaśnić, co on robił w separacie Maliszewskiego. Mógł być jego dobrym znajomym i po prostu przyjść w odwiedziny.

— Rozmawiałem z Maliszewskim. Jeszcze przed operacją. Mam zwyczaj odwiedzania chorych w przeddzień zabiegu i nawiązywania z nimi osobistego kontaktu. To korzystnie wpływa na stan psychiczny pacjenta. Dyrektor należał do ludzi rozmownych, powiedziałbym nawet do gadatliwych. Opowiadał mi ze szczegółami, jak to jego przyjaciel, dyrektor naczelny „Maszynoimportu” interweniował w ministerstwie, żeby Maliszewskiemu zapewniono jak największe wygody. Maliszewski na pewno nie pominąłby okazji pochwalenia się jakimiś znajomościami na terenie szpitala, zwłaszcza z lekarzami.

— Pomimo wszystko będę musiał pogadać z tym panem Wildmanem — postanowił major. — Ale nie tutaj i nie teraz. W odpowiednim czasie, w Pałacu Mostowskich.

ROZDZIAŁ 8

Tajemniczy telefon

— Pani nazwisko Maria Łabun. A właściwie Maryla Łabunówna. Tak brzmi ładniej, prawda?

— Tak mnie od dziecka nazywają.

— Pani pracuje w szpitalu przy Zielnej i miała pani dyżur w dniu, kiedy zdarzył się ten przykry wypadek, zgon pacjenta z separatki.

— Tak jest, panie majorze, ale ja, niestety, nic nie wiem.

— Na pewno coś pani wie — major starał się być jak najmiłszym, aby ośmielić dziewczynę, która wyraźnie była przerażona sytuacją, w jakiej się znalazła. Przesłuchanie przez milicję i to aż w Komendzie Stołecznej w Pałacu Mostowskich.

— Nic nie wiem.

— Zaraz się przekonamy. Proszę mi powiedzieć, ile jest dwa razy dwa?

Dziewczyna roześmiała się:

— Cztery.

— A pani mówiła, że nic nie wie. Czy to ładnie tak kłamać!

— Ja nic nie wiem o tamtej sprawie.

— Nie chodzi mi o śmierć Maliszewskiego. To mógł być skutek nieudanej operacji. Chciałbym z panią porozmawiać o jej koleżance, Elżbiecie Rafalskiej.

— To taki straszny wypadek.

— Właśnie. Czy... wypadek?

— Co pan major ma na myśli?

— A może ktoś ją zabił umyślnie. Zamordował?

— Ale dlaczego?

— I ja pragnąłbym to wiedzieć. Liczę na pani pomoc. Bardzo bym chciał, żeby pani dopomogła mi w rozwiązaniu tej zagadki.

— I ja bym chciała, ale...

— Czy Rafalska ostatnio nie była trochę inna niż zwykle. Przygnębiona albo czymś przestraszona?

— Nie zauważyłam.

— Znałyście się dobrze?

— Jesteśmy z jednej szkoły. Jak zresztą większość

pielęgniarek z Zielnej, bo ten szpital opiekuje się naszą szkołą. Uczennice odbywają w tym szpitalu praktyki i najczęściej później zostają przynajmniej na parę lat. Z Elą chodziłyśmy do jednej klasy. Ale ona mi się nie zwierzała. Wiem, że miała chłopaka. Jeżeli była smutna, to dlatego, że wyjechał na dwa miesiące.

— Nie chwaliła się wam jakimś kosztownym prezentem?

— Nie.

— A to pani u niej widziała? — major pokazał dziewczynie futerałik z napisem „Lynnda” — wie pani, co ten wyraz znaczy?

— Nigdy tego u Eli nie widziałam.

— Czy Rafalska z kimś flirtowała?

— Ela? A skądże! Ona i jej chłopiec stanowili nierozłączną parę.

— A czy nie przychodził do niej ktoś pod szpital albo nawet do szpitala?

— Nic o tym nie wiem.

— Pani ją zastępowała przez pewien czas przy Maliszewskim?

— Tak. Ale to krótko trwało. Najwyżej piętnaście minut.

— Czy to było wtenczas, kiedy do chorego weszła pani doktor Myśliwiec?

— Nie. Widziałam panią doktor, bo tego dnia miała dyżur rano, ale wyszła później niż zwykle. Widocznie operacje się przeciągnęły. Ale ona nie wchodziła do Maliszewskiego wtedy, kiedy ja tam byłam.

— A kiedy przyszedł na oddział dyrektor Postomski?

— Chyba około ósmej wieczorem. Albo trochę wcześniej. Był w naszej dyżurce, potem poszedł na stronę kobiecą. Znowu wrócił i zajrzał do paru sal.

— Dyrektor często bywa na waszym oddziale?

— Prawie codziennie, albo rano, albo wieczorem. Dyrektor lubi sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Nie tylko u nas. W całym szpitalu. Podobno zanim dyrektor Postomski objął nasz szpital, był on najgorszy w całej Warszawie. A dzisiaj jest najlepszy. Chorzy wolą się leczyć tutaj, niż w klinikach Akademii Medycznej, gdzie ordynatorami są sami profesorowie. A nasza chirurgia — dodała z dumą — jest

najlepszym oddziałem w szpitalu. To dzięki panu doktorowi Niekwaszowi. Chciałam sprostować krzywdzącą doktora opinię, że źle zrobił operację temu Maliszewskiemu. Pan doktor nigdy się nie myli.

— Skąd pani wie?

— Dziewczyny z góry z operacyjnego mówiły o tym. One najlepiej wiedza, bo asystowały przy zabiegu.

— A może Rafalska popełniła błąd i podała choremu wody?

— Tego nie wolno robić. Uczą nas o tym w szkole Rafalskiej najczęściej przypadają dyżury w „izbie wytrzeźwień”, a zatem wiedziała co do niej należy.

— A gdyby ją Maliszewski bardzo prosił albo dał jakiś kosztowny prezent?

— Nie. Na pewno tym by jej nie przekupił.

— Pani ją tylko raz wtedy zastępowała?

— Tylko raz.

— A później nie widziała jej pani na korytarzu?

— Nie zwracałam uwagi Chyba nie.

— Czy pani zna doktora Wildmana. Pawła Wildmana?

— To ten z brodą.

— Podobna bardzo przystojny. Ma duże powodzenie.

Dziewczyna wyduła pogardliwie wargi.

— Jak u kogo. Mnie się nie podoba. Na mój gust za młody i za... — pielęgniarka urwała w pół zdania.

— ...i za mało poważny. To pani chciała powiedzieć?

— Pan major zgaduje myśli ludzkie.

— Dla milicji nie ma rzeczy niemożliwych.

— Ojej, już się boję — dziewczyna czuła się coraz swobodniej.

— Doktor Wildman często pokazuje się na waszym oddziale?

— Doktor Wildman kręci się wszędzie, gdzie są ładne dziewczyny — odpowiedziała Maryla Łabunówna. Młody lekarz najwyraźniej nie cieszył się jej sympatią. — U nas bywa rzadko, bo ordynator nie lubi, aby zbyt wiele osób kręciło się po naszym korytarzu.

— Ordynator miał jakieś zatargi z Wildmanem? Zwrócił mu kiedyś ostrą uwagę?

— Nie. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. A przecież tego

rodzaju wiadomości rozchodzą się po całym szpitalu błyskawicznie.

— A wtedy, w dniu operacji Maliszewskiego, widziała pani doktora Wildmana na oddziale chirurgicznym?

Pielęgniarka zastanawiała się.

— Nie wiem, czy to sugestia pana majora, ale zaczynam być coraz bardziej pewna, że widziałam Wildmana.

— W jakich godzinach?

— Po szóstej, ale przed siódmą. Mignęła mi jego broda na korytarzu. Szedł szybkim krokiem w stronę części męskiej. Mam jego postać przed oczyma. Gdyby nie ta broda, nie zwróciłabym uwagi. Ale to jedyny „biber” w naszym szpitalu.

— A kiedy wychodził? Długo siedział?

— Nie zauważyłam. Miałyśmy, jak zwykle, dużo roboty. Poza tym w szpitalu zwraca się uwagę przede wszystkim na pacjentów, a nie na lekarzy. Stale chodzą to tu, to tam.

Rozmowę protokołowała urzędniczka, pisząc jej przebieg na maszynie. Major podał zapisane kartki Maryli Łabunównie, prosząc o uważne ich przeczytanie i podpisanie zarówno na każdej stronie u dołu, jak i na końcu protokołu.

Następna przesłuchiwana, Janina Pietraszek potwierdziła, co już powiedziała wcześniej Zygmunтови Niekwaszowi. Doktora Wildmana pielęgniarka oczywiście знаła. Była to chyba najpopularniejsza postać w szpitalu, a jego walki z dyrektorem Po- stomskim o prawo noszenia brody i wąsów urosły do prawdziwej legendy. Pietraszkówna także potwierdziła, że Wildman raczej bywał rzadkim gościem na oddziale chirurgicznym, bo młody lekarz nie chciał narażać się ordynatorowi. Wolał więc „polować” gdzie indziej, w rejonach bardziej dostępnych. Z opinii pielęgniarki wynikało, że dziewczęta lubiły wesołego lekarza, ale raczej nie traktowały go zbyt poważnie.

— Ale tego dnia, kiedy zmarł Maliszewski, doktor Wildman był na waszym oddziale. Zdaje się, że odwiedzał tego chorego?

Dziewczyna zaprzeczyła.

— Ja go nie widziałam.

— Niech pani sobie dobrze przypomni. Przecież wielu lekarzy

odwiedzało chorego w separacie. To nic złego. Była tam i pani doktor Myśliwiec i sam dyrektor. Dlaczego i Wildman nie miał odwiedzić znajomego?

— Nie widziałam go panie majorze. Owszem, pani doktor Myśliwiec była w separacie, gdzieś po trzeciej. Jeszcze przed popołudniowym obchodem chorych przez lekarza mającego dyżur, to jest pana doktora Dobrowolskiego. Pana dyrektora także widziałam wtedy wieczorem. Ale doktora Wildmana nie było. Na pewno bym to zapamiętała.

Następny protokół powędrował do akt sprawy opatrzonej kryptonimem „szklanka wody”. W poczekalni czekała już trzecia kandydatka do przesłuchania. Major polecił przyprowadzić ją.

— Pani Wanda Cegielska?

— Tak Jest.

Dziewczyna podała swoje personalia Maszynistka wypełniła odpowiednie rubryki.

— Pani jest pielęgniarką na oddziale urologicznym? W tym samym budynku co chirurgia?

— Tak.

— Pomimo że pani nie pracuje na chirurgii, zapewne zapamiętała pani dwa tragiczne wydarzenia. Nagłą śmierć pacjenta operowanego na wyrostek robaczkowy i zabicie Elżbiety Rafalskiej przez samochód na skrzyżowaniu ulic Krasińskiego i Stołecznej.

— Tak. Te wypadki bardzo nas wszystkich obeszły

— A co się mówiło na temat śmierci Maliszewskiego?

— Jedne babki twierdziły, że Niekwasz coś pochrzaął. Wydawały się nawet zadowolone, że utarło mu nosa, inne go broniły. W szpitalu śmierć nie jest niczym nadzwyczajnym.

— Nie chodzi o samą śmierć. Raczej o niezwykłość wyniku tego prostego przecież zabiegu.

— W tej całej sprawie zrobiono zbyt wiele krzyku. U nas na urologii też zdarzają się niespodziewane zgony. Nigdy nie wiadomo jak zareaguje ludzki organizm To nie maszyna, do której można dobrać części zamienne.

Major zorientował się, że pielęgniarka ostrożnie formułuje

swoje odpowiedzi i zmienił temat.

— Elżbietę Rafalską pani znała?

— Znałam. Koleżanka ze szkoły. Z młodszej klasy.

— Sympatyzowałyście ze sobą? Często się spotykałyście?

— Nie. Pracujemy na innych oddziałach.

— W dniu śmierci Maliszewskiego widziała ją pani?

— Widziałam

— Proszę opowiedzieć jak to było.

— Na pierwszym piętrze jest telefon. Właściwie nie na naszym oddziale, ale na ścianie klatki schodowej Poszłam tam zadzwonić. To było około godziny wpół do siódmej wieczorem. Słuchawka wisiała na sznurze. Pomyślałam, że ktoś telefonował i zapomniał zawiesić ją z powrotem. Ale dla pewności powiedziałam „hallo”. Wtedy w słuchawce usłyszałam głos: „czy to siostra dyżurująca przy chorym Aleksandrze Maliszewskim?” Zaprzeczyłam. Na to ta kobieta poinformowała mnie, że czeka właśnie na tę pielęgniarkę, którą ktoś miał poprosić do telefonu. Zapytałam gdzie leży pan Maliszewski. Dowiedziałam się, że na oddziale chirurgicznym w separacie. Często się zdarza, że ktoś odbiera telefon, obiecuje, że zawiadomi i o tym zapomina. Byłam przekonana, że i tym razem stało się tak samo. Poprosiłam tę panią żeby jeszcze chwilę zaczekała, a ja na pewno sprowadzę właściwą osobę. Moja rozmówczyni podziękowała mi i zapewniła, że to ważne, bo Maliszewski był dziś operowany. Poszłam na górę i w drzwiach spotkałam Rafalską. Okazało się, że właśnie do niej był ten telefon.

— Zeszłyście razem ze schodów?

— Tak, ale nie rozmawiałyśmy.

— A potem pani czekała, aż ona skończy rozmowę?

— Tak.

— Czy słyszała pani, o czym Rafalska mówiła?

— To była ściśle służbowa rozmowa, Rafalska informowała tę panią, że operacja udała się, chory czuje się dobrze nie ma gorączki i od jutra można go odwiedzać. Szpital jest otwarty dla odwiedzających od czwartej do szóstej. Rafalska uprzedzała, że jeszcze nie wolno choremu nic przynosić, ani do jedzenia, ani

do picia.

— A kiedy Rafalska skończyła rozmowę z tą panią, wróciła od razu do separatki? Czy może zamieniłyście parę słów?

— Byłam trochę zdziwiona. Wiem przecież, że w separatkach umieszcza się tylko najciężej chorych i spytałam o tego pacjenta. Rafalska odpowiedziała: „To taki z tych, co to dla nich musi być wszystko. Cały szpital koło niego tańczy, telefony interwencyjne z różnych ministerstw aż się urywają. A chłop zdrów jak byk, tylko mu się operacji zachciało. Innym bardziej potrzebującym, brakuje miejsca w szpitalu, a ten zażądał oddzielnego pokoiku”.

— Czy to żona Maliszewskiego telefonowała?

— Nie wiem. Nie słyszałam, żeby Rafalska mówiła o chorym „pani mąż”. Natomiast o pacjencie per „pan dyrektor”. A w ogóle była zła, że zawracają jej głowę. Wiadomo, jak się cały dzień siedzi po ciemku przy chorym tylko dla jego chimery, to nie można mieć zbyt dobrego humoru.

— O czym jeszcze rozmawiałyście?

— Na tym się skończyło. Ja zaczęłam wykręcać numer, a ona poszła na górę do siebie. Kiedy na drugi dzień dowiedziałam się, że Maliszewski nie żyje, nie mogłam w to początkowo uwierzyć.

— A później na temat tej śmierci nie rozmawiała pani z Rafalską?

— Już jej nigdy nie widziałam.

— Pani zna doktora Pawła Wildmana?

— Znam — przystojna dziewczyna lekko się zarumieniła przy tych słowach.

— On często bywa na oddziale urologicznym?

— On pracuje na oddziale dla nerwowo wyczerpanych — wyjaśniła pielęgniarka.

— Przecież lekarze chodzą i po innych oddziałach. Choćby żeby się spotkać z kolegą lub sympatią. Doktor Wildman jest młody, przystojny, a u was ładnych dziewcząt, jak to widziałem, w szpitalu nie brakuje.

Widać było, że Wandzie Cegielskiej raczej nie w smak jest ta rozmowa o lekarzu z brodą ale szybko się opanowała i

odpowiedziała starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie.

— Tak Doktor Wildman czasami przychodzi i na nasz oddział.

— Dzięki tej brodzie łatwo go zauważyć. Swoją drogą dzielny chłop, że nie przestraszył się dyrektora.

— Co mu może zrobić? Taką posadę znajdzie wszędzie.

— Tego dnia widziała pani doktora Wildmana?

— Nie — szybko odpowiedziała dziewczyna.

„Skłamała” — zanotował sobie w myśli oficer milicji.

— Niech pani sobie dobrze przypomni. czy w tym mniej więcej czasie, kiedy odebrała pani telefon do Rafalskiej, doktor Wildman nie odwiedzał waszego oddziału?

— Nie.

— A nie zauważyła pani jak szedł na oddział chirurgiczny?

— Nie widziałam doktora Wildmana.

— On ostatnio często bywał na chirurgii. Zabiegał właśnie o względy Rafalskiej. To była, zdaje się, jedna z najładniejszych dziewcząt w całym szpitalu?

— Nieprawda.

— Uważa pani, że nie była ładna?

— Rafalska była przystojna. Powiedziałam, że nie prawda żeby Wildman kręcił się koło Rafalskiej — dziewczynę najwyraźniej zdenerwowały słowa majora o młodym lekarzu.

— A jednak coś tam między nimi musiało być. Właśnie wtenczas, kiedy Rafalska zeszła do telefonu, Wildman był na oddziale chirurgicznym i wstąpił do separatki. To zresztą nie ma większego znaczenia, bo Rafalska nie żyje.

Pielęgniarka milczała, major zaś bezlitośnie ciągnął:

— Ciekawy jestem, czy doktor Wildman bardzo odczuł śmierć tej dziewczyny. A może już się pocieszył? Ma przecież opinię, że to taki o którym się mówi „z kwiatka na kwiatek” Niech pani tego nie protokołuje — Kaszanowski zwrócił się do maszynistki.

Wanda Cegielska i tym razem nie podjęła tematu.

— Na tym skończymy — zdecydował oficer — dziękuję pani za informację. Proszę przeczytać i podpisać protokół.

Po wyjściu pielęgniarki maszynistka zwróciła się do majora:

— Dlaczego pan tak męczył tę dziewczynę? Przecież widać było, że jest zakochana w Wildmanie.

A pan major ciągle ją podpuszczał.

— Po prostu zależy mi na tym, aby Cegielska do kładnie powtórzyła Wildmanowi naszą rozmowę. Mam nadzieję, zrobi młodemu człowiekowi awanturę o zdradzenie jej z Rafalską i powie, że milicja wie o jego odwiedzinach u pielęgniarki w separacie Maliszewskiego.

— Panie majorze, przepraszam, że pytam, ale proszę mi wyjaśnić, dlaczego pan przywiązuje do tego taką wagę?

— Chodzi mi o to, aby Wildman się przestraszył, że jesteśmy na jego tropie. Żeby wpadł w panikę. A ludzie, którzy wpadają w panikę, robią głupstwa. Chciałbym sprowokować Wildmana do popełnienia następnego głupstwa.

— A jakie było pierwsze?

— Zamordował Rafalską, ale tego mu na razie jeszcze nie mogę dowieść.

ROZDZIAŁ 9

Doktor Wildman wie wszystko

— Przyjaźń przyjaźnią, a pułkownik i major to duża różnica. Pomimo długotrwałych więzów zażyłości, łączących pułkownika Adama Niemirowicza z majorem Zygmuntem Kaczanowskim ten drugi, zgodnie z przepisami, codziennie zdawał zwierzchnikowi sprawozdanie z przebiegu dochodzenia.

— Obawiam się, że i ciebie zasugerowało przekonanie doktora Niekwasza, iż Maliszewskiego zamordowano jedynie po to, aby zemścić się na ordynatorze chirurgii. To niebezpieczna teoria.

— Początkowo — tłumaczył się major — ta teza nawet mnie śmieszyła. Ale w miarę rozwoju dochodzenia, nie mogłem jej odrzucić. Dowody winy Pawła Wildmana są coraz wyraźniejsze. Muszę prosić o wzięcie go pod obserwację.

— Wydaj odpowiednie polecenie. Jednakże wydaje mi się, że jesteś na fałszywym tropie. Powód? Ciągle nie widzę powodu.

Co zyskiwał Wildman na utraceniu Niekwasza lub spowodowaniu procesu sądowego przeciwko niemu, do czego zresztą na razie nie doszło i chyba nigdy nie dojdzie.

— Powód może być po prostu maniakalny. Wildman to dość dziwny facet. Na terenie szpitala ma ustaloną opinię. Stara się „zaliczyć” jak najwięcej dziewcząt. A ten upór w noszeniu brody? Lekarz robi to umyślnie, aby denerwować dyrektora szpitala i epatować resztę. U kolegów po fachu nie cieszy się wielką sympatią i raczej stają oni po stronie dyrektora. Zwłaszcza Niekwasz, który na punkcie czystości, higieny i zewnętrznego wyglądu personelu szpitala jest jeszcze większym pedantem niż sam Postomski. Na tym tle mógł u Wildmana rozwinąć się kompleks czy nawet mania prześladowcza. Postanowił skompromitować kogoś ze swoich gnębicieli. A może zresztą miał jakieś porachunki z Maliszewskim?

— Wkraczasz w dziedzinę patologii,

— Wiadomo, od neurologa do wariata droga niedaleka. Wprawdzie lekarze temu przeczą, ale głos opinii publicznej jest pod tym względem jednoznaczny. Zresztą może być inny powód, którego nie mamy.

— Jaki na przykład?

— Może zazdrość? W tym szpitalu roi się od ładnych dziewcząt. A oddział Niekwasza bije w tym wszystkie rekordy. Czy sam ordynator jest taki święty, za jakiego chciałby uchodzić? Pielęgniarki za dobrze o nim mówią i ze zbyt wielkim zapalem go bronią. Może więc chirurg sprzątnął Wildmanowi sprzed nosa jakąś babkę, na którą neurolog miał właśnie chrapkę?

— Pocięłyby się inną. Gdzie jest duży wybór, tam są i chętne. Sam mówisz, że Wildman nie przebierał.

— Masz na powno dużo racji. Wiem jedno, im dalej prowadzę dochodzenie, tym wyraźniej wszystko wskazuje na Wildmana. Przecież nie mogę pominąć tego tropu jedynie dlatego, że postępowanie Wildmana, jeśli jest mordercą, nie zgadza się ze zdrową logiką.

— Naturalnie — zgodził się Adam Niemirowicz — trzeba wyjaśnić do końca rolę Wildmana. Co mu konkretnie

zarzucasz?

— Był na oddziale chirurgicznym w godzinie, kiedy można było choremu podać szklankę wody, aby wywołać u niego krwotok wewnętrzny. Wstąpił do separatki i był tam sam na sam z Maliszewskim, bo Rafalską wywołano do telefonu. To nie było przypadkowe. To specjalnie zainicjowano, aby pielęgniarkę wywabić z separatki. Tylko lekarz orientuje się, że po operacji wyrostka robaczkowego szklanka płynu podana choremu w odpowiedniej chwili może wywołać śmiertelny skutek. Pracuję dwadzieścia lat w milicji, nie uchodzę za najgorszego z oficerów dochodzeniowych, ale przyznaję, nie miałem o tym pojęcia.

— Ja też — przyznał szczerze pułkownik.

— Informowałem się na ten temat. Ryzyko wywołania krwotoku wewnętrznego jest minimalne, jeśli płyn podany zostanie w innym czasie. Okres krytyczny, to mniej więcej osiem do dwunastu godzin po zabiegu. Operowano pacjenta między ósmą a dziewiątą rano. Wildman był w separacie między szóstą a siódmą wieczorem. Wszystko zgadza się w czasie.

— Nie mamy jednak pewności, czy zgon Maliszewskiego nastąpił wskutek tego, że pozwolono mu napić się wody. Nawet sekcja zwłok nie potwierdzi naszych przypuszczeń. Czysta woda nie pozostawia w organizmie żadnych śladów. Również nie uda się wykryć, czy Maliszewskiemu dano jakiś środek nasenny, bo i przedtem je zażywał, a ponadto był pod narkozą. Sam Niekwasz oponował przeciwko sekcji jako bezcelowej. Nasi specjaliści potwierdzili tę opinię w całej rozciągłości.

— Wiem dobrze, że na razie rozporządzam przeciwko Wildmanowi tylko poszlakami, niemniej te poszlaki są bardzo poważne.

— Przecież powtarzam, że trzeba wyjaśnić rolę Wildmana do końca. Zrób to szybko.

— Skończyłem z pielęgniarkami, dzisiaj biorę się za lekarzy. Jako ostatniego wezwałem Wildmana. Co też powie?

— Pamiętaj, praworządność! Bez zdecydowanych postaw, nie zamykaj go nawet na te czterdzieści osiem godzin,

— Wiem, wiem — zniecierpliwiał się major. — Będę się z nim obchodził jak z jajkiem.

Za godzinę w pokoju Kaczanowskiego znowu rozpoczęły się przesłuchania.

— Pani Zofia Myśliwiec? — zapytał major na widok dość przystojnej blondynki, elegancko ubranej — proszę, niech pani siada.

Po załatwieniu wstępnych formalności oficer zauważył:

— Pani chyba się orientuje, dlaczego wezwaliśmy ją na rozmowę?

— Tak. Chodzi o śledztwo przeciwko doktorowi Niekwaszowi o nieudaną operację. Błąd w sztuce lekarskiej.

— Że jednak tak doświadczony chirurg mógł się omylić?

— Macie dziwne podejście do lekarzy. Każdy człowiek się myli. Pan też i to nieraz. Dlaczego właśnie lekarz ma być nieomylny?

— Jeżeli ja się mylę, ryzykuję naganą od zwierzchnika. W najgorszym razie wyleją mnie z milicji. Jeżeli lekarz się omyli, zastępuje go grabarz. To istotna różnica. Co mogło być powodem błędu Niekwasza?

— Nie wiem. Może pośpiech, może właśnie zbyt duża rutyna? Zresztą nie jestem przekonana, że Niekwasz popełnił błąd.

— Jednak chory zmarł. Pani asystowała przy tej operacji?

— Tak. Podawałam narkozę.

— Pani jeste anestezjologiem?

— Nie, chirurgiem. Zdobyłam tę dodatkową umiejętność na specjalnym kursie. Ta dyscyplina medyczna nie cieszy się wśród młodych lekarzy zbyt dużą popularnością. Mamy etaty obsadzone, jak to się mówi na „styk”. Bez żadnej rezerwy. Nieraz kogoś brakuje. Z operacją nie zawsze można czekać, a zespół operujący musi być w komplecie. Dlatego często zastępuję anestezjologa.

— Tym bardziej pani się orientuje i jako anestezjolog, i jako chirurg, czy zabieg był zrobiony prawidłowo.

— Nie ja operowałam.

— W tym przypadku jako anestezjolog nie miała pani za wiele zajęć? Prawda?

— Tak. Komu innemu robiono by taki zabieg z miejscowym znieczuleniem i pacjent sam by wrócił na swoje łóżko.

— Więc jednak błąd, bo umarł zdrowy człowiek. Podwiązka była za słabo założona. Widziała pani ten moment operacji?

— Widziałam. Według mnie wszystko było w porządku. Ale kiedy się tylko patrzy, trudno ocenić, czy podwiązka jest prawidłowo założona. To chirurg wyczuwa własnymi palcami. Jeżeli ktoś w pana obecności wiąże supel, pan przecież nie wie, czy go mocno zacisnął. Z podwiązką jest podobnie. Doktor Niekwasz ma opinię doskonałego fachowca, nazywają go „złotą rączką”, mogę zatem sądzić, że raczej się nie omylił.

— To pani osobiste przekonanie?

— Tak.

— Trudno tę sprawę ruszyć z miejsca. Jest wiele sprzecznych zdań. Zostawmy na razie ten problem. Pani od dawna знаła dyrektora Maliszewskiego?

— Wcale go nie znałam. Pierwszy raz zobaczyłam go na stole operacyjnym. I to dlatego, że tego dnia zabrakło anestezjologa, ponieważ zachorował. Zbieg okoliczności, że zetknęłam się z tym pacjentem.

— Czy w waszym szpitalu panuje taki zwyczaj, że lekarze, którzy operowali chorego, składają mu później wizyty?

— Nie. Pierwszy raz słyszę.

— Pani odwiedziła Maliszewskiego.

— Odwiedziłam

— W jakich godzinach?

— To było po trzeciej po południu.

— Powód?

— Pewien mój znajomy prosił mnie, abym się szczególnie zaopiekowała tym chorym. Ponieważ tamtego dnia operacje przeciągnęły się, znajomy mógł mnie osiągnąć telefonicznie dopiero około trzeciej. Pytał o zdrowie swojego przyjaciela. Poszłam do separatki, przekonałam się, że pacjent czuje się dobrze, chociaż nieco jest zaszokowany narkozą, a nie drobnym zabiegiem. Wróciłam do pokoju lekarskiego i stamtąd zawiadomiłam znajomego, że stan Maliszewskiego nie budzi żadnych obaw.

- Długo pani była u chorego?
- Najwyżej piętnaście minut. Spieszyłam się do przychodni. Już i tak byłam spóźniona. Lekarz, żeby żyć, musi mieć przynajmniej dwie posady i ciągle się spieszyć. Nieraz to zwariować można, a pacjenci sarkają na czekanie.
- Pani badała chorego?
- Zapytałam, jak się czuje, czy czegoś nie potrzebuje, przekazałam pozdrowienia od przyjaciela, zerknęłam na wykres temperatury i zebrałam puls.
- Można wiedzieć, kim jest ten znajomy?
- To naczelny dyrektor „Maszynimportu”, pan Stanisław Kowalewski. Znam go od dawna.
- A doktora Wildmana także pani zna?
- Naturalnie. Przecież on pracuje w naszym szpitalu.
- Co pani o nim sądzi?
- Nie jestem upoważniona do wygłaszania sądów o tym koledze.
- Doktor Wildman często bywa na oddziale chirurgicznym?
- Wildman nie jest doktorem, tylko lekarzem. On wszędzie często bywa, chyba najrzadziej na własnym oddziale.
- Podobno jest to człowiek pełen najrozmaitszych kompleksów. O byle co się obraża i jest bardzo mściwy. Zauważyła to pani?
- Ja uważam, że Wildman ma tylko jeden kompleks. Nazwałabym go „pielęgniarskim”. Chodzą plotki, że dziewczęta pracujące na jego oddziale mają trudne życie. Jeżeli... jeżeli nie pójda na pewne kompromisy. Podobno niejedna z tego powodu opuściła nasz szpital.
- Myślałam, że czasy jaśniepańskich folwarków i ius primae noctis już minęły
- Nie wszędzie.
- Czy Wildman znał Maliszewskiego?
- Nie wiem.
- Nie dowiadywał się o jego zdrowie?
- Miałam tę przyjemność – Zofia Myśliwiec uśmiechnęła się ironicznie – że spotkałam Wildmana, kiedy wychodziłam ze szpitala. Zabawiał mnie rozmową, ale ani słowem nie

wspomniął o Maliszewskim.

Z kolei na krześle naprzeciwko majora Kaczanowskiego zasiadł dyrektor szpitala Stefan Postomski.

— Nie rozumiem — stwierdził dyrektor — dlaczego pan major mnie wezwał. I w ogóle dlaczego prowadzi się śledztwo? Przecież rodzina pana Maliszewskiego nie złożyła skargi. Więc po co wracać do tej historii?

— To prawda. Na szczęście pan dyrektor czuwał. Dzięki temu, że pan zawiesił w prawach chirurga lekarza przeprowadzającego ten zabieg i następnie wymówił mu pracę, dowiedzieliśmy się o tym dziwnym zgonie i mogliśmy wkroczyć do akcji. Jesteśmy panu za to wdzięczni.

— Doktor Niekwasz na pewno dobrze przeprowadził operację. To doskonały fachowiec. A wymówienie mu pracy nie ma nic wspólnego ze zgonem dyrektora Maliszewskiego. Po prostu różnica zdań na tematy zawodowe. Ponieważ ja jestem dyrektorem, a jeden z nas musi odejść, odchodzi Niekwasz.

— To dlaczego pan go zawiesił w prawach chirurga?

— Nerwy. Po prostu nerwy. Jestem nieco porywczy. Zresztą odwołałem już to zarządzenie.

— Kiedy?

Postomski zmieszał się.

— Przedwczoraj — powiedział.

— To ciekawe — zakpił major — akurat w dniu, kiedy otrzymał pan wezwanie do komendy. Ale mniejsza o to. Dlaczego Maliszewski zmarł?

— Pan dobrze wie. Przyczyną był krwotok wewnętrzny, zbyt późno zauważony.

— Czy to вина Niekwasza?

— Doktor Niekwasz po południu nie miał zajęć w szpitalu. Nie mógł więc czuwać nad chorym. Jeżeli można mówić o winie, to już raczej zawinili lekarze dyżurni, którzy za późno się spostrzegli. A także pielęgniarka. Ona przede wszystkim powinna była się zorientować, że chory nie śpi, lecz stracił przytomność.

— Tak się dziwnie składa, że najwięcej obwiniana nie żyje. Paskudny zbieg okoliczności.

Stefan Postomski nie odparł tego ciosu. Major natomiast kontynuował:

— Tak więc w tej sprawie mamy aż dwie grupy winnych. Z jednej strony Niekwasz, który, być może, nieprawidłowo przeprowadził zabieg, popełnił błąd w sztuce lekarskiej. Z drugiej dwaj lekarze dyżurni: doktor Dobrowolski i doktor Adamczyk i ponadto — major zawiesił głos — dyrektor szpitala. Proces zapowiada się interesująco. Na dwoje babka wróżyła, kogo sąd uzna bardziej winnym.

— Ja? Jako oskarżony?

— Pan dyrektor jest przecież też lekarzem.

— Cóż z tego?

— Pan był w pokoju chorego gdzieś około godziny dziewiątej wieczorem. Wtedy Maliszewski najprawdopodobniej był już nieprzytomny. Pan także tego nie zauważył. Dlaczego winić pielęgniarkę, skoro lekarze niczego nie zauważyli?

— Ja tylko uchylilem drzwi i spytałem Rafalską o samopoczucie pacjenta. Odpowiedziała, że dobre i że śpi już od dwóch godzin. To nie trwało nawet minuty.

— A może jednak trzeba było podejść do chorego zbadać mu puls? Może wówczas nie doszłoby do niepotrzebnego zgonu człowieka?

Dyrektor milczał. Przesłuchanie przybierało nieoczekiwany obrót. Był zaskoczony.

— Dlaczego tak lekko choremu przydzielił pan separatkę? — zapytał oficer milicji.

Postomski nieznacznie odetchnął. Rozmowa wkraczała na bezpieczniejsze tory.

— A co miałem robić? Dyrektor szpitala musi być po trosze dyplomatą. Nie wolno mu narażać się możliwym tego świata. Trzeba stale lawirować. Czy pan wie, majorze, że my odpowiadamy karnie nawet za to, że więcej ludzi wyleczymy?

Major zdziwił się.

— Zaraz panu wytłumaczę. Ma pan w szpitalu sto łóżek. Otrzymuje pan co miesiąc pieniądze na wyżywienie stu osób i odpowiedni ryczałt na lekarstwa. Nagle wybucha jakaś epidemia, zdarza się większa katastrofa, nie może pan

odmówić przyjęcia pacjentów w czasie ostrego dyżuru. Wstawia się więc dziesięć dostawek na korytarzu, aby uratować życie jeszcze dziesięciu osobom. To kosztuje dodatkowo i dyrektor odpowiada za przekroczenie pozycji budżetowych. Do niedawna majorze, musieliśmy nawet planować ilość zgonów. Dobrze, że chociaż premii nie odbierali i nie kazali się tłumaczyć z niewykonania tego planu.

Kaczanowski roześmiał się.

Dobrze się panu śmiać, bo pan pracuje w milicji. Gdyby pan był na moim miejscu, daleko byłoby panu do śmiechu. A co do tej separatki, czy miałem wybór? Na moim biurku telefony zaczęły się urywać. Przychodzi do szpitala dyrektor Maliszewski i musi mieć maksimum opieki, a przede wszystkim własny pokój. Tłumaczyłem, że dla takich Bardzo Ważnych Osób istnieje klinika rządowa, a mój szpital jest dla zwykłych śmiertelników. Nic nie pomogło. Ostatecznie bez tej separatki doktor Niekwasz obejdzie się przez 5–6 dni. Ustąpiłem. Z „górami” dyrektor szpitala musi żyć w zgodzie.

A któż to tak telefonował do pana?

— Najpierw naczelny dyrektor „Maszynoimportu”. Później wiceminister z przemysłu maszynowego. Kolejno trzech czy czterech dyrektorów departamentu z Ministerstwa Zdrowia. W końcu moja bezpośrednia władza, naczelnik Władysław Porzyński z Wydziału Zdrowia. Miałem z tymi wszystkimi panami zadzierać?

— Sam bym choremu odstąpił mój gabinet.

— Widzi pan, majorze, jak to jest.

— A co pan może powiedzieć o doktorze Pawle Wildmanie?

— To zdolny lekarz. Młody, a chociaż brakuje mu doświadczenia zarówno życiowego, jak i zawodowego, zapowiada się na dobrego neurologa. Otwarta głowa.

— Z dużym zarostem.

— Na pewno pan zna moją wojnę z Wildmanem o jego brodę. Tak prawdę mówiąc, ani ta broda, ani te wąsy u niego specjalnie mi nie przeszkadzają. Gdybym jednak nie wojował z młodym człowiekiem, połowa lekarzy i stażystów wyglądałaby na troglodytów.

— Czy Wildman miał jakieś zatargi z doktorem Niekwaszem?

— On wojuje ze wszystkimi lekarzami. Inaczej byłby chory. To rogata dusza, ale lekarz z powołania. Ma do wszystkich pretensje, że jego oddział jest w porównaniu z pozostałymi zbyt mały, no i mniej nowoczesny. Trochę w tym racji, lecz to jeden z nielicznych tego typu oddziałów przy zwykłym szpitalu. Niekwasz ma najlepsze i najbardziej nowoczesne sale operacyjne w całej Warszawie. Wildman nieraz domagał się zaadaptowania przynajmniej jednej z tych sal na potrzeby neurochirurgii. Niekwasz o tym nie chciał nawet słyszeć. Zresztą z podobnymi żadaniami Wildman występował nie tylko pod adresem chirurga, ale i innych ordynatorów. Gdyby mógł, to cały szpital zamieniłby na zakład dla nerwowo chorych.

— Wildman pomimo młodego wieku jest już ordynatorem?

— Nie. Nie ma jeszcze specjalizacji drugiego stopnia i tak prędko jej nie zrobi. Ordynatorem jest starszy lekarz, który jednak energią nie dorównuje naszemu brodaczkowi. De facto raczej Wildman pełni tę funkcję.

— Czy to prawda, że Wildman groził odejściem, jeżeli każe mu się zgolić brodę?

— On groził, że odejdzie, ja mówiłem, że go wyleją. Żaden z nas nie brał tego poważnie.

— Ten młody człowiek ma opinię wielkiego uwodziciela. Zwłaszcza pielęgniarek.

— Właśnie. Dlatego lekarki tak go nie lubią. Woląby, żeby nimi się interesował. Wildman lubi epatować więc też stara się jak najbardziej zarobić na tę opinię. Ale ostatnio się uspokoił. Tym razem chyba wpadł. Kto wie, czy i z brodą się nie pożegna, podobnie jak z wolnością kawalerską. Znalazła się Dalila, która go ostrzyże.

— Widział pan kiedy taki przedmiot? — major pokazał Postomskiemu futerał.

— To jakaś reklamówka. Futerałik na pilnik tub scyzoryk. LYNNDA? Nie znam takiej firmy farmaceutycznej. Może kosmetyki? Teraz tyle jest tych różnych reklamówek. Długopisów nie kupuję od paru lat i garściami rozdaję

znajomym. Kalendarzami mam zawaaloną szufladę w biurku. Ale to chyba jakaś kosztowniejsza reklama? Zawartość futerału była zapewne odpowiednio elegancka. Słyszałem tę nazwę albo gdzieś czytałem. Ale gdzie? I to niedawno.

Paweł Wildman został wezwany do majora Kaczanowskiego w dwie godziny później. Chodziło o to, aby nie spotkał się z innymi lekarzami, przesłuchiwanymi tego samego dnia. Młody lekarz wszedł do pokoju i kłaniając się powiedział:

— Morderca Wildman, do usług pana majora.

— Dlaczego morderca?

— Bo przecież pan uważa, że to ja wyprawilem do lali tego kochanego i nieodżałowanego Maliszewskiego Prawda?

— My niczego, jak pan mówi, nie „uważamy”, my się kierujemy dowodami. Proszę, niech pan siada i podyktuje maszynistce swoje personalia.

— Zaimponował mi pan major — podjął lekarz. — Jak pan zręcznie napuścił Dziuńkę na mnie. Myślałem, że mi mordę obije za tę Rafalską. A ja nie wiem, czy z nią zamieniłem dziesięć słów w życiu. Ale w jaki sposób przekonać zazdrosną kobietę?

— Wtedy, kiedy pan był w separatce?

— Tak. Ja wywołałem Rafalską z separatki mówiąc, że jest do niej telefon na schodach. Następnie dałem choremu parę pastylek silnego środka nasennego i dwie szklanki wody. Kiedy Rafalska wróciła, szybko się wycofałem. A Maliszewski wykitował w przepisowym czasie. Bałem się jednak, że Rafalska może się wygadać, toteż w najbliższą sobotę załatwiłem ją przy pomocy skradzionego auta. Teraz chodzę i myślę, kogo by z kolei zamordować? Może dla odmiany kogoś z milicji? Co pan o tym sądzi, majorze?

Oficer milicji uśmiechnął się. Ten chłopak zaczynał mu się podobać. Zaś lekarz ciągnął swój monolog:

— Szkoda, że nie macie sali tortur. Takiej. Jak w filmie „Beatrix Cenci”. Do wszystkiego bym się przyznał, napisalibyście protokolik i sprawa z głowy. Można jechać na urlop na Mazury rybki łowić. Aha, zapomniałem o motywach. Otóż śmiertelnie nienawidziłem tego starego kretyna

Niekwasza za to, że ma u siebie najlepszą w Polsce salę operacyjną, gdzie chorym obcinają paznokcie a my nie możemy przeprowadzić najprostszego zabiegu z zakresu neurochirurgii.

— Dlaczego pan Niekwasza nazywa kretynem?

— Bo każdy, kto jest długo ordynatorem, musi skretynieć w tych warunkach. Od rana do wieczora wszyscy lekarze, pielęgniarki i chorzy łasza się „Pan doktor to, pan doktor tamto. Jaki mądry jaki genialny, złota rączka” A potem się cieszyli jak się złotej rączce noga powinęła. U mnie na oddziale przynajmniej panuje szczerłość. Jak ktoś chce kogoś ugryźć, to staje na czterech łapach, szczeka i chwyta zębami przeciwnika za łydkę. To rozumiem sytuacja jasna. Ale kiedy patrzę na te podjazdowe walki, naprawdę bierze mnie chętka kogoś zamordować. Choćby tego tchórza Postomskiego. Szpital karierę zrobił na Niekwaszu.

Jedyne bodaj na świecie operacje serca, profesorowie z całej Europy przyjeżdżają i tylko cmokają ustami. A jak się Niekwasz pośliźnie to się go wylewa na zbity łeb. A przecież Postomski dobrze wie, że Niekwasz tu niewinny. Kretyn bo kretyn ale operacje umie robić. Maliszewski umarł tak jak panu powiedziałem.

— Jest pan tego pewny?

— Jedyne w ten sposób można wytłumaczyć zgon tego człowieka. Inaczej nie.

— Pan w tamtym dniu był wieczorem w szpitalu?

— Widzę, że pan major, jak dobry furman znowu nawraca do pierwszego tematu i chce ze mnie zrobić zbrodniarza. Byłem.

— Do kiedy?

— Miałem dwudziestoczerogodzinny dyżur. Kończył się o ósmej wieczorem.

— Po co pan poszedł o godzinie siódmej wieczorem na oddział chirurgiczny?

— Nie byłem tam.

— Mamy na to świadków. Widziano pana wychodzącego z separatki. Akurat w porze, kiedy prawdopodobnie podano choremu coś do picia.

Paweł Wildman nie stracił rezonu i od razu znalazł

odpowieź na tak poważny zarzut:

— Gdyby pan major chciał, żeby go nikt nie poznał, co by pan zrobił? Powiem panu. Przykleił by pan wąsy i brodę. To zakrywa prawie całą twarz. Do tego włożyłby pan okulary. A że w szpitalu tylko Wildman ma brodę i wąsy, więc kogo widziano na chirurgii? Jasne Wildmana!

— A na oddziale urologicznym pan był?

— Również nie byłem.

— I na to mamy świadków. Nawet pani Wanda Cegielska zeznała, że widziała się tego dnia z panem. Pielęgniarki tak nie spacerują po szpitalu jak lekarze.

— Słyszę, że pan jest świetnie poinformowany o stosunkach panujących w naszym szpitalu. A co do tego świadka, wolalbym, żeby ona sama powiedziała, kiedy mnie widziała tego dnia. Zapewniam pana, że na urologii też nie byłem. Nikt tam mnie nie mógł zobaczyć.

— Hm — mruknął powątpiewająco oficer milicji.

— Widzi pan majorze, najtrudniejszy jest dowód na „nie”. Na przykład udowodnić, że nie jest się idiotą — spojrzenie młodego lekarza nie pozostawiało wątpliwości co do tego, kto z obecnych w pokoju powinien ten dowód przeprowadzić — nie dowiodę panu naturalnie, że nie byłem na chirurgii czy urologii. Bo mogłem tam wejść w tym czasie, kiedy nikt by mnie nie zauważył. Cóż z tego, że widziano brodacza? Staralem się wyjaśnić panu tę maskaradę i podszywanie się pode mnie. Bo podejrzewam, że tak właśnie było. Już dawno zgoliłbym tę swoją szczecinę, bo to i niewygodne i człowiek małpę z siebie robi. Dziuńka dziurę w brzuchu mi wierci, abym zgolił, grozi, że mnie rzuci, ale tylko tak grozi. Przed ślubem tego nie robi.

— Pan się żeni? — po opiniach, jakie major zebrał o Wildmanie, tak wiadomość była zaskakująca.

— Jesienią. Na razie ciułamy pieniążki na tę wspólną drogę życia. Choćby mężczyzna miał największe powodzenie u babek, przychodzi na niego taki czas, kiedy wszystkie mu zbrzydną prócz jednej. A Wanda jest wyjątkową dziewczyną. My wszyscy ženimy się z wyjątkowymi dziewczynami i trudno zrozumieć, dlaczego później jest tak wiele niedobrych małżeństw.

— Jak dalej z tą brodą będzie?

— Chyba ją zgole. Może pod pozorem ślubu? Inaczej personel szpitala zwariuje z radości, że się Postomskiego zląkłem, a mój oddział malutki, nie zmieszczą się. Naturalnie dla dobrych znajomych, po przyjaźni, zawsze się jedno miejsce tam znajdzie — dodał znacząco, aby nie było wątpliwości, kto może się o nie ubiegać.

— Dziękuję! — oficer od dawna świetnie się bawił tym przesłuchaniem. — Chętnie skorzystam. Choćby dlatego, żeby od niektórych młodych lekarzy nauczyć się grzeczności.

— 1:0 dla pana majora — skwitował Wildman i dodał poważnie. — Zarzuty i poszlaki są ciężkie. Zdaję sobie z tego sprawę. Jednak to nie ja zabiłem Maliszewskiego. Nie mam i nic nie miałem przeciwko doktorowi Niekwaszowi i temu dyrektorowi. Zresztą Maliszewskiego nie znałem, nigdy go na oczy nie widziałem. A Niekwasz to naprawdę wielki chirurg, którego trzeba szanować za jego wiedzę. Nie mam wprawdzie alibi na te godziny, kiedy choremu podano coś do picia, ale mam alibi, kiedy zabito Elżbietę Rafalską. Wtedy przez dwadzieścia cztery godziny pracowałem w pogotowiu. Pan zapewne wie, że młodszy lekarze w ten sposób sobie dorabiają. Moje alibi łatwo sprawdzić. Przy tylu wezwaniach, jakie ma pogotowie z soboty na niedzielę, nie mogło być mowy, abym się urwał stamtąd choćby na kwadrans. A przecież Maliszewskiego i Rafalską zabił ten sam człowiek.

— Dlaczego miał ją zabić?

— Pan, majorze, nie wierzy przecież w wypadek samochodowy. Rafalską zabito dlatego, aby nie mogła powiedzieć, że człowiek, który wywołał ją do telefonu, nie był Pawłem Wildmanem. I aby przy późniejszej, ewentualnej konfrontacji, nie mogła wskazać mordercy.

— Pan jest jedynym „brodatym” pracownikiem szpitala. Rozumiem, że ci, którzy widzieli mężczyznę z brodą idącego szybkim krokiem po korytarzu, mogli go wziąć za pana. Ale Rafalska musiała pana widzieć z bliska.

— Niech pan nie zapomina, majorze, że w pokoju panował półmrok albo nawet było zupełnie ciemno i człowiek

wchodzący do separatki miał twarz w cieniu. Natomiast na patrzącą na niego padał blask lampy z korytarza. Widząc brodę i ubiór lekarza, pielęgniarka mogła się spodziewać tylko Wildmana, więc widziała Wildmana. Rafalska знаła mnie jedynie z widzenia. Na chirurgii bywałem rzadko. Jeżeli u pielęgniarki zrodziły się jakieś wątpliwości, to znacznie później. Po dziwnej śmierci dyrektora Maliszewskiego. Dlatego, na wszelki wypadek, ją też zabito. My, specjaliści od wariatów, aby samemu nie zwariować, musimy umieć myśleć jasno, szybko i logicznie. Zresztą, niech pan major zrobi próbę. Proszę mnie teraz zatrzymać w areszcie i posiać do szpitala nawet trzech wywiadowców z lekka ucharakteryzowanych na mnie. Niech chodzą po różnych oddziałach i rozmawiają z chorymi, pielęgniarkami lub salowymi. Później pan dowie się, że Wildman cudownie się rozmnożył, ponieważ był jednocześnie w trzech miejscach.

— Dla mnie, jako neurologa, a więc po troszce i psychologa, byłoby to pasjonujące doświadczenie, chętnie tymczasem posiedzę.

— Nie jesteśmy neurologami i nie będziemy robili takich doświadczeń. Proszę, niech pan podpisze protokół.

— Gdzie pan major chowa kajdanki? — zapytał lekarz po skończonej ceremonii z protokołem.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Żebym mógł je wyjąć i założyć sobie na ręce

— Dla lekarzy robimy specjalne, na miarę. Będą gotowe, kiedy pan tu przyjdzie następnym razem.

Młody lekarz otworzył już drzwi i zamierzał opuścić pokój, jednak w ostatnim momencie zawrócił:

— Był pan bardzo uprzejmy, majorze — powiedział — że nie zamknął mnie pan, choćby do czasu sprawdzenia mojego alibi w pogotowiu. Potrafię to docenić. Niech pan także wie, że Paweł Wildman jest lojalnym obywatelem i jak całe społeczeństwo niczego nie pragnie goręcej, jak pomagać naszej kochanej milicji w tropieniu groźnych przestępców.

— Bardzo się cieszę. — Kaczanowski nie wiedział, do czego zmierzają te kpiny.

— Dlatego powiem panu, że gdybym chciał utrpić tego waszego ancymonka, to dla pewności poczęstowałbym go nie tylko szklanką wody, ale także jakimś silnym środkiem przeczyszczającym. Do widzenia panu majorowi.

„Młody zbuntowany” wyszedł i delikatnie zamknął drzwi za sobą. Maszynistka, która pisała protokół, zerwała się od stolika:

— Zawrócę go — zaproponowała.

— Nie trzeba.

— Nie zatrzyma go pan major?

— Alibi to on na pewno ma. Inaczej nie byłby taki odważny i nie stawiałby się. Doskonale wiedział, że jest podejrzany o zbrodnię, ale że nic nie może mu zrobić, bo kto zamordował Maliszewskiego, ten także jest sprawcą śmierci Rafalskiej. Słowa, które Wildman wypowiedział na pożegnanie, są niezmiernie interesujące. Tym spostrzeżeniem muszę podzielić się z doktorem Niekwaszem i lekarzem milicyjnym. Być może, zdobędziemy nareszcie dowód zbrodni, bo dotychczas prowadzimy wprawdzie dochodzenie w sprawie o morderstwo, ale ciągle opieramy się na przypuszczeniach. No tak... Dziękuję pani. Na dzisiaj dosyć.

Kiedy protokolantka wyszła, major połączył się ze szpitalem przy Zielnej. Długo czekał, zanim odszukano ordynatora i usłyszał jego głos w słuchawce.

— Czy doktor może do mnie przyjechać? — zapytał oficer.

— Coś ważnego?

— Raczej tak.

— W tej chwili byłoby mi dość trudno stąd się wyrwać.

— Rozumiem. To może ja wpadnę na Zielną? Mogę być za dziesięć minut. Przrzekam, że nie zabiorę panu więcej jak dwadzieścia minut. Najwyżej.

Lekarz zastanawiał się:

— Jednakże byłoby mi wygodniej wybrać się do pana majora. Czy za pół godziny nie będzie za późno?

— Dobrze, czekam na pana. — Kaczanowski odłożył słuchawkę.

— Aby nie tracić czasu, porozumiał się z pogotowiem

ratunkowym, gdzie, jak przewidywał, potwierdzono, że doktor Wildman miał w dniu dwudziestego czwartego czerwca cały dzień dyżur, który się skończył w niedzielę rano. Na wszelki wypadek oficer poprosił o przysłanie mu pełnej listy lekarzy owego dnia pracujących w pogotowiu.

Ten telefon ostatecznie zamykał sprawę Pawła Wildmana. Nagle powzięte podejrzenie upadło równie szybko jak powstało.

— Nie chciałem, aby pan przyjeżdżał do szpitala, majorze, bo tam aż wrze. Dwa dni przesłuchiwań, najpierw pielęgniarek, później lekarzy, wywołały w zakładzie masę plotek. Niedwuznacznie daje mi się do zrozumienia że jestem „czarną owcą” i to wszystko jest rezultatem moich rozrób. Ale co się stało dyrektorowi Postomskiemu? Wrócił z Pałacu Mostowskich wściekły. Dwóch młodych stażystów po prostu wyrzucił z gabinetu, a na sekretarkę tak krzyczał, że aż w naszym pawilonie było słyhać. Teraz zamknął się u siebie i zakazał wpuszczania tam kogokolwiek.

— Mam nadzieję, że zły humor szybko minie waszemu dyrektorowi. Po prostu przekonał się, że w takich sprawach, jak ta z Maliszewskim, nie ma winnych i niewinnych. A przynajmniej ta granica jest bardzo łatwo przekraczalna. Paweł Wildman właśnie ją przekroczył, ale w odwrotnym kierunku. Wszedł tu jako podejrzan, wyszedł czysty jak łąza.

Kaczanowski streścił chirurgowi zeznania młodego lekarza. Pomiął tylko opinię neurologa o ordynatorze oddziału chirurgicznego.

— Cieszę się — szczerze powiedział Zygmunt Niekwasz — że sprawa się wyjaśniła. Byłoby straszne, gdyby naprawdę lekarz mordował pacjentów w swoim szpitalu. I to dla tak błahego powodu, jak chęć zaszkodzenia innemu koledze. Uwaga Wildmana o środkach przeczyszczających jest rzeczywiście słuszna.

— Dlaczego?

Szklanka wody podana po operacji wyrostka robaczkowego może — wyjaśniał chirurg — ale nie musi wywołać takiej reakcji, jak u Maliszewskiego czy u tego młodego człowieka

zamordowanego w podobny sposób we Wrocławiu. Wiemy, że pobranie przez chorego płynu mniej więcej w dziesięć godzin po zabiegu, jest najbardziej niebezpieczne. Wtedy ruchy jelit będą najsilniejsze. Ale trudno określić, co to są „najsilniejsze ruchy jelit”. U jednego wystąpią z taką mocą, że podwiązka arterii zostanie zsunięta i nastąpi krwotok wewnętrzny. U drugiego ten proces będzie przebiegał znacznie łagodniej.

— Rozumiem, jeden chory po wypiciu płynu umrze drugim on wcale nie zaszkodzi, czy tak?

— Właśnie. Natomiast zupełnie inaczej zareaguje organizm jeżeli choremu poda się dodatkowo silnie działający środek przeczyszczający. Środek przeczyszczający wywołuje skurcz jelit. Można przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że te ruchy jelit będą jednakowo gwałtowne u wszystkich i musi nastąpić krwotok wewnętrzny.

— Jednym słowem, chcąc z całą pewnością wywołać skutek śmiertelny, trzeba choremu dać prócz wody także na przeczyszczenie?

— Tak, majorze. Wildman ma rację. Mnie nie przyszło to na myśl.

— Ala gdyby tak było, to w tej historii nie wszystko jest dla mnie jasne.

— Co takiego?

— Jak zmuszono Maliszewskiego do wzięcia na przeczyszczenie? On, jak zorientowaliśmy się, przesadnie dbał o swoje zdrowie. Zresztą wyraźnie mu zakazano picia czegokolwiek po zabiegu. Jak zdołano dyrektora namówić, aby połknął porcję rycyny czy też wypił rozpuszczoną w wodzie sól glauberską?

Chirurg roześmiał się.

— Od razu widać, że major cieszy się dobrym zdrowiem i nie daje lekarzom za wiele zarobić.

— Rzeczywiście, nie pamiętam, kiedy ostatni raz chorowałem. A na żołądek, to bardzo dawno, w dzieciństwie. Właśnie z tamtych czasów znam smak rycyny czy soli gorzkiej.

— To dwa leki będące podstawą apteczki domowej. Zapewniam pana, że medycyna dysponuje obecnie całą gamą

tego rodzaju środków. Od bardzo łagodnych, takich o których dowcip powiada, że „działają bez przerywania snu”, aż do bardzo gwałtownych. Wiele z tych leków ma postać małej pigułki, podobnej do środka nasennego. Zapewne Maliszewskiego potraktowano takim lekiem łącznie z somiferem. Chory nawet nie domyślił się co połyka. Najpierw zaczął działać środek nasenny, później lek przeczyszczający.

— Gdyby tak było, mielibyśmy bardzo ułatwione zadanie — stwierdził oficer milicji.

— Dlaczego?

— Dotychczas operujemy wyłącznie podejrzeniami, że popełniono morderstwo. Teraz mamy szanse zdobycia tej pewności.

— Ja nadal nie widzę tych możliwości.

— Sam mi pan odradzał wystąpienie z wnioskiem o ekshumację zmarłego, twierdząc, że sekcja zwłok nie wykryje w ciele szklanki wypitej po operacji wody. Teraz sytuacja się zmieniła. Jeżeli Maliszewski otrzymał środek przeczyszczający, jego ślady znajdują się w ciele zmarłego. A więc zyskujemy dowód, że to nie „błąd sztuki lekarskiej”, lecz zbrodnia.

— Niestety, muszę pana znowu zmartwić.

— Sekcja nic nie wykryje? — zaniepokoił się Kaczanowski.

— Sekcja zwłok wykryje w ciele wszelkie związki mineralne lub metaliczne. Gdyby na przykład stało się tak, jak pan mówił, że chorega potraktowano sola glauberską, sekcja by to wykryła. Jednakże najsilniejsze nawet trucizny pochodzenia organicznego są w organizmie ludzkim nie wykrywalne po upływie dwudziestu czterech godzin. Od tej zasady istnieją nieliczne wyjątki, jak nikotyna, ale już nie morfina lub atropina, które należą przecież do związków bardzo silnie i szybko działających. Prawie wszystkie środki przeczyszczające są lekami pochodzenia organicznego. Od chwili śmierci Maliszewskiego upłynęło parę tygodni i wykrycie takiego leku jest niemożliwe nawet przy najbardziej dokładnej sekcji zwłok i analizie chemicznej.

Po wyjściu doktora Niekwasza oficerowi milicji daleko było do zadowolenia. Hipoteza Wildmana, w którą major uwierzył,

rozpadła się niczym domek z kart. Rozmowa z chirurgiem także nie posunęła sprawy ani na jotę naprzód. Kaczanowski zamknął akta w szafie i poszedł do pułkownika Niemirocha. Z góry wiedział, że tam nie czekają go pochwały za dotychczasowe „sukcesy” dochodzenia.

ROZDZIAŁ 10

Szukanie nowego tropu

— No i co? Jest coś nowego? — tymi słowami pułkownik Adam Niemiroch powitał majora Janusza Kaczanowskiego — z twojej miny widzę, że nietęgo się spisujesz?

— Klops, kompletny klops — tym zdaniem major podsumował wyniki dochodzenia.

— Przewidywałem to, Januszkule. Poszedłeś na łatwiznę. Tak się musiało skończyć. Zasugerowałeś się tym Niekwaszem, który poza swoimi kłopotami świata nie dostrzega. Co z Wildmanem?

— Jeszcze muszę sprawdzić jego alibi na dzień śmierci pielęgniarki Rafalskiej. Ale to już formalność. Lekarz twierdzi, że wtedy miał dyżur w pogotowiu. Zeznania świadków, którzy rzekomo spotkali go na oddziale chirurgicznym, obalił logicznym rozumowaniem, że oni widzieli nie jego, lecz człowieka z brodą w stroju lekarskim. A ponieważ w tym szpitalu jedynie neurolog nosi brodę, świadkom te dwa fakty musiały się skojarzyć w jedną całość.

— Bardzo zręcznie załatwił się z twoją największą poszlaką.

— A już myślałem, że dzisiaj zakończę sprawę.

— Ty przecież jej jeszcze właściwie nie rozpoczęłeś! Co ty wiesz o Aleksandrze Maliszewskim? Ze był dyrektorem w jakiejś instytucji handlu zagranicznego? Ale jaki to był człowiek, jak się układało jego życie prywatne, jaką opinią cieszył się w miejscu pracy u podwładnych i u zwierzchników? To dla prowadzącego dochodzenie jest nadal zakrytą kartą. W kieszeni zamordowanej znaleziono futerałik z napisem „LYNNDA”. Od tego czasu upłynął przeszło tydzień i oficer

śledczy nie zainteresował się jego pochodzeniem. Kawalek safianu z fartucha pielęgniarki może być dla dochodzenia niczym. Rafalska mogła go podnieść choćby na jednej z uliczek wewnętrznych szpitala i machinalnie schować do kieszeni fartucha i później o tym zapomnieć. Ale ten futerałik równie dobrze może stanowić własność mordercy i być decydującym dowodem jego winy. Tymczasem nasz „sławny as służby śledczej, popostrach świata przestępczego nie raczył się dowiedzieć, co oznacza napis „LYNNDA”. Nie przeszkadzałem ci w dochodzeniu, ale teraz...

— Ale teraz — Kaczanowski wpadł w słowa pułkownika — masz okazję do nawymyślenia mi.

— Czy bez podstaw? Uczniowie pierwszego roku szkoły oficerskiej wiedzą więcej o metodach prowadzenia niż tym się popisał doświadczony pracownik aparatu. Dlaczego Maliszewskiego umieszczono w separacie? To przecież ułatwiło dokonanie morderstwa. A my na ten temat nic nie wiemy.

— Przyznaję, wiele jest luk w śledztwie, ale to akurat sprawdziłem. Bardzo duży nacisk z zewnątrz na dyrektora szpitala, aby wydał taką decyzję.

— Nacisk z zewnątrz też był czymś wywołany.

— To także częściowo zdołałem rozszyfrować. Rozmawiałem z naczelnikiem Władysławem Purzyńskim z Wydziału Zdrowia. Okazało się, że to sam Maliszewski prosił go o pomoc w uzyskaniu separatu. Dyrektor tłumaczył, że w ogóle nie sypia jeżeli jest drugi osoba w pokoju. Po prostu ma taki uraz psychiczny. Purzyński wyjaśnił swoją interwencję u dyrektora Postomskiego tym, że „Maszynoimport” w którym Maliszewski był wysoką figurą, importuje z zagranicy również urządzenia specjalne, jak sztuczne nerki czy sztuczne serca. Szybkość sprowadzenia aparatury i jej jakość w dużej mierze zależała właśnie od dyrektora technicznego „Maszynoim-portu”. Naczelnik Purzyński chciał zaskarbić sobie jego wdzięczność. Tym bardziej, że w gruncie rzeczy chodziło o głupstwo, o zajęcie separatu najwyżej na sześć dni.

— O Boże, kiedy wreszcie znikną u nas te wszystkie drobne kumoterstwa?

— Zdaje się, Adasiu — przypomniał słodkim tonem major — że wczoraj dzwoniłeś do przyjaciela w CRZZ aby ci pomógł w uzyskaniu wczasów w Zakopanem dla żony Czy je otrzymałeś?

— A niech cię diabli!. Masz rację, wszyscy jedziemy na tym samym koniu i wszystkich nas cholera trafia na te stosunki. Ale tak się do tego przyzwyczailiśmy, że nikt nie chce niczego załatwić najprostszą drogą. Jak się później okazało, w biurze rozdzielczym wczasów przy placu Konstytucji było wiele wolnych miejsc do Zakopanego i każdy, kto tam się zgłosił, bez żadnych trudności otrzymywał skierowanie. Ale każdemu kto miał jakieś znajomości, do głowy nie przyszło, że można bezpośrednio w biurze FWP załatwić sprawę.

— A ty się dziwisz Maliszewskiemu, że mając „chody” skorzystał z nich, aby uzyskać oddzielny pokój w szpitalu?

— Wracajmy do dochodzenia — przerwał te rozważania pułkownik. — Poważnie obawiam się dalszego ciągu tej historii. Po zabiciu Maliszewskiego morderca ze strachu zaryzykował nową zbrodnię i zabił z kolei Rafalską. Okazuje się teraz, że przestępca miał współniczkę, kobietę która jak wiemy zatelefonowała do szpitala i pod pozorem troski o Maliszewskiego, wywołała pielęgniarkę z separatki. Tej współniczce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Może podzielić los tamtej, biednej dziewczyny. I, niestety, w tej chwili nie jesteśmy absolutnie w stanie temu przeszkodzić.

— No cóż, wypadki mogą przybrać taki obrót jak mówisz, ale ja osobiście nie sądzę aby do tego doszło. Przede wszystkim przestępca nie czuje się zagrożony. Ten człowiek ma dobre informacje z terenu szpitala i orientuje się, że dochodzenie poszło w fałszywym kierunku. Być może, nawet umyślnie sprowokowanym przez niego. „Człowiek z brodą” to nie tylko próba zamaskowania się, ale to prawdopodobnie świadoma akcja, aby przy okazji skierować dochodzenie na błędne tory i obciążyć Wildmana. Zastanawiające, że ten facet miał na sobie ubiór lekarza, a nie na przykład pielęgniarski lub salowego.

— Nikt by nie uwierzył w salowego z brodą. Ponieważ brodę zapuścił jeden człowiek, w dodatku lekarz, przestępca musiał mieć strój lekarski.

— Albo odwrotnie, włożył strój lekarski i dopasował fałszywą brodę, aby uchodzić za Wildmana.

— Na takie filozoficzne roztrząsanie — zauważył pułkownik — będziemy mieli czas po ujęciu przestępcy.

— Jeśli chodzi o telefon, to sądzę, że morderca posłużył się jakąś przypadkową znajomą której nie

wtajemniczał w swoje poczynania. Mógł, na przykład poprosić koleżankę z pracy, aby z domu, o ściśle określonej godzinie, zatelefonowała do szpitala i porozmawiała z pielęgniarką, czuwającą przy Maliszewskim. Upozorowanie takiej prośby jest łatwe. Miał bilet do kina i nie mógł w tym czasie zatelefonować.

— Przestępca ryzykował, że babka zapomni i cały plan spali na panewce.

— Nic nie ryzykował. Gdyby w oznaczonym czasie nie było telefonu ten człowiek sam zamarkowałby rozmowę, podniósł słuchawkę, potrzymał ją przy uchu. powiedział „dobrze, zaraz poproszę, pani chwilę zaczeka” i ruszył w stronę oddziału chirurgii. Gdyby nikogo nie było na schodach mógł w ogóle nie robić tego przedstawienia. Rafalska i tak wyszłaby z separatki i podążyła do aparatu. Najwyżej pomyślałaby, że ten ktoś kto telefonował, znudził się długim czekaniem i zrezygnował z rozmowy. Droga do telefonu z pokoju Maliszewskiego jest długa i przestępca zdołałby w tym czasie wykonać swój plan.

— Być może — pułkownika nie całkowicie przekonało rozumowanie majora.

— Gdybym ja był mordercą, poprosiłbym o taką przysługę urzędniczkę obsługującą naszą centralkę. Dziewczyna ma tyle podobnych zleceń, że nawet by nie zdziwiła się tą prośbą. Albo do tej roli zaangażowałbym ciebie.

— Mnie?

— Naturalnie. Powiedziałbym „Adasiu, zatelefonuj do szpitala punktualnie o wpół do siódmej i zapytaj o zdrowie Maliszewskiego. Tak się umówiłem z lekarzem. Mojego kumpla dziś operowali. Ja nie mogę bo jak na złość mam spotkanie z szalową babką. Przygadałem ją w autobusie. Nie mogę odwołać tej randki”. Nie zatelefonowałbyś?

— Rzeczywiście.

— A na drugi dzień, dla pewności, żebyś nie miał żadnych zawodowych skojarzeń, sam bym cię poinformował: „Wiesz, ten facet, o którego zdrowie pytałeś w moim imieniu, umarł w nocy. Nasi doktorzy, to nie lekarze, a rzeźnicy. Bardzo mnie to dotknęło bo to był naprawdę fajny gość”. Podejrzywałbyś coś?

— Nie.

— I nie musiałbym cię zamordować, chociaż nieraz mam na to wielką chęć. Choćby za dzisiejsze, łagodnie mówiąc, wyrazy niezadowolenia z mojej pracy.

— A nie zasłużyłeś na nie?

— Masz rację. Zasłużyłem. Pokpiłem sprawę. Trzeba z powrotem brać się do roboty. Mam nadzieję, że tym razem już nie spudłuję.

— Ja też na to liczę.

Po powrocie do swego gabinetu oficer milicji przemyślał plan działania. Najpierw porozmawia z żoną Maliszewskiego. Ta rozmowa powinna odbyć się w jej mieszkaniu. Pozwoli to prowadzącemu dochodzenie lepiej poznać charakter człowieka, którego zamordowano szklanką czystej wody.

Mieszkanie Maliszewskich znajdowało się w nowych blokach w pobliżu Ogrodu Saskiego. Major dość długo czekał, zanim wreszcie drzwi się otworzyły.

— Pan do kogo? — zapytała młoda, przystojna kobieta, ubrana w letnią kolorową sukienkę.

Chciałem mówić i panią Henryką Maliszewską.

— Ze mną? W jakiej sprawie? — gospodyni przezornie nie otwierała szerzej drzwi.

— Jeatem z milicji. Oto moja legitymacja.

Młoda kobieta uważnie przyjrzała się dokumentowi i dopiero potem zaprosiła nieoczekiwanego gościa:

— Proszę, niech pan wejdzie.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi. Jeden, ten większy od razu można było okeślić jako pomieszczenie mężczyzny. Stało tu biurko i kilku regałów wypełnionych aż pod sufit książkami. Przeważnie naukowe i techniczne. Poza tym znajdował się tu również stół, mały barek, wygodne fotele i niski tapczan. Na

podłódze duży puszysty dywan. Właśnie do tego pokoju Maliszewska wprowadziła oficera milicji. Drugi pokój miał znacznie mniejszą powierzchnię. Duże lustro i pod nim na toeletce flaszeczki i słoiki z kosmetykami wyjaśniały, że tu rezyduje pani tego domu.

— Słucham pana — gospodyni wskazała gościowi jeden z foteli.

— Chciałbym porozmawiać na temat jej męża. Niedawno zmarłego dyrektora Maliszewskiego.

— W jakim celu? — kobieta nie wydawała się skłonna do zwierzeń.

— Powiem szczerze, ta śmierć jest bardzo zagadkowa.

— Początkowo też tak myślałam, ale lekarze ze szpitala wyjaśnili, że mąż za późno zdecydował cię na operację.

— Pomimo to — major nie chciał wprost podważyć tej opinii — nagły zgon trudno wytłumaczyć wyłącznie tego rodzaju przyczynami. Czy pani małżonek nie miał skłonności samobójczych?

— Nonsens.

— Widzi pani, w sprawie śmierci pana Maliszewskiego wszczęto dochodzenie milicyjne. Na razie błądzimy w ciemnościach. Nie można wykluczyć błędu w przeprowadzeniu operacji, zaniedbań służby szpitalnej po operacji, samobójstwa, a nawet zbrodni. Możemy to wyjaśnić dopiero wtedy, kiedy dowiemy się, jakim człowiekiem był zmarły? Z jakimi ludźmi się kontaktował. czy miał wrogów? Czy był ktoś zainteresowany w usunięciu go z tego świata?

— Przede wszystkim ja — odpowiedziała szczerze piękna pani, a widząc zdumienie malujące się na twarzy oficera milicji szybko dodała — ale naprawdę tego nie zrobiłam.

— My nie twierdzimy, że popełniono zbrodnię. Jednakże nie możemy wykluczyć takiej hipotezy — major ostrożnie dobierał słowa.

— Powiem panu. Dowiedziałby się pan tego i tak, prędzej czy później. Jak pan zauważył, nie noszę żałoby. Nie jestem aż taką hipokrytką, chociaż przez pewien czas, do pogrzebu i po tej niewesołej ceremonii musiałam dostosować się do panujących

konwenansów. Nasze małżeństwo właściwie nie istniało od dość dawna. I chyba nie z mojej winy. Może także nie z winy Olka. Przynajmniej z winy umyślnej. Po prostu był człowiekiem, z którym żadna kobieta nie mogła długo wytrzymać. Podziwiam jego pierwszą żonę. Ta wytrwała przeszło dziesięć lat. Ja niewiele ponad pięć.

— Niezgodność charakterów?

— Raczej nie. Nieporozumienia polegały na czymś innym. To był bardzo dziwny człowiek. Składający się z różnych, zupełnie przeciwstawnych sobie kompleksów. Proszę, niech pan spojrzy — to mówiąc Maliszewska podeszła do biurka, wyjęła ze środkowej szuflady gruby brulion w twardych okładkach i podała gościowi.

Kaczanowski wziął księgę do ręki. Na jej okładce wykaligrafowano równym technicznym pismem „Wydatki domowe 1972 r.“. Major otworzył brulion. Dzień po dniu wyliczone tu były skrupulatnie najdrobniejsze wydatki. Często spotykało się zapis „Heni do wyliczenia” albo „Rozliczenie Heni z dnia..” Na końcu pozycji wydatków każdego dnia figurowała uwaga „Zysk złotych”... lub „Debet złoty ch...”

— Jak pan widzi, majorze, musiałam się wyliczać nawet z sześciu złotych wydanych na kawę lub na zakup pół kilograma jabłek.

— To był wielki pedant. _

— A jednocześnie ten sam człowiek, który dokładnie przestrzegał, ile jednego dnia można wydać na utrzymanie domu, z każdego „debetu” musiałam się gęsto tłumaczyć, bez mrugnięcia okiem potrafił przepuścić w knajpie paręset złotych. Był zazdrosny aż do szaleństwa, ale sam nie stronił od ładnych dziewcząt. Starał się wyrobić sobie wśród znajomych i przyjaciół opinię niebezpiecznego uwodziciela. Ze swoich prawdziwych czy też urojonych sukcesów miłosnych uważał za stosowne zwierzać się przede wszystkim żonie.

— Ciekawe.

— Znakomity fachowiec, ukończone dwa fakultety na politechnice, autor interesujących opracowań, wynalazca, nigdy nie ruszył w domu palcem, choćby dla zreperowania

korków. Zapewniam pana, że życie z takim człowiekiem pod jednym dachem nie należało do łatwych. Nawet dla kobiety tak cierplivej i wyrozumiałej jak ja.

— Rzeczywiście.

— Poza tym był hipochondrykiem. Chorym z urojenia. Nie było choroby, na którą by nie cierpiał. Wystarczyło, żeby o czymś przeczytał w gazecie, już zapadał na to samo. Przez prawie dwa lata zanudzał lekarzy, że ma chorobę Burgera. Później kilka razy wmawiał w siebie różne rodzaje nowotworów. Kiedyś znowu ubrdał sobie, że ma utajoną postać gruźlicy, nie wykrywalnej rentgenem. Lekarz zakładowy w „Maszynoimporcie” chyba przez niego osiwił.

— A na ślepą kizkę dawno chorował?

— Jakiś miesiąc przed śmiercią zaczął skarżyć się na ból w tej okolicy brzucha. Dotychczasowe jego choroby obywaty się bez interwencji chirurga, teraz jednak zanudzał wszystkich opowiadaniem o konieczności pójścia na operację. Długo się wahał kto jest godnym tego zaszczytu, wreszcie wybrał szpital przy Zielnej. Od tej chwili zaczęły się starania, aby go operował najlepszy w szpitalu chirurg i aby chorego otoczono nadzwyczajną opieką.

— Pani mówiła o wydawaniu pieniędzy w knajpach. Dużo zarabiał?

— Zarabiał sporo. Miał przecież dyrektorskie uposażenie w instytucji handlu zagranicznego. Do pensji dochodziły premie i nagrody. Poza tym parę wynalazków i usprawnień, częste wyjazdy zagraniczne, do których przecież się nie dokłada. A co do wydatków, takie były spore. Lubił się dobrze ubrać, bywał tylko w najdroższych lokalach. A kobiety także kosztują. Nawet Don Juan musiał na nie wydawać sporo pieniędzy, a cóż dopiero Maliszewski.

— Miał długi?

— Nie przypuszczam. Nic o nich nie wiem. Natomiast wiem o niewielkich oszczędnościach. Parę książeczek samochodowych, trochę innych pieniędzy. Przy jego wysokich dochodach i mojej niezłej pensji mogłoby tego być znacznie więcej.

— Państwo macie samochód?

— Starego „Wartburga”. Mąż kupił wóz używany i po kraksie. Za grosze. Później go wyremontowała jakaś fabryka, trochę po kumotersku.

— Rozumiem. Zakład, któremu zależało na imporcie jakiejś maszyny.

— Możliwe — zgodziła się pani domu.

— Pani wspominała o tym, że wasze małżeństwo rozpadło się. Dlaczego więc nie rozwiedliście się?

— Przed trzema laty Olek „oszalał” dla jakiejś babki. Zażądał rozwodu. Wiedziałam, że mu to przejdzie. Jeszcze się łudziłam, że uda się nasze małżeństwo uratować. Wtedy zapowiedziałam kategorycznie, że na rozwód się nie zgodzę. Ostatnio ja byłam skłonna się rozejść, wtedy Olek. przypuszczam, że przez przekorę, sprzeciwił się temu.

— Zdecydowała się pani na rozejście dlatego, że straciła pani nadzieję na trwanie tego związku czy też był jakiś konkretny powód?

Młoda kobieta nieco się zmieszala.

— Przede wszystkim straciłam nadzieję. Liczyłam również, że konkretny powód też się znajdzie.

— Pan Maliszewski miał dużo przyjaciół? Prowadziliście państwo życie towarzyskie?

— Ostatnio nie. Olek miał dużo znajomych. Choćby z tytułu swojej pracy znał masę ludzi. Co do przyjaciół, to raczej mogłabym mówić najwyżej o dwu, trzech osobach. On wołał przyjaciółki.

— A ci przyjaciele?

— Redaktor Zameczek, kolega z lat szkolnych, dyrektor Kowalewski, który go zresztą przed laty ściągnął do Warszawy, do „Maszynoimportu” i który teraz okazał mi wiele serca i bardzo mi pomógł w załatwianiu formalności pogrzebowych. Poza tym mecenas Dukla z Krakowa. Razem jeździli w góry i za granicę... Prócz ujemnych stron charakteru Olek miał zalety. Słowność, punktualność. Zawsze był gotów pomóc znajomym. Przyjacielowi odstąpiłby ostatnią koszulę. Muszę mu oddać sprawiedliwość i nie chciałabym, aby pan wyszedł stąd pod wrażeniem, że potrafię jedynie oczerniać mojego zmarłego

męża. Był też aż do przesady uczciwym.

— Każdy człowiek jest mieszaniną wad i zalet

— Olek miał jedno i drugie w nadmiernych ilościach. Stanowczo za dużo jak na jednego człowieka.

— A wrogowie?

— Chyba ich nie miał. Przynajmniej jakichś groźnych. Naturalnie na takim stanowisku trudno nie narazić się temu czy owemu.

— Czy mąż nigdy nie wspominał o tym, że ktoś chce go zabić?

— On miewał różne urojenia. Przed rokiem, nie, dawniej, bo w listopadzie ubiegłego roku doszło do pewnego incydentu. Tu, w tym mieszkaniu. Dlatego o tym wiem, że byłam obecna... Ale czy to ma znaczenie?

— Jednak proszę, niech pani opowie.

— Olek wtedy interesował się pewną panią, zresztą pracującą w instytucji mającej stałe kontakty z „Maszynoimportem” Olek stale musiał się kimś „interesować”. Przyznaję, babeczka ładna i sympatyczna. Nie przypuszczam, żeby swojego nowego wielbiciela traktowała zbyt poważnie, ponieważ знаła go dość dobrze. Jednakże przyjmowała jego zaloty. Bywała z nim w kawiarniach i restauracjach. Mąż dość krewki z usposobienia nie zamierzał tego tolerować. Jakie tam były małżeńskie rozmowy? Nie wiem. Plotka głosiła, że nie obeszło się bez rękoczynów, po których piękna żona miała ponoć wielkiego siniaka pod okiem. Dość, że pewnego popołudnia usłyszałam dzwonek przy drzwiach, a kiedy otworzyłam zobaczyłam na progu mieszkania właśnie tego pana. Nie pytając mnie o pozwolenie, ani nie zdejmując płaszcza, wszedł do tego pokoju. Mąż siedział przy biurku i odrabiał codzienną „arytmetykę domową”. Przybysz podszedł do biurka i powiedział: „Ty łajdaku, uprzedzam cię, jak jeszcze raz zobaczę ciebie z moją żoną zabiję jak psa”.

— Co było dalej? Pobili się?

— Nie. Facet odwrócił się i wyszedł z mieszkania. Nigdy w życiu nie widziałam Olka z tak głupią miną.

— Jak się to skończyło?

— Olek potem sporo opowiadał, że nie boi się ani jego, ani

jego pogroźek, ale spasował. Przestał nadskakiwać tej pani. Przewornie zajął się kimś mniej niebezpiecznym. W gruncie rzeczy, odwagą to on nigdy nie grzeszył, z wyjątkiem spraw służbowo- finansowych. Pod tym względem był nieugięty. Dwie poprzednie posady zmienił jedynie z powodu, że przeciwstawiał się jakimś, jego zdaniem, niepotrzebnym i kosztownym reorganizacjom. Wyrobiono mu wtedy opinię „dobrego fachowca, ale rozrabiacza”. Gdyby nie pomoc Kowalewskiego, trudno by mu było znaleźć tak dobrą posadę.

– Pani zna nazwisko tego zazdrosnego męża?

– Inżynier Senowtacz. Na imię chyba Michał. Pracuje w Centrali Inwestycyjnej. Gdzie mieszka, nie wiem.

– Dziękuję, to wystarczy – oficer milicji zanotował sobie otrzymaną wiadomość.

– Nie przypuszczam, aby ten incydent miał jakiegokolwiek znaczenie.

– Pani mąż często wyjeżdżał za granicę?

– Często. Przynajmniej raz na kwartał. Głównie do państw kapitalistycznych. Był ekspertem do spraw zakupu maszyn.

– Z tych podróży przywoził wiele prezentów?

– Coś niecoś przywoził. Jestem przekonana, że nie tylko dla mnie. Mąż w ogóle lubił dawać prezenty. Znacznie bardziej lubił dawać niż brać.

– A do czego to mogło mu służyć? – oficer milicji podał Henryce Maliszewskiej safianowy futerałik.

– Chyba do pilniczka do paznokci albo do małego scyzoryka. Ale tego przedmiotu nigdy nie widziałam u Olka. Zawsze nosił ze sobą wieloostrzowy scyzoryk polskiej produkcji. Kupił go na Nowym Świecie, przed paru laty. Może to nie jego?

– A ten napis?

– „LYNNDA”? Nigdy się nie zetknęłam z taką firmą. Może jakieś kosmetyki zagraniczne? Nie, takiego napisu nie widziałam na drobiazgach przywożonych przez męża.

– To zapewne jakaś reklamówka, którymi firmy zagraniczne szczerze obdarowują swoich kontrahentów. Istnieje cały przemysł upominkowy. Różne ołówki, kalendarzyki, scyzoryki, pióra wieczne, teczki, torby podróżne. To wszystko, opatrzone

nazwą danej firmy, służy do jej reklamy.

— Olek nie przyjmował takich prezentów i nigdy ich nie przywoził. Jego przesadna uczciwość zabraniała mu gromadzenia nawet takich drobiazgów. Proszę niech pan spojrzy na jego biurko. Pełno tam różnych ołówków i długopisów. Ani jeden nie jest reklamówką. Wszystkie kupił albo w kraju, albo za granicą. Miał wiele wad, ale był kryształowo uczciwy. To u niego najczęściej ceniono. W wielu bardzo poważnych transakcjach, gdzie chodziło o milionowe sumy, jego opinia rozstrzygała. Miano zaufanie, że za jego oceną nie kryje się żadna machlojka.

— Jeszcze jedno pytanie. czy pani telefonowała do szpitala w dniu operacji męża tak pomiędzy godziną szóstą a siódmą wieczorem?

Maliszewska zdziwiła się.

— Po cóż miałabym dzwonić? Dyrektor szpitala był tak uprzejmy, że zatelefonował do mnie, do biura, około godziny dwunastej. Zawiadomił, że operacja się udała, chory już się obudził z narkozy i czuje się doskonale. To mi wystarczyło i tak wiedziałam, że Olkowi nic nie jest. Kiedy się dowiedziałam o jego śmierci, nie mogłam w to uwierzyć. Zupełnie nieprawdopodobne.

— Dlatego właśnie nie możemy wykluczyć, że mamy do czynienia ze zbrodnią

— Pan naprawdę tak sądzi?

— Czy po tej awanturze z inżynierem Senowiczem mąż nie obawiał się zamachu na swoje życie?

— Nie. Bo przestał się widywać z tą panią. Natomiast ostatnio, przed mniej więcej dwoma miesiącami przed śmiercią Olek dostał manii prześladowczej. Najpierw wymyślił historię z otruciem go.

— A to nieprawda?

— Zwykła histeria. On stale połykał ogromne ilości leków. Nie rozumiem jak to mogło mu nie zaszkodzić. W tym czasie właśnie „zachorował” na anemię. Brał różne medykamenty na wzmocnienie. Tak już sterroryzował lekarza zakładowego, że ten dla świętego spokoju przepisywał mu wszystko z wyjątkiem

narkotyków i leków psychotropowych. Między innymi jakiś środek z dodatkiem arszeniku.

Pewnego dnia, kiedy Olek najpewniej za dużo zażył, wystąpiły objawy zatrucia arszenikiem. Wtedy od razu ułożył sobie historyjkę, że usiłowano zgładzić go w ten podstępny sposób.

— Czy wymieniał, kto czyha na jego życie?

— Mówił, że mordercy są na pewno nasłani z zagranicy, bo on nie dopuścił, aby firma uniknęła

straty na kupnie jakichś przestarzałych maszyn.

— A nie wymienił wtedy nazwy tych maszyn? Może właśnie „LYNNDA”?

— Nie, nic takiego nie powiedział. Był zresztą na mnie śmiertelnie obrażony, bo powiedziałam co myślę o jego nadmiernym przewrażliwieniu. Skończyło się znowu na dyskusji o rozwodzie i większej kłótni. Czy można pana poczęstować kawą? — Maliszewska nagle przypomniała sobie o obowiązkach uprzejmej pani domu — albo kieliszkiem wermutu z kostką lodu?

— Bardzo dziękuję, ale właściwie kończymy naszą rozmowę. Czy ten zamach nie powtórzył się później?

— Jeśli chodzi o otrucie, to nie. Olek stał się potem aż do przesady ostrożny. Założył w drzwiach dodatkowy zamek i łańcuch. Poleciał, aby drzwi były zamknięte na łańcuch. Poza tym jadał tylko w restauracjach, do których miał bezwzględne zaufanie. W pracy przestał pić kawę i herbatę. Chyba że sam sobie zaparzył.

— A jeśli chodzi o inny rodzaj zamachu?

— Uroił sobie coś nowego. Pewnego wieczoru, jakieś dwa tygodnie przed śmiercią, wrócił do domu dość późno, jak to się często zdarzało, błąd i tak zdenerwowany, że słowa nie mógł początkowo wymówić. Kiedy wreszcie opanował się, wyjaśnił, iż przed chwilą chciano go zabić tuż przy naszym domu. Że cudem ocalał dzięki szybkiemu refleksowi.

— Czy nie powiedział, że chciano na niego najechać samochodem? Taksówką bagażową, kiedy przechodził na drugą stronę ulicy?

— Skąd pan wie? Czy Olek meldował o tym milicji?

— Nie wspominał, że kierowca tej taksówki miał brodę i wąsy? Maliszewska nie ukrywała zaskoczenia tym pytaniem.

— Rzeczywiście! Olek mówił, że udało mu się w ostatnim momencie uskoczyć spod kół nadjeżdżającego samochodu. Zdążył spostrzec kierowcę w czapce nasuniętej na oczy i z brodą. Nawet twierdził, że to na pewno był Senowicz, bo on nosi brodę. O wąsach nic nie wspominał.

Człowiek, którego dzielą centymetry od pędzącego auta nie jest skłonny do zastanawiania się, czy kierowca nosi wąsy. I tak pani mąż zdołał bardzo dużo zauważyć. Miał wtedy chłop szczęście.

— Czy chciał pan zaakcentować, że później nie miał szczęścia?

— Kto wie? Nie mogę w tej chwili na to odpowiedzieć.

— Trudno mi uwierzyć nawet teraz, kiedy Olek nie żyje, że nie umarł śmiercią naturalną.

— Muszę pani zadać jeszcze jedno brutalne pytanie. Mówiąc o rozwodzie, nie zaprzeczała pani, że istniał z jej strony konkretny powód do takiego kroku. Pan Maliszewski nie chciał dać zgody na rozwód. A więc ten „konkretny powód” był także zainteresowany w śmierci jej męża?

Pani Henryka wybuchnęła śmiechem.

— Nie te czasy, majorze, kiedy kochankowie mordują mężów nie zgadzających się na rozwód. Zresztą ten „konkretny” powód nie jest moim kochankiem. Niestety. To cichy wielbiciel. Mogę się tylko domyślać, że nie jestem mu obojętna. Sama się dziwię, że jeszcze istnieją tacy. To zapewne ostatni Mohikanin. Zresztą ma alibi. W tym czasie przebywał w Moskwie na jakiejś konferencji RWPG. Chciałam się rozwieść, bo myślałam, że w ten sposób pan rozumie? Naturalnie, jeżeli pan major sobie życzy, podam jego nazwisko... Prosiłabym jednak o dyskrecję.

— Wierze pani na słowo. I bardzo dziękuję za wszystkie informacje, a zwłaszcza za szczerą rozmowę. Gdyby pani przypomniała sobie coś ponadto, choćby jakąś uwagę męża na temat zamachów na niego, proszę się ze mną skomunikować. Oto numer mojego telefonu.

— Dziękuję. Przyrzekam to panu.

ROZDZIAŁ 11

Człowiek bez alibi

— No widzisz — ucieszył się pułkownik Niemiroch, kiedy major Kaczanowski powtórzył mu rozmowę z Henryką Maliszewską — nareszcie wiemy coś więcej o tym człowieku. O jego zaletach i słabostkach. Ten wywiad trzeba jeszcze uzupełnić, aby portret zmarłego narysowany był bardziej żywymi barwami. Nie przez jedną malarzkę.

— Polecilem moim ludziom zebrać wiadomości z miejsca pracy Maliszewskiego i wydobyć coś od osób, z którymi się on stykał. Zwłaszcza od kolejnych jego sympatii. Może one znają więcej szczegółów o tych zamachach, które żona przypisywała urojeniom. Ta próba z taksówką bagażową wydaje się prawdziwa. Tak samo zginęła później Rafalska.

— Przestępca nauczył się lepiej jeździć. Za drugim razem już mu się udało trafić w cel. Tylko pierwszy raz spudłował.

— W jakichś morderców nasłanych z zagranicy nie wierzę.

— Ja również — przyznał major — chociaż Maliszewska podała logiczny powód. Opinia dyrektora utraciła podobno poważną transakcją importową.

— Jeżeli utraciła, to śmierć rzeczoznawcy nie zmieniła sytuacji. Jest powiedzenie, że w handlu gniewów nie ma. Jeżeli nie uda się sprzedać towaru w jednym miejscu, sprzedaje się go gdzie indziej, a nie mści na kupcu, który zrezygnował z transakcji.

— To jest reguła — zgodził się Adam Niemiroch — ale w każdej regule są wyjątki. Może Maliszewski tak komuś nastąpił na odcisk, że postanowiono mu za to zapłacić? Choćby dlatego, aby w przyszłości nie szkodził. Teoretycznie takie rozumowanie jest logiczne, ale prawdę mówiąc nie odpowiada mi ta hipoteza. Niemniej musimy ją sprawdzić. To obowiązek dochodzenia.

— Pójdę tym tropem, a także i tym drugim, inżyniera Senowicza.

— Zazdrosny mąż mordujący wielbiciela żony?

Mało prawdopodobne.

— Jednak groził mu śmiercią. Nie możemy zlekceważyć słów Maliszewskiej. Nie jest zainteresowana w utrudnianiu dochodzenia i kierowania go na fałszywe tory. Wierzę, że taka rozmowa rzeczywiście się odbyła.

Gdyby Maliszewskiego znaleziono z nożem w piersi lub z rozwaloną głową, moglibyśmy podejrzewać o taki czyn człowieka, który oszalał z zazdrości i zdobył się na niepoczytalny wybryk, ale morderstwo Maliszewskiego, jeżeli to naprawdę była zbrodnia, uplanowane zostało zupełnie na zimno i zrealizowane z premedytacją. Nie, na to zazdrośni mężowie raczej się nie zdobywają. Działają pod wpływem impulsu, nagle.

— A jednak...

— Wiem. Trzeba i tę sprawę zbadać. Z całą starannością.

— Muszę skorzystać z pomocy jakiejś sprytniej wywiadowczynie, która obejrzy żonę Senowicza i zbierze o niej informacje — powiedział major. Chciałbym bowiem zacząć nie od inżyniera, lecz od niej, a zwłaszcza ustalić, czy ta kobieta ostatnio widywała się z Maliszewskim.

— Najlepiej wywiáže się z tego Basia.

Świetnie — ucieszył się Kaczanowski — pod pozorem jakiegoś pretekstu pójdzie do Biura Zbytu Maszynami Młyńskimi, gdzie Senowiczowa pracuje. Zobaczy jak ona wygląda, a przy okazji może Basi uda się nawiązać mały flircik z którymś z urzędników i na randce wyciągnie od niego ploteczki. Na pewno ta historia jest w tym biurze powszechnie znana.

— Widzę Janusz, że do tej sprawy zabierasz mi coraz więcej ludzi. Nie zadowolasz się wywiadowcami, ale zabierasz mi i żeński personel. Zapominasz, że teraz sezon urlopowy.

— Nie przypominam sobie, abym błagał ciebie o powierzenie mi tego dochodzenia. Sam chciałeś, więc teraz cierp pułkownika.

Za parę dni podporucznik Barbara Maleta zdawała Kaczanowskiemu relację.

To ładna babka, nosi się na rudo, chociaż niepotrzebnie każe sobie tapirować włosy. To już dawno wyszło z mody. Może robi

to dlatego, że jak na swoją wagę jest ciut przymała. W ten sposób dodaje sobie z pięć centymetrów wzrostu — funkcjonariuszka milicji nie byłaby kobietą, gdyby nie zajęła się przede wszystkim takimi detalami osoby inwigilowanej.

— Jest tęga?

— To może za mocno powiedziane. Chuda nie jest. Nazwałabym ją pulchną. Moim zdaniem powinna schudnąć ze trzy kilogramy.

Major westchnął. Jemu raczej przydałyby się te trzy kilogramy. Jak to los niesprawiedliwie dzieli pewne dobra ziemskie pomiędzy ludzi.

— Byłam w tym biurze trzy razy. Dobrze przyjrzałam się Senowiczowej. A poza tym, umówiłam się z dwoma miłymi chłopcami z tej instytucji. Trochę mi o niej opowiedzieli.

— Aż z dwoma? Oj, pani Basiu, będąc musiał znowu ostrzec kapitana.

— Marian zawsze twierdzi, że dwaj nie są groźni. Gorzej byłoby, żeby jeden i to stale. Jestem lojalną żoną i kiedy spełniam obowiązki służbowe, zawsze umawiam się przynajmniej z dwoma. Z tego co wywnioskowałam z rozmów z nimi, to tak się przedstawia: młoda, ładna babka. Wesoła, lubi się zabawić. Mąż bardzo przyzwoity facet, ale w typie naukowca i domatora. Trochę nudny, za to bardzo zazdrosny. Najchętniej żony by nigdzie nie wypuszczał.

— Mają dzieci?

— Jedną córkę. Dziesięcioletnią. Senowiczowa styka się w biurze z wielu klientami. Wiadomo, każdy zaopatrzeniowiec, przyjeżdżający do Warszawy w sprawach swojego zakładu, stara się nawiązać jak najlepsze stosunki z pracownikami instytucji, od której chce coś wydebić. A Senowiczowa robi oko do każdego. Nie brakuje więc amatorów do podrywania przystojnej i do tego „wpływowej” kobietki, do umówienia się z nią na popołudnie lub wieczór.

Nie wiem, jak daleko inżynierowa posuwa się w tych flircikach. W biurze panuje opinia, że daleko.

— Taka „biurowa Messalina”?

— Przynajmniej taką marką sobie wyrobiła i zdaje się, że jest

z niej dumna. Przypuszczam jednak, że dużo w tym przesady, a może w ogóle nie ma prawdy? Pani Anna (bo tak ma na imię) jest pomimo wszystko mądrą kobietą i wie, że raczej należy trzymać się męża a nie puszczać na fale niepewnej przygody

— O awanturze z Maliszewskim wiedzą w biurze?

— Oczywiście! Ona sama opowiedziała koleżankom i kolegom z najdrobniejszymi szczegółami, jak to Maliszewski chciał ze strachu włączyć pod biurko. Zresztą krewki inżynier urzędują takie numery każdemu, kto się więcej niż raz umówi z jego żoną. Jest z tego znany.

— Maliszewski często bywał w Biurze Zbytu Maszyn Młyńskich?

— To raczej oni bywają w „Maszynoimporcie” Sprzedają wiele maszyn importowanych z zagranicy, właśnie przez „Maszynoimport”. Przez ręce Maliszewskiego, jako dyrektora technicznego tej instytucji przechodziło każde zamówienie. Znając słabość Maliszewskiego do płci pięknej, specjalnie podesłali mu przystojną babkę. Rybka chwyciła przynętę, zaś pani Ance trudno było wykręcać się od pozasłużbowych spotkań z dyrektorem. Odmowa szkodziłaby firmie. Zresztą na pewno, na tyle ją poznałam, nie robiłaby tego pod przymusem. Uważała że taka zabawa, poparta prezentem z zagranicy, jest przyjemna. Maliszewski uchodził za człowieka z gestem.

— Była jego kochanką?

— Wątpię. Tak daleko chyba się nie posunęła. Ale stwarzała pozory, co zresztą Maliszewskiego musiało satysfakcjonować. W opinii kolegów zaliczył sobie następną przystojną kobietę. W dodatku mężatkę, co na rynku męskiej próżności punktuje się podwójnie. Awanturę męża z dyrektorem pani Anka także dopisała do listy swoich sukcesów.

— Kupa wariatów.

— Tak już ten świat jest urządony. Major za dużo siedział w swoim gabinecie. Przydałoby się panu, aby tak jak ja oglądał ludzi nie przez pryzmat ich zeznań, ale chodząc za nimi krok w krok i obserwując ich na każdym miejscu. Wtedy by się pan niczemu nie dziwił. Typowe oderwanie się „góry” od społeczeństwa.

W odpowiedzi na tę reprimendę Kaczanowski pocałował rączkę przystojnego podporucznika MO.

Tego samego dnia o godzinie wpół do czwartej oboje stali przed gmachem — gdzie się mieściło Biuro Zbytu Maszyn Młyńskich. Właśnie urzędnicy wychodzili po skończonej pracy. Tradycyjnym zwyczajem panującym w Polsce mężczyźni mieli w rękach teczek. Przeważnie puste. Ale urzędnik bez teczek to jak koń bez ogona.

— O, ta ruda! Basia trąciła łokciem swojego towarzysza. — Wsiądzie do autobusu i wysiądzie z niego na Nowym Świecie przy Świętokrzyskiej. Mieszka na Ordynackiej. No, to ja już spływam. Powodzenia.

Major ruszył za rudą pięknoską. Przyglądał się idącej przed nim kobiecie. Noga w porządku. Może zbyt krótka, co u Polek często się zdarza. Figura niezgorsza, ale rzeczywiście przydałoby się zrzucić nie trzy a cztery kilogramy. Uczesanie stanowczo za wysokie. „Jak ona śpi” — zastanawiał się oficer milicji — chyba nie jak Japonki na drewnianym wałku. Wsiedli razem do autobusu.

Pani Senowiczowa, jak to przewidywał podporucznik Maleta, wysiadła na Nowym Świecie. Jednakże wbrew oczekiwaniom, nie skierowała się w stronę Ordynackiej, ale na rogu Świętokrzyskiej przeszła na drugą stronę ulicy. Na pewno chciała załatwić jakieś sprawunki w „Delikatesach” lub w sąsiednim sklepie mięsnym. Oficer milicji zrównał się z tą kobietą.

— Pani Senowiczowa? — zagadnął.

Rudowłosa zwołniała kroku i obrzuciła Kaczanowskiego uważnym spojrzeniem.

— Pan się omylił w adresie. Mnie się nie podrywa nu ulicy — powiedziała obrażonym tonem i zaraz dodała wbrew wszelkiej logice — zauważyłam, że pan szedł za mną od wyjścia z biura i jechał tym samym autobusem. Czy to ładnie tak napastować nieznaną kobietę? Wstydziłby się pan.

— Może bym się i wstydził, gdybym nie musiał tego zrobić urzędowo. Jestem oficerem milicji. Chciałbym z panią porozmawiać. Może wejdziemy tu obok, do kawiarni „Nowy

Świat”? Jeśli pani sobie życzy, pokaże swoją legitymacją.

— Milicja do mnie — zdziwiła się Senowiczowa, ale bez sprzeciwu podążyła do popularnej warszawskiej kawiarni. Zajęli miejsce przy stoliku pod oknem. O tej porze było tu prawie pusto. Major podał swoją legitymację. Przeczytała ją uważnie.

— No wie pan? — powiedziała. — Do tej pory myślałam że to kawał. Czego ode mnie chcecie? Nigdy nie miałam do czynienia z milicją ani nigdy nie popełniłam żadnego przestępstwa. Nawet przez ulicą przechodzą zawsze na skrzyżowaniu.

Podeszła kelnerka. Major zamówił dwa razy lody

— Chciałbym z nią pomówić o dyrektorze Maliszewskim. Znała go pani?

— Naturalnie. Moje biuro utrzymuje stałe kontakty z „Maszynoimportem”.

— Pani wie, że Maliszewski nie żyje?

— Wszyscy byliśmy wstrząśnięci tym nagłym i niespodziewanym zgonem — pani Anka wypowiedziała te słowa bez najmniejszego akcentu żalu. — Nieudana operacja. Jeszcze jedna ofiara lekarzy. Nie pierwsza i nie ostatnia.

— Pani często widywała się z dyrektorem Maliszewskim?

— Czasami chodziłam do „Maszynoimportu”. Parę razy spotkaliśmy się w kawiarni. — Senowiczowa widząc, że rozmowa schodzi na niebezpieczne tory ważyła każde słowo. — Jak to często bywa w stosunkach biurowo - koleżeńskich.

— Rozumiem — przytaknął oficer milicji a ostatnio często się widywaliście?

— Ostatnio prawie wcale. Były pewne powody, dla których wolałam się nie spotykać z Maliszewskim.

— Czyżby stawał się zbyt natarczywy?

— Właśnie.

— Mogę tylko podziwiać jego gust. Trudno zachować olimpijski spokój przy pięknej kobiecie.

— Wy wszyscy Jesteście jednakowi — na gruncie flirtu rudowłosa czuła się znacznie pewniej — zaczyna się od prawienia kobiecie pięknych słówek...

— A wy tak tego nie lubicie!

Senowiczowa roześmiała się.

— Wracajmy jednak do Maliszewskiego. Kiedy pani go widziała ostatni raz?

— Jakies dwa tygodnie przed jego śmiercią.

U niego w „Maszynoimporcie”?

— Nie. Zatelefonował do mnie i umówiliśmy się na mieście.

— Wolno wiedzieć o czym rozmawialiście?

— Nic ważnego. Po prostu chciał się ze mną zobaczyć. Plótł głupstwa, że się za mną stęsknił. Och, żeby ci mężczyźni dali mi wreszcie spokój.

— A może Maliszewski mówił — podpowiedział major — że ktoś go chciał zabić? Usiłował na niego najechać samochodem. Ściślej mówiąc, taksówką bagażową.

— Wspomniał o tym. Skąd pan wie? — Senowiczowa nie kryła swojego zdumienia.

— Twierdził też, że zamachowcem był pani mąż. Inżynier Michał Senowicz.

— Ubrdał sobie, że poznał Michała siedzącego za kierownicą. Musiałam go długo przekonywać, że Miś nie byłby zdolny nawet muchy zabić i że tego dnia siedzieliśmy wieczorem w domu. Mieliśmy gości. Była u nas moja kuzynka z mężem.

— To prawda?

— Mogę na to przysiąc. Siedzieliśmy chyba do wpół do jedenastej.

— Maliszewski był bardzo niespokojny?

— Tak zdenerwowanego nigdy go nie widziałam. Ten człowiek dostał manii prześladowczej. Kiedy go uspokoiliam, że Miś wcale nie czyha na jego życie i ma alibi, zaczął mi coś pleść o nasłanych na niego mordercach z zagranicy. Opowiadał, że już raz chciano go pozbawić życia. Na spotkaniu z cudzoziemcami dano mu herbatę z arsenikiem. Tylko dlatego nie umarł, że przypadkowo brał wtedy lekarstwo, zawierające arsenik i był uodporniony na tę truciznę.

— Czy mówił, gdzie tak chciano go otruć?

— Zdaje się, że wymieniał „Grand Hotel”. Był tam w pokoju jakiegoś cudzoziemca i pili herbatę. W dwie czy trzy godziny potem zachorował. Nie pamiętam szczegółów, bo zdenerwował

mnie tym głupim posądzeniem.

— Może to nie takie głupie?

— To fantazja!

— Pani mąż groził Maliszewskiemu śmiercią. Powiedział dosłownie „zabiję jak psa”.

— Gdyby Michał realizował wszystkie swoje groźby, w Polsce żyłoby znacznie mniej mężczyzn niż wskazują statystyki — Senowiczowa wcale nie przejęła się słowami oficera milicji. — Mam bardzo miłego męża i bardzo go kocham, lecz z niego nieznośny zazdrośnik. Boję się, że gdyby przestał być zazdrosnym, przestałby mnie w ogóle kochać, więc czasami nawet podsycam to uczucie. Komu i czym on już nie groził? Potem zawsze mnie przeproszał.

— Dobrze pani z tym?

— Mężczyzna musi być zazdrosny o swoją kobietę.

— Oryginalna teoria. Na wsi powiadają, że mąż nie kocha żony, skoro jej nie bije.

— W tym także może być trochę prawdy — zgodziła się Senowiczowa.

— Wtedy, w tygodniu, kiedy u was była kuzynka z mężem — major strzelił na ślepo — inżynier Senowicz odprowadził gości.

— Pan wie wszystko — powiedziała Senowiczowa. — Miś skarżył się na ból głowy, a wieczór był tak ładny i ciepły.

— Mąż był operowany na ślepą kiszkę. Kiedy?

— Przed dwoma laty. W zimie.

W jakim szpitalu?

— Na Zielnej. Sam Niekwasz operował wtedy Michała.

— Dyrektora Maliszewskiego także operował Niekwasz.

— Żeby taki sławny chirurg mógł tak sknocić prosty zabieg.

— Sądzę, że Niekwasz nie sknocił tej operacji.

— Tylko kto?

— Nikt. Mamy wszelkie podstawy do przypuszczenia, że Maliszewskiego zamordowano.

— Przecież nikt go nie przejechał. Umarł w Szpitalu. Podobno zaraz po operacji.

— Przejechano kogoś innego.

— Nic nie rozumiem.

Proszę pani — przyznał szczerze major — my także niewiele rozumiemy. Między innymi dlatego właśnie rozmawiam z panią.

Więc jednak podejrzenia Maliszewskiego miały realne podstawy?

— Tak by wynikało choćby z faktu, że ten człowiek nie żyje i umarł w co najmniej dziwnych okolicznościach.

— To straszne... A u nas wystarczy pokazać się z kimś dwa, trzy razy, aby zaraz posądzono kobietę o to, że śpi z tym facetem. Ale ja lubiłam Olka. To był bardzo miły, mądry mężczyzna. Poza tym doskonały fachowiec. Nie było dziedziny z budowy maszyn, na której by się nie znał.

— Jaki państwo mają samochód? — oficer zmienił temat.

— Na razie „Trabant” całkowicie zadowala nasze ambicje. Byliśmy nim nawet w Bułgarii. W ubiegłym roku.

— A gdzie macie garaż?

— A po co? Po prostu trzymamy go „pod chnfiur- ką”. Tuż koło nas, przy ulicy Kopernika jest wygodny parking.

— Żałuję bardzo — major chciał już zakończyć tę rozmowę — że spotkałem się z panią urzędowo. Może innym razem?...

Anka Senowiczowa obdarzyła oficera promiennym uśmiechem.

— Nie szkodzi. To było interesujące. Pasjonuję się kryminalistyką. Przy naszym następnym spotkaniu — rudowłosa uważała to za pewnik — opowie mi pan o waszej pracy. To musi być coś wspaniałego. Więc czekam na telefon. Mój zazdrośnik znowu mi zrobi wymówki, że nie przyszedłam do domu prosto z biura. Dopiero się zdziwi jak mu o wszystkim opowiem.

„Czy naprawdę się zdziwi”? — pomyślał Kaczanowski.

— Nie wiem, czy nie robisz błędu — zauważył pułkownik Niemiroch, kiedy nazajutrz major składał mu sprawozdanie z rozmowy z Senowiczową — że grasz z ludźmi w otwarte karty? Tej rudej powiedziałaś o całej sprawie i wyraźnie dałaś do zrozumienia, że podejrzewasz jej męża. Ona na pewno powtórzy

inżynierowi każde słówko. Nawet to, że wypytywałeś o ich samochód...

— O to mi chodziło. Wprawdzie wycisnąłem z Senowiczowej wiadomość, że jej mąż nie ma pewnego alibi na ten wieczór kiedy zdarzył się pierwszy zamach samochodowy, ale to jeszcze nie żaden dowód. Słaba poszlaka. Tysiące ludzi nie będzie mogło wykazać się takim alibi, a przecież ich wszystkich nie możemy podejrzewać o zamach na życie Maliszewskiego. Jestem przekonany, że w tej sprawie będziemy mogli udowodnić winę przestępcy jedynie wówczas kiedy on popełni jakiś błąd. Bez tego nie ruszymy dochodzenia. Dlatego staram się sprowokować ten błąd.

— A jeżeli facet po prostu drapnie?

— Daleko nie ucieknie.

— Może nawet do Berlina, albo jeszcze dalej.

— Zawsze go złapiemy, to będzie punkt dla nas.

— Niekoniecznie. Mało to ludzi o czystym sumieniu woli się schować i przeczekać na uboczu burzę, zamiast mieć do czynienia z milicją lub prokuratorem? Świadców po kilka razy wzywa się do sądu. Nakłada się na nich grzywnę. Płacą ją i — nie przychodzą.

— Nie przypuszczam zresztą — dorzucił major — żeby Senowicz próbował zwać.

— Dlaczego?

— Nie zostawi żony samej. Na to jest zbyt zazdrosny — Wcale mu się nie dziwię — roześmiał się Kaczanowski na wspomnienie spotkania z rudowłosą pięknoscią — Nie ma dymu bez ognia.

— Zebrałeś opinie o tym Senowiczu?

— Zebrałem. Niewiele tego jest. Z wykształcenia inżynier chemik. Ma niezłą posiadłość w Centrali Inwestycyjnej. Do orła mu daleko. Można go śmiało sadzać przy otwartym oknie, nie wyfrunie. Ale są gorsi od niego. Jakichś spraw damsko - męskich nie stwierdzono. Domator dużo zajmuje się córką. Jedną okoliczność która może być poszlaką. Stosunkowo niedawno operowany na ślepą kiszkę.

— Twoi lekarze zabiliby ciebie za używanie takiego

określenia.

— Znam i fachowy termin „resectio radicalis appendicitos” ale ta nieoficjalna nazwa jest dla każdego zrozumiała. Wiem przecież, do kogo mówię.

— Dziękuję.

— Senowicz leżał w szpitalu przy Zielnej. Jak mi powiedziała jego żona operował go także Niekwasz. A więc inżynier dobrze zna teren szpitalny, wie, że tam na piętrze przy schodach jest bezpośredni miejski telefon do którego nieraz wzywają zarówno chorych jak i pielęgniarki. Mógł wiedzieć z własnej praktyki, dlaczego po zabiegu nie pozwala się pacjentowi pić i jakie skutki wywołuje złamanie tego zakazu

— Bardzo słabe są te poszlaki.

— Ale nakładają się na siebie. Ze słabiotkich włókienek można upleść mocny sznur.

— Na którym chciałbyś powiesić Senowicza?

— Tak. Jeżeli jest sprawcą dwóch morderstw.

— Tego mu trzeba najpierw dowieść.

— Następną poszlaką. Senowiczowie mieszkają przy Ordynackiej. Parkują swój samochód przy Kopernika. Tam gdzie zazwyczaj stoi taksówka bagażowa, którą została zabita pielęgniarka Elżbieta Rafalska

— Na tym parkingu stoi nieraz ponad pięćdziesiąt wozów.

— To racja. Ale ten fakt, to także jeszcze jedno małe włókienko do mojego sznura. Zbieram te włókienka wszędzie, gdzie je tylko można znaleźć.

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Pułkownik Niemirow podniósł słuchawkę. Po chwili ją odłożył i zwrócił się do majora.

— Telefon z dołu. Szukali ciebie w twoim pokoju i w innych, aż wreszcie znaleźli u mnie. Do dyżurnego zgłosił się Michał Senowicz i chciałby rozmawiać z majorem Kaczanowskim.

ROZDZIAŁ 12

Najchętniej bym go zamknął

- Słucham pana?
- Nazywam się Michał Senowicz. Adres: Ordynacka 58.
- Tak, wiem.
- Pan chciał się ze mną widzieć.
- Gdybym chciał otrzymałby pan wezwanie do stawienia się w Komendzie.
- Pan zaczepił na ulicy moją żonę.
- To była taka półprywatna rozmowa. Pan ma bardzo miłą żonę - major najwyraźniej chciał zdenerwować swojego rozmówcę.
- Chyba nie dlatego pan z nią rozmawiał, że jest miła.
- Jest także przystojna. Kiedy siedzieliśmy w kawiarni, wszyscy się na nią patrzyli.
- A ona na pewno była z tego zadowolona.
- Każdej kobiecie sprawia przyjemność, że jest obiektem męskich spojrzeń. Nie zauważyłem, aby pani Ance sprawiało to specjalną przykrość.
- Senowicz zgrzytnął zębami.
- Nie przyszedłem tutaj, aby rozmawiać z panem o mojej żonie.
- Więc po co pan przyszedł? — oficer milicji spytał uprzedzająco grzecznie.
- Pan mnie podejrzewa o morderstwo. O zabicie tego drania Maliszewskiego.
- Być może.
- Anka mi wszystko powiedziała.
- To bardzo pięknie, kiedy w małżeństwie panuje taka szczerłość oparta na wzajemnym zaufaniu.
- Nie przyszedłem tu, aby słuchać pańskich kpín — zdenerwował się inżynier.
- Znam już dwa powody, dla których pan nie przyszedł do mnie aby nie rozmawiać o pana pięknej żonie i aby nie słuchać moich kpín. Może dowiem się i dalszych zakazanych tematów?
- Pan nie zaprzeczył, kiedy powiedziałem, że jestem

posądzony o zabicie Maliszewskiego.

— Nie przeczyłem, bo to jest prawda

— Nie tknąłem go, chociaż przyznaję, nie zmartwiła mnie ta śmierć.

— Nie znałem Maliszewskiego i na jego temat niewiele mogę powiedzieć ale pani Anka — major celowo, mówiąc o żonie inżyniera używał jej zdrobniałego imienia — stwierdziła, że to był sympatyczny mężczyzna i że go lubiła.

— To był wyjątkowy łajdak. Uwodziciel, dziwkarz, drań dla którego nie było nic świętego. Nie wiem dlaczego nie zabiłem go. Sam się sobie dziwię.

— Właśnie w tym punkcie mamy zupełnie odmienne zdania.

— Pan uważa Maliszewskiego za przyzwoitego człowieka — zironizował Senowicz.

— Nie. Tylko uważam, że właśnie pan zabił dyrektora.

— Nonsens.

— Jak pan widzi, wyraźna różnica zdań.

— Anka mi powiedziała, że podejrzewacie mnie o tę zbrodnię. Postanowiłem nie czekać, aż po mnie przyjdziecie i uprzedzić tę wizytę.

— Nareszcie podał pan sensowny powód zjawienia się tutaj. Miał pan zresztą rację. Niedługo by pan czekał. Muszę pana uprzedzić, że sprawa wygląda brzydko i pański, tupet o którym świadczy to zgłoszenie się w „jaskini lwa”, niewiele mu pomoże.

— To nieprawda. Nie zabiłem go. Jeszcze raz to panu powtarzam.

— To jest gołosłowne twierdzenie. My się opieramy na dowodach.

— Nieprawda. Nie macie żadnych dowodów.

— Pan jest zbyt pewny siebie. A to niejednego zgubiło. Kiedy pan zgolił brodę? — zapytał major.

Senowicz zdziwił się.

— Przed dwoma tygodniami — odpowiedział.

— Zgadza się. Po śmierci Maliszewskiego.

— Co ma piernik do wiatraka?

— Morderca zjawiał się w szpitalu z brodą i wąsami.

— Tysiąc mężczyzn nosi teraz brody.

— Tak, ale tylko jeden z nich groził Maliszewskiemu śmiercią. Pan wie kto? I akurat po zgonie dyrektora ten jeden goli sobie brodę. Czy to zbieg okoliczności, czy przezorność mordercy, aby go nie poznano? A kiedy pan zabił Rafalską, nosił pan jeszcze zarost?

— Jaką Rafalaką? Co pan znowu wymyślił?

— Niech pan nie udaje, że pan nie znał pielęgniarki Elżbiety Rafalskiej. Ze szpitala przy Zielnej. Asystowała przy pańskiej operacji.

— Siostra Ela. To ona nie żyje?

— Zabito ją dwudziestego czwartego czerwca. W sobotę około północy. Na skrzyżowaniu Stołecznej i Krasińskiego uderzyła ją taksówka bagażowa. Tym razem pan już nie spudłował, jak przed miesiącem przy polowaniu na Maliszewskiego. Dziewczyna zmarła w szpitalu po paru godzinach.

— To są pańskie fantazje, panie majorze. Pan powinien pisać powieści kryminalne. Pan się marnuje w milicji.

— Być może, ale o tym nie pan będzie decydował — odpowiedział zimno oficer.

— Mam „trabanta”. Sam pan dobrze wie, że gdybym tym wózkiem wpadł na kogoś, prędzej bym siebie zabił.

— Toteż jechał pan nie „trabantem”, ale taksówką bagażową. Odpowiednio dużą i ciężką. W sam raz dobrą do urzeczywistnienia morderczych zamiarów.

— Nie mam taksówki. Skąd bym ją wziął?

— Z parkingu na Kopernika. Co wieczór tam stoi. Było ciemno i niedokładnie stał pan z niej

ślady krwi. Nie mógł pan odstawić wozu w to samo miejsce bo już ktoś inny zaparkował tam swój samochód. Właściciel bagażówki Antoni Słomiak od razu spostrzegł, że ktoś używał jego wozu. Kiedy odkrył ślady krwi, zgłosił to milicji. Ekspertyza potwierdziła, że jest to krew ludzka a grupa odpowiada grupie krwi pielęgniarki. Zidentyfikowano także parę włosów znalezionych na masce samochodu i włókna z sukienki, którą Rafalska nosiła w dniu śmierci. To są dowody że morderca pielęgniarki posłużył się taksówką Słomiaka.

— Ale nie dowody, że siedziałem w tej taksówce.

— Pan doskonale wiedział że bagażówka będzie stała na parkingu aż do poniedziałku rano, bo właściciel nigdy jej nie używa w soboty i niedziele. Nie sztuka otworzyć taki samochód i podłączyć przed stacyjką.

— Pan musi dowieść, że to ja zrobiłem. Takie są chyba przepisy prawa?

— Pan dobrze zna kodeks karny. Może się to panu przydać już niedługo. Gdzie pan był w sobotę dwudziestego czwartego czerwca?

— Gdzie miałem być? Normalnie w domu. Oglądałem telewizję.

— Żona była w domu?

— Nie Poszła z córką na imieniny teściowej. Tam nocowały.

— A pan nie poszedł?

— Nie testem zakochany w teściowej. Jakoś udało mi się wyłgać od tych odwiedzin.

— Szkoda.

— Co, u diabła, tak panu zależy na tym. abym chodził do teściowej? — zirytował się Senowicz.

— Mnie nie zależy, ale wtedy miałby pan alibi. Nie mógłbym panu udowodnić, że pan wziął taksówkę Słomiaka i zabił Rafalską.

— Powtarzam, cały czas siedziałem w domu.

— Kto to może potwierdzić? Rozmawiał pan z kimś przez telefon?

— Z nikim nie rozmawiałem.

— Dobrze. Dwudziesty czwarty czerwiec mamy załatwiony. Gdzie pan był w dniu czternastego czerwca? Pomiędzy szósta a siódma?

— A bo ja wiem? Nie prowadzę dziennika zajęć ze ścisłym zapisywaniem godziny po godzinie.

— Radzę jednak sobie przypomnieć.

— Chyba... chyba poszedłem nad Wisłę.

— Chyba, czy na pewno?

— Na pewno.

— Kogo pan tam spotkał?

— Nie przypominam sobie.

— Znowu brak alibi — stwierdził krótko oficer milicji. — Jedźmy dalej. Na Maliszewskiego dokonano także jednego nieudanego zamachu. Również taksówką bagażową. Maliszewski upierał się, że widział pana wtedy za kierownicą. A w każdym razie kierowca miał brodę. Pana żona powiedziała mi, że w tym dniu byli u was goście. Jej kuzynka z mężem. Wyszli gdzieś po dziesiątej. Pan wyszedł razem z nimi, aby ich odprowadzić.

— To się zgadza. Oni na pewno to potwierdzą.

— Gdzie mieszkają ci krewni?

— Przy Placu Teatralnym, w tych wąskich blokach.

— Pan ich odprowadził aż do domu? Proszę mówić prawdę. To przecież łatwo sprawdzić. Kłamstwo może pogorszyć pańskie położenie.

— Pożegnałem się z nimi na Krakowskim Przedmieściu, koło „Hotelu Europejskiego”.

— Jednak pan do domu od razu nie wrócił.

— Bolała mnie głowa i poszedłem na spacer.

— Z Ordynackiej do Krakowskiego Przedmieścia, nawet wolnym krokiem, najwyżej dziesięć minut drogi. Czas przebycia tej drogi od „Hotelu Europejskiego” można skrócić o połowę, jeżeli idzie się szybciej. Przyjmijmy, że w obydwie strony całe dwadzieścia minut. Uruchomienie taksówki pięć minut. Około jedenastej mógł pan już czekać w aucie na Maliszewskiego przed jego domem. Z jakiej by strony dyrektor nie wracał, musiał przejść tam przez jezdnię. Właśnie w tym momencie runęła na niego rozpędzona taksówka. W ostatnim momencie udało mu się uskoczyć. Rafalska nie miała tego szczęścia. Pańska ucieczka była prosta i łatwa. Skręt w prawo na Placu Dzierżyńskiego, Senatorska, Krakowskie Przedmieście i w pięć minut później postawił pan wóz z powrotem na parkingu. Słomiak spostrzegł, że jego samochodu ktoś używał. Nie złożył jednak zameldowania w milicji. Jak zeznał, nie chciał być ciągnany na przesłuchania, a z auta nic nie zginęło.

Senowicz milczał.

— Co pan na to wszystko, inżynierze?

– To jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności.

– Obawiam się, że nie. Zrekapituluję teraz.

1) Groził pan Maliszewskiemu śmiercią.

2) Przy pierwszym zamachu nie ma pan alibi.

3) Słomiak, właściciel taksówki parkującej koło pańskiego samochodu, stwierdził, że ktoś w nocy jeździł tym wozem.

4) W dniu śmierci Maliszewskiego nie ma pan również alibi.

5) Zna Pan doskonale szpital przy Zielnej. Wie pan, że w przebraniu lekarza można tam swobodnie krążyć między oddziałami. Wie pan również, że podanie choremu po operacji szklanki wody może go zabić. Nietrudno zdobyć środek usypiający, aby go dać choremu razem z wodą. Sen pacjenta opóźnił spostrzeżenie krwotoku wewnętrznego.

6) Znał pan pielęgniarkę Elżbietę Rafalską. Obawiał się pan, że pana poznała. Goli pan brodę, ale jeszcze nie czuje się pan bezpieczny. Dwudziestego czwartego czerwca zabija pan tę dziewczynę w taki sam sposób, w jaki pan próbował po raz pierwszy zgładzić Maliszewskiego. Tą samą taksówką.

7) Nie ma pan alibi również w dniu i w godzinie śmierci Rafalskiej.

– Czy to nie długa lista? A pan mi zarzuca, że nie mogę panu dowieść dwóch morderstw.

Michał Senowicz zbladł. Ręce mu się trzęsły. Na czoło wystąpiły krople potu. Ciężko oddychał.

– Przysięgam na wszystko, co mam najdroższego, na życie żony i jedyne dziecko, że nie tknąłem Maliszewskiego.

– W tym gmachu słyszano wiele uroczystych przysięg i zaklęć. Fałszywych!

– Powiedziałem Drawde

– Dam panu pewną szansę. Proszę, niech pan opróżni kieszenie.

Inżynier gorączkowo wykladał kolejno na stół chusteczkę do nosa, papierosy, zapalki, jakąś flaszeczkę z lekarstwem, metalowy pilnik do paznokci, portfel, dokumenty, pieniądze noszone luzem w kieszeni marynarki, jakieś świstki papieru z zapisanymi telefonami i adresami, dwa długopisy, ołówek i

wieczne pióro.

— To już wszystko. Może mnie pan zrewidować.

— Scyzoryka pan nie ma?

— Nie noszę przy sobie. Mam w domu.

Oficer milicji dla pozoru przeglądał rzeczy złożone na stole. Już na pierwszy rzut oka orientował się, że taniutki, blaszany pilniczek nie pasuje do luksusowego futeraliku z safianowej skórki.

— A gdybyśmy pojechali do domu i zrobili rewizję?

— Proszę bardzo. Niczego nie ukrywam.

— Muszę wyjaśnić, że nie mam zgody prokuratora do dokonania rewizji pańskiego mieszkania. Taka zgoda, to jedynie formalność, bo na podstawie dowodów, jakimi rozporządzam, nie byłoby trudności z jej uzyskaniem. Jednakże może pan odmówić. Wtedy zatrzymam tu pana aż do chwili uzyskania nakazu rewizji.

— Możemy jechać. — pan by wolał, aby żona i córka nic o tym nie wiedziały. Prawda?

— Tak. A także sąsiedzi. Żona jest w pracy, córka w szkole. W mieszkaniu nie ma nikogo. Nic im nie mówiłem, że wybieram się do pana.

Ku zdziwieniu Senowicza major Kaczanowski nie wziął żadnego z funkcjonariuszy milicji do pomocy w przeprowadzaniu rewizji. Trwała ona krótko, w mieszkaniu przy Ordynackiej oficer pobieżnie przejrzał szuflady biurka, zrewidował kieszenie ubrań męskich wiszących w szafie, obejrzał toaletkę pani domu i przyjrzał się zabawkom oraz drobiazgom szkolnym córeczki Senowicza. Niczego nie kwestionował, w ogóle podczas tej dziwnej rewizji nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy ją zakończył, zwrócił się do inżyniera:

— Widziałem środek nasenny na toalecie pani Anki.

— Żona czasem używa tych pastylek.

— Mógłbym i to zaliczyć do szeregu poszlak przeciwko panu, bo jak wspomniałem. Maliszewskiego uśpiono przed śmiercią. Ale pomijam ten drobiazg. To żadna sztuka zdobyć środki nasenne.

— Czy mógłbym wiedzieć, czego pan szukał?

— Nie. Mogę panu tylko powiedzieć, że nie znalazłem.

— Pan mnie aresztuje?

— Powinienem. Ale chcę panu dać ostatnią szansę. Niech pan dokładnie przemyśli swoje położenie. Szczere przyznanie się do winy, gotów jestem nawet uznać dobrowolne zgłoszenie się do nas, jest zawsze poważną okolicznością łagodzącą.

— Nie mam do czego się przyznawać.

— Ja się nie śpieszę. Mam czas. Mogę poczekać. Pozostawię pana na wolności. Pan do mnie przyjdzie i sam mi wszystko opowie.

— To niech pan mnie lepiej od razu zamknie. Zjedzą mnie nerwy.

— Jeżeli pan jest niewinny, to czym się denerwować? Niewinnych nie aresztują i nie skazują. Jeżeli jest pan winien, musi pan zrozumieć swoją porażkę i wyciągnąć konsekwencje z tego faktu. Do widzenia.

Major Kaczanowski nie czekając na odpowiedź szybko opuścił mieszkanie Senowiczów. Nie był pewien, czy dobrze rozegrał tę partię. Postanowił ponownie naradzić się z pułkownikiem Niemirochem.

— Dość ryzykowna gra, Januszu. Czy nie popełniłeś błędu?

— Nie obawiaj się, nie ucieknie.

— A jak ci bryknie tam, skąd nikt nie wraca? Miałbyś cholerne przykrości. A ja z tobą. Doprowadzenie człowieka do samobójstwa.

— To byłoby to potknięcie mordercy, na które czekam. Ale nie dojdzie do tego. To twardy facet. Jeżeli jest niewinny, nie załamie się. A jeśli winien, skorzysta z szansy.

— Na dwoje babka wróżyła.

— Nie miałem innego wyjścia. Najchętniej bym go zamknął. Sądzę nawet, że prokurator dałby sankcję. Ale na uzyskanie wyroku skazującego poszłak za mało. A poza tym ja sam nie jestem w stu procentach przekonany o jego winie. Bardziej skłonny jestem. uwierzyć w winę doktora Wildmana. Zresztą, przyznam się, gdybym nie zrobił rewizji, może bym go zaaresztował.

— Nie znalazłeś stroju lekarskiego?

— Nie szukałem go. Tego na pewno by się pozbył. Wystarczyło pojechać „trabantem” nad Wisłę i Bug. Grałem na inną kartę. Chciałem go zaskoczyć poleceniem opróżnienia kieszeni. Łudziłem się, że znajdę coś, co pasuje do mojego futeralika. Miał pilniczek do paznokci, ale zwykłą krajową blaszkę. Stara i używana. W domu także znalazłem scyzorvk od „Gerlacha” Przejrzałem drobiazgi Senowiczowej. Mógł, także cacko podarować żonie albo dziecku. Nic nie znalazłem.

— Żona może nosi w torebce.

— W czasie rozmowy ze mną otwierała ją parę razy. Dobrze zerkałem, by zobaczyć co się w tej torbie kryje.

— A twój dalszy plan działania?

— Pozostała mi „LYNNDA”.

— Nie wiem, czy nie przywiązujesz zbyt wielkiej wagi do tego futeraliku.

— Jestem przekonany, że on stanowi rozwiązanie zagadki.

— A co w końcu z inżynierem Senowiczem?

— Może uda mi się dowieść, że futeralik należał do niego. Jeżeli tak, należy mu się pochwała. Jest i ostrożny i sprytny. Pozbył się tego, co było zawartością safianowej pochewki. Ale jeżeli nosił futeralik przy sobie, ktoś musiał to cacko widzieć u niego w ręku. Wypożyczysz mi jeszcze raz Basię?

— Cóż mam zrobić? Jestem w przymusowej sytuacji. Kiedy się powiedziało „A”, trzeba recytować cały alfabet do końca. Tylko nie na długo.

— To sprytna dziewczyna. Żebyśmy mieli takich więcej!. Sądzę, że najwyżej na dwa, trzy dni.

— Nie zapominaj o tym szczególe, który ujawniła Henryka Maliszewska. W tej sprawie nie wiadomo, co jest ważne a co nie ma znaczenia.

— O czym mówisz?

— O tym rzekomym pierwszym zamachu na Maliszewskiego. Próbie otrucia go arsenikiem. Przez jakiegoś cudzoziemca w jednym z pokojów „Grand- Hotelu”.

— To zupełna bzdura. Nawet z punktu widzenia medycyny. Maliszewski zachorował, jak sam twierdził. w trzy godziny po

wypiciu jakoby zatrutej herbaty. Sprawdziłem. Arszenik podziałałby znacznie szybciej. Uważam, że Maliszewska słusznie tłumaczyła ten wypadek nadużyciem leku. Nie zapominaj, że dyrektor drżał o swoje zdrowie.

— Byłoby dobrze jednak sprawdzić, co to za cudzoziemiec.

— Zajmę się i tym. W kolejności, jeżeli znowu dochodzenie utknie w miejscu. Na razie mam mocno podejrzanego, chociaż nie mogę go jeszcze przygwoździć ostatecznymi dowodami winy. Poprowadzę śledztwo w tym kierunku.

— Tylko nie jednostronnie. Nie dopasowuj faktów do teorii.

— Nie bój się. Nie zapominam o niczym i jak już mówiłem, wcale nie jestem przekonany o winie Senowicza. Ale przyznasz, że poszlak jest diablo wiele.

— A co słyhać na Zielnej? W szpitalu?

— Tam działa mój wspólnik — roześmiał się major.

— Doktor Niekwasz?

— Jesteś domyślny. Na razie nie wyprowadzam go z błędu, że zabijając Maliszewskiego chciano ugodzić w chirurga. Dzięki temu mam swojego człowieka w szpitalu. Zresztą pomogłem doktorowi. Po przesłuchaniu w komendzie, dyrektor szpitala tak się przejął zarzutem, że i on może być uważany za współwinnego zaniedbań w szpitalu, iż natychmiast cofnął Niekwaszowi wymówienie. A jeszcze przed tym, nim otrzymał wezwanie do komendy, Postomski cofnął zakaz przeprowadzania operacji przez Niekwasza.

— No to twój „wspólnik” jest uszczęśliwiony.

— Nie kryje swojej wdzięczności. W zamian chętnie by mi zrobił jakąś skomplikowaną operacyjkę. Może ty Adasiu, masz co do wycięcia? Mógłbym cię zaprotegować. Poleżysz potem w tej samej separacie co Maliszewski.

— Dziękuję, nie skorzystam.

— Poleciałem zrobienie dokładnej kopii futeraliku i dałem ją chirurgowi. Ma przeprowadzić na terenie szpitala wywiady, czy ktoś z personelu nie widział tego drobiazgu u Rafalskiej lub gdzie indziej i czy pielęgniarka nic nie mówiła na ten temat. Chirurg z zapalem podjął się tej roli. Pomimo zlikwidowania zatargu z dyrektorem. Niekwasz bynajmniej nie uważa się za

całkowicie zrehabilitowanego.

— Rehabilitacją może być tylko znalezienie przez nas mordercy i udowodnienie mu, że zabił Maliszewskiego.

— Ordynator to doskonale rozumie. Orientuje się, że nie ustały plotki w środowisku lekarskim. Będzie nam pomagał.

— Cenny współpracownik — zgodził się pułkownik.

— Tym bardziej, że zna szpital i cieszy się zaufaniem oraz szacunkiem większości średniego personelu medycznego. Nawet dziesięciu naszych ludzi nie potrafiloby tak szybko na tym terenie uzyskać potrzebnych wiadomości. Niekwaszowi może się to udać. Liczę na niego.

— A co z doktorem Wildmanem?

— Triumfował. Taką dał lekcję oficerom milicji, że musieli go puścić wolno i jeszcze przeproszać. Niech mu tam. Nie będę protestował. Podobno jednak zaprzestał spacerów po różnych oddziałach szpitalnych i pilnuje swoich pacjentów. Minimalna w tym moja zasługa, a raczej pewnej energicznej osóbki w białym czepku.

— Czy pomyślałeś o wywiadzie w biurze Maliszewskiego?

— W „Maszynoimportcie” — poprawił major. — Wybieram się tam osobiście. Nie spodziewam się trudności bo naczelnym dyrektorem tej instytucji jest Stanisław Kowalewski, jeden z nielicznych przyjaciół Maliszewskiego. Na pewno ułatwi mi zadanie. Dotychczas nie miałem czasu tym się zająć. Czy znasz kogoś w Ministerstwie Handlu Zagranicznego?

— Dlaczego o to pytasz?

— Chciałem i tam porozmawiać o Maliszewskim i o „Maszynoimportcie” przed złożeniem wizyty dyrektorowi Kowalewskiemu. Wolę być zorientowany w ogólnych stosunkach tej centrali. Dobrze byłoby rozmawiać z kimś, kto będzie mówił znacznie szczerzej niż to bywa przy oficjalnych kontaktach.

Pułkownik Niemiroch szukał w pamięci nazwiska.

— Mam! Tam pracuje mój stary znajomy Piotr Wirski. Ostatnio chyba awansował na zastępcę czy na dyrektora departamentu. Mogę zatelefonować do niego i uprzedzić, że wybierasz się do niego. Kiedy tam pójdziesz?

— Jutro albo pojutrze.
— Dobrze, zaraz zatelefonuję i uprzedzę.
Kaczanowski czekał cierpliwie na wynik rozmowy.
— To już masz z głowy — oświadczył pułkownik. Jeszcze coś?
— Na razie nic więcej. Jutro dalszy ciąg sprawozdania.
Nabieram przekonania, że bez względu na to, czy Senowicz jest winien, czy nie sprawa zbliża się ku końcowi. Lada chwila zdobędę ten ostateczny dowód.
— Masz jakąś nową teorię?
— Nie. Mój nos mi to mówi.
— Obyś tylko nie dostał kataru — roześmiał się pułkownik żegnając przyjaciela. — A zatem do jutra z dobrymi wiadomościami.

ROZDZIAŁ 13

Sukces chirurga – detektywa.

Do majora Kaczanowskiego zatelefonował doktor Zygmunt Niekwasz. Powiedział, że zrobił pewne odkrycie i chciałby przyjechać do Pałacu Mostowskich.

— Zaraz? — Oficerowi milicji to nie odpowiadało. Miał inne plany.

— Tak. Jak najprędzej. Moja wizyta długo nie potrwa

— Dobrze. Czekam.

— Będę za dziesięć minut — obiecał lekarz odkładając słuchawkę.

Major uprzedził dyżurnego, aby kiedy zgłosi się doktor Niekwasz. bez żadnych formalności wpuszczono go na górę. Ale po kwadransie z dyżurki przy wejściu zameldowano:

— Obywatel Niekwasz. obywatelka Ciszewska i obywatelka Dąbał są tutaj. Czy mam wpuścić wszystkich?

— Wszystkich — odpowiedział Kaczanowski — chociaż nieco się zdziwił. Lekarz nic nie wspominał, że przyjdzie w towarzystwie.

— Przyprowadziłem dwie pielęgniarki — wyjaśnił lekarz, kiedy znalazł się w gabinecie majora — czekają na korytarzu.

Usłyszy pan interesujące rzeczy. Odnoszę wrażenie, że ważne. Kiedy mi te dziewczyny powiedziały co wiedzą, zatelefonowałem do pana a potem zapakowałem babki do auta i przywiozłem tutaj.

— Doskonale, niech pan je przyprowadzi.

Niekwasz wyszedł na korytarz i wrócił z dwiema pielęgniarkami. Przystojnymi, jak reszta ich koleżanek ze szpitala przy Zielnej. Dziewczyny były trochę zdeprymowane sytuacją w jakiej się znalazły.

— Doktor umie się urządzać. Zawsze w otoczeniu ładnych babek. Takiemu to dobrze. Musze się przekwalifikować na chirurga.

— A ja na oficera milicji.

— Może od razu się zamienimy. Co panie na to?

Dziewczyny roześmiały się. Może nawet któraś pomyślała, że nie byłoby źle mieć w szpitalu takiego przystojnego lekarza? A tymczasem oficer zapytał:

— Panie mają mi coś do powiedzenia?

— Tak — przytaknęła śniada brunetka — o koleżance Rafalskiej.

— Najlepiej będzie, jeżeli sprowadzę maszynistkę. Spiszemy z waszych zeznań oficjalny protokół. To paniom oszczędzi konieczności przychodzenia tutaj po raz drugi — major wyszedł w poszukiwaniu protokolantki. — Pan doktor i jedna z pań — zarządził po powrocie — zaczekają na korytarzu. Tam dalej, obok schodów, są fotele, można wygodnie posiedzieć, a pani zwrócił się do brunetki — zostanie ze mną.

Maszynistka wypełniła pierwsze rubryki protokołu. Dane personalne przesłuchiwanej. Nazywała się Halina Ciszewska i była pielęgniarką na chirurgii

Po zakończeniu formalności major zwrócił się do dziewczyny:

— Słucham panią?

— Kiedy ja nie wiem jak mówić? Nigdy jeszcze nie zeznawałam, speszyła się pielęgniarka.

— Pomogę pytaniami. Pani pracowała razem z Elżbietą Rafalską?

— Nie. Ona należała do ekipy pracującej na górze. W salach

operacyjnych. A ja na drugim piętrze Na stronie kobiecej.

— Ale pani ją знаła?

— Naturalnie. Chodziłyśmy do jednej szkoły i byłyśmy przyjaciółkami a później przyszłyśmy jednocześnie na Zielną

— Rafalska miała dyżur przy chorym. W separacie. Ten pacjent zmarł.

— Tak. Elka bardzo się tym martwiła. Płakała.

— Dlaczego tak się przejęła? Przecież śmierć nie jest w szpitalu czymś wyjątkowym. Dużo ludzi umiera właśnie tam. Pielęgniarki często stykają się ze śmiercią.

— To prawda. Jednak zawsze trudno nam się pogodzić z tym, że nasz pacjent umiera.

— Nie jesteście temu winne. Ani lekarz. W końcu na każdego przychodzi taka godzina. Nikt tego nie uniknie. Dlaczego więc Rafalska tak to wzięła do serca?

— Elka mówiła, że ona jest też winna. Nie spostrzegła, że chory jest nieprzytomny.

— Lekarze również tego nie zauważyli. Czy jeszcze coś opowiadała?

— Tak. Wtedy myślałam, że to tylko nerwy. Ale kiedy już po śmierci Elżbiety powtórzyłam to panu doktorowi Niekwaszowi, on uznał, że powinnam przyjść do panów.

— Kiedy to pani mówiła doktorowi?

— Dopiero teraz. Byłam na urlopie. Przez trzy tygodnie. Po powrocie dowiedziałam się, że Rafalska nie żyje. Jak gdybym dostała w głowę obuchem. Wtedy przypomniało mi się co ona mówiła.

— O tym dyżurze przy Maliszewskim?

— Właśnie.

— Jak to było?

— W parę dni po śmierci pana Maliszewskiego wracałyśmy z Rafalską do domu. My mieszkamy niedaleko od siebie, przy sąsiednich ulicach. Wtedy Elka opowiedziała mi bardzo dziwną historię.. W czasie dyżuru, pod wieczór, wezwano ją do telefonu. Dzwoniła jakaś pani i dopytywała się o zdrowie chorego. To nic dziwnego. Odbieramy stale takie telefony. Często ktoś prosi, żeby wezwać chorego do aparatu. Ale

Rafalska powiedziała, że wezwał ją do telefonu doktor Wildman. Jest u nas taki lekarz z oddziału dla nerwowo wyczerpanych. On ma swoją dziewczynę na oddziale pod nami.

— Cóż w tym dziwnego? Przechodził kolo aparatu, odebrał zlecenie i poszedł piętro wyżej zawiadomić pielęgniarkę.

— To samo ja tłumaczyłam Rafalskiej, chociaż Wildman na nasz oddział prawie nigdy nie zagląda. Boi się naszego ordynatora. Przed tym zanim zaczął z tą Wandzią, uchodził w szpitalu za pierwszego podrywacza Rafalska mówiła, że Wildman nie tylko ją wezwał do telefonu, ale sam się zaofiarował, że przez ten czas posiedzi przy chorym. Jest przepis, że po operacji nie wolno chorego zostawiać ani chwilę samego. Doktor Niekwasz bardzo tego pilnuje.

— To także mogło się zdarzyć.

— Tak, ale Elka mi plotła, że ten doktor Wildman, to nie był Wildman. Uświadomiła to sobie już po śmierci Maliszewskiego. Był jakby starszy i nosił ciemne okulary, a doktor Wildman nie używa szkieł. Rafalska później bała się i nie wiedziała, czy nie powiedzieć o wszystkim panu dyrektorowi Postomskiemu albo wprost zapytać Wildmana. Musiałam ją uspokajać, że to nerwy, żeby się nie wygłupiała bo się narazi dyrektorowi, a Wildman wyśmiejie i aby bardziej ją zdenerwować nie przyzna się do bytności w separacie. Dopiero byłby cyrk. Elka chyba by zwariowała. Taka była wtedy roztrzęsiona.

— Uspokoila ją pani?

— W końcu udało mi się to. Rafalska powiedziała mi, że w pokoju było ciemno. Pacjent był krótkowidzem. Takich po operacji zawsze bardzo bołą oczy. Razi ich najmniejsze światło. To skutki narkozy, powodujące nadmierne rozszerzenie źrenicy. Dlatego też w separacie nie paliła się nawet lampka na stoliku, a zasłony przy oknach spuszczone. Było prawie zupełnie ciemno. Twarz Wildmana mignęła Rafalskiej tylko w momencie, kiedy lekarz wychodził z pokoju. Po prostu mógł na niego tak padać blask lampy na korytarzu, że trochę zniekształcił lub zmienił wyraz twarzy. A okulary nosi wiele osób, które nie używają szkieł, tak jej tłumaczyłam, zakładają

jednak w lecie ciemne okulary przeciwsłoneczne. I że doktor Wildman nie zdjął ich nawet o siódmej wieczorem, bo na dworze było wtedy jeszcze zupełnie widno. Zachodzące słońce ostro świeciło. Elka ciągle miała wyrzuty, że gdyby wtedy nie wyszła, to chory by żył. Wreszcie powiedziałam jej, że jest głupią histeryczką.

— Po tej rozmowie pani widziała Rafalską?

— Codziennie, aż do mojego wyjazdu na urlop. To jest do dwudziestego czerwca. A w cztery dni później Rafalska już nie żyła. Zginęła na tym bardzo niebezpiecznym przejściu. Są wprawdzie sygnały świetle, ale nigdy nie działają, najwyżej mrugają. Tam już zdarzyło się dużo wypadków.

— A później wspominałyście Wildmana?

— Nie. Zapewne jej przeszło, bo parę razy widzieliśmy doktora Wildmana na naszych schodach. Raz telefonował z tego aparatu, który wisi na ścianie. To Rafalską przekonało, że jej obawy były przywidzeniami chorych nerwów

— Nie orientuje się pani czy Rafalska zwierzyła się komuś ze swoich obaw? Miała inne przyjaciółki od serca ?

— Elka podkreślała, że mówi mi w największym zaufaniu. Dodała, że nawet swojemu chłopcu nic nie powiedziała, więc nie przypuszczam.

— Dobrze pani zrobiła, powtarzając to doktorowi Niekwaszowi.

— To rzeczywiście ważne?

— Sądzę, że bardzo ważne, zwłaszcza dla doktora Wildmana.

— To naprawdę wtedy nie był on?

— Wszystko na to wskazuje.

— Po szpitalu chodzą pogłoski, że pan Maliszewski został zamordowany. Czy to prawda panie majorze?

— Ja także chciałbym to wiedzieć i znać mordercę. Jesteśmy przekonani, że zgon nie był wynikiem nieprawidłowo przeprowadzonej operacji.

— Pan doktor Niekwasz na pewno się nie omylił — zapewniła pielęgniarka.

— Bardzo pani dziękuję i proszę przysłać do mnie koleżankę.

Druga z dziewcząt, także niebrzydka, ale dla odmiany jasna

blondynka, nazywała się Ewa Dąbal.

— Pani jest pielęgniarka w szpitalu przy Zielnej?

— Nie. Położną — odpowiedziała dziewczyna z leciutkim odcieniem wyższości.

— Ale pracuje pani w szpitalu przy Zielnej?

— Tak. Na oddziale położniczym — dziewczyna odpowiadała śmiało, nie speszona przesłuchaniem.— Znałam Elżbietę Rafalską i chciałam powiedzieć, że widziałam u niej ten futerałik, który teraz ma pan doktor Niekwasz.

— To mnie interesuje. Jak to było?

— Na ogół w szpitalu różne plotki rozchodzą się szybko. A zwłaszcza taka sensacyjna, że sam ordynator chirurgii źle przeprowadził prosty zabieg i pacjent umarł mu prawie pod nożem. Różnie to komentowano. Dziewczyny z chirurgii broniły doktora Niekwasza, inne się śmiały, że i lekarzowi także się dostało. Bo najczęściej obwinia się średni personel. Panowie lekarze chcą uchodzić za nieomylnych. Nam się trudniej bronić.

— Zawsze i wszędzie szuka się kozła ofiarnego.

— Właśnie. Najczęściej tym kozłem ofiarnym jest pielęgniarka lub położna. Toteż kiedy spotkałam Elżbietę Rafalską, zapytałam ją jak to było naprawdę. Elka zdenerwowała się i na mnie, Bogu ducha winną, zaczęła krzyczeć. Cóż to, zapytać nie można?

— Tak się rozzłościła?

— I to jak! Ja nie pozostałam jej dłużna i wygarnęłam parę słów, że zadziera nosa, bo myśli, że jak asystuje Niekwaszowi przy operacjach, to już wszelkie rozумы zjadła. Ot, taka zwykła dziewczynska kłótnia.

— Jak się skończyła?

— Wreszcie Elka opamiętała się. Przeprosiła mnie i tłumaczyła swoje zachowanie tym, że Maliszewski umarł w czasie jej dyżuru. Gdyby spostrzegła, że jest nieprzytomny, to by żył. Ale ona myślała, że on śpi. My wszystkie jesteśmy głupie. Zawsze przejmujemy się takimi historiami, że przez całe tygodnie nie możemy odzyskać równowagi. Śmierć każdego pacjenta przeżywamy jak stratę kogoś najbliższego. Rafalska

wtenczas, po tej naszej kłótni. rozpląkała się. Wyjęła chusteczkę, aby otrzeć łzy i wtedy wypadł jej z kieszeni ten futeralik. Podniosłam go, bo nawet nie zauważyła. Zapytałam skąd go ma.

— Pani oglądała ten futeralik? Miał jakiś napis?

— Taki złoty napis „LIDIA”. Nie. „LYNNDA”.

— Tak, to ten sam — stwierdził oficer milicji.

— Elka odpowiedziała, że futerał znalazła na podłodze pod łóżkiem w separacie po śmierci Maliszewskiego, po zabranii stamtąd jego rzeczy. Elka wróciła tam, bo zostawiła swoje mydło na umywalce. Kiedy je zabierała, pokój nie był jeszcze sprzątnięty. Zauważyła, że na podłodze przy nodze łóżka coś się błyszczy. To ten złoty napis świecił w słońcu. Nachyliła się i podniosła futeralik. Później, jak mówiła, zastanawiała się, czy nie pójść do mieszkania państwa Maliszewskich i oddać żonie, ale krepowała się, bo przecież tam były przygotowania do pogrzebu, ostatecznie schowała do kieszeni fartucha.

— Rozmawialiście dłużej na ten temat?

— Powiedziałam, że to pewnie futeralik na pilnik do paznokci, albo na przyrząd do czyszczenia fajki. Bo na scyzoryk za mały. Chyba, że na jakiś miniaturowy. Kiedyś na naszym oddziale pewna chora miała podobny malutki drobiazg. Również w futeraliku.

— Z napisem „LYNNDA”?

— Nie. Tamten futeralik był bez żadnego napisu. Nie taki elegancki. Ze zwykłego skaju. A to prawdziwa skóra, delikatna Rafalska twierdziła, że nie widziała w rzeczach pacjenta pilniczka do paznokci ani przyrządu do fajki. Nie miał też przy sobie scyzoryka. A właściwie miał, ale inny. Duży, składany nóż turystyczny. Poradziłam jej, aby używała tego futerału na swój pilnik do paznokci. To wszystko, panie majorze, co wiem. Pan doktor Niekwasz pokazywał dziewczętom ten futeralik pytając, czy która nie zgubiła. Kiedy się o tym dowiedziałam, poszłam do niego i powiedziałam, że widziałam go u Rafalskiej. Wtedy pan doktor powiedział, że pojedziemy do Pałacu Mostowskich...

— Więc Rafalska twierdziła, że znalazła futeralik pod łóżkiem

w separacie? Pani to pamięta? — major powtórzył pytanie.

— Tak mówiła, jestem tego najzupełniej pewna. Dodała, że leżał przy nodze łóżka, dlatego go nie zauważyła, kiedy wcześniej zabierała rzeczy zmarłego.

— Niech pani to specjalnie podkreśli — zwrócił się major do protokolantki.

Kiedy obydwie pracownice szpitala podpisały protokoły swych zeznań, major pożegnał je słowami:

— Bardzo paniom dziękuję. Nawet nie wyobrażacie sobie, jak cenne są wasze informacje. Mówiłem — dodał zwracając się do Ciszewskiej — że w ogóle nie wiem, czy w szpitalu popełniono zbrodnię. Teraz, po tym co mi powiedziałyście, mam tę pewność, Maliszewski został zamordowany. Mam nadzieję, że przestępcę wkrótce zdemaskujemy. Między innymi i dzięki wam.

Kiedy dziewczęta opuściły gabinet, oficer milicji powiedział do chirurga:

— Panu również winszuję. Spisał się pan doskonale. Nie wiem czy udałoby się to najzdolniejszemu z naszych pracowników.

— Dziewczęta ze szpitala trochę mnie lubią i mają do mnie zaufanie. Inaczej nic by z tego nie wyszło.

— Nareszcie teraz mamy konkretne dowody, że pańskie podejrzenia dotyczące zgonu Maliszewskiego były słuszne. Ujęcie mordercy będzie dla pana doktora piękną rehabilitacją, że „złota rączka” ze szpitala przy Zielnej i tym razem działała bezbłędnie.

— Ja przede wszystkim ucieszyłem się, że to nie doktor Wildman jest sprawcą zamachu na życie mojego pacjenta. Stwierdzenie, że lekarz zdolny jest do takiej zbrodni, byłoby straszne.

— Cóż, zdarza się, że lekarze także popełniają zbrodnie.

— Ale nie w szpitalu wobec pacjentów.

— Doktor Wildman jest wolny od wszelkich zarzutów. Teraz kolej na całkowite oczyszczenie pana .

— Oczekuję tego z niecierpliwością. Wprawdzie moje kłopoty zawodowe już się skończyły, nie wiem jak pan to zrobił, ale

zawsze pewien osad pozostał. Niektórzy koledzy witając się ze mną, uśmiechają się dwuznacznie. Dostałem nawet anonim, zapewne od jakiegoś „przyjaciela”, w którym autor zawiadamia mnie, że rzeźnia miejska poszukuje wykwalifikowanych rzeźników. Pierwszeństwo mają oferty z rekomendacją dyrektora Maliszewskiego.

— Obrzydliwość!

— Uderzyła mnie ta sprawa, oj uderzyła.

— Chciałbym pana pocieszyć, że to był tylko rykoszet. Morderca nie zamierzał panu szkodzić. Jemu zależało jedynie na zabójstwie Maliszewskiego.

— Dlaczego — zdziwił się Niekwasz.

— Skoro znajdę na to jednoznaczną odpowiedź, będę także znał nazwisko mordercy.

— Już pan kogoś podejrzewa? — chirurg nie zdawał sobie sprawy z tego, że na takie pytanie żaden oficer dochodzeniowy nie udzieli odpowiedzi.

— Podejrzani aż się tłoczą. Można ich ustawić w kolejce — zażartował Kaczanowski. — W tym cały sęk, jak z tego tłumu wybrać tego jedyne, prawdziwego przestępcę.

— Gdyby mnie pan major jeszcze potrzebował, zawsze może pan na mnie liczyć.

— Wiem o tym i dziękuję. W tej chwili nie przewiduję niczego nowego. Tajemnice szpitala wyjaśniliśmy. A szczerze mówiąc, nie chciałbym pana potrzebować jako... chirurga, chociaż nigdy niczego nie można przewidzieć. Naturalnie po ostatecznym wyświetleniu sprawy i ujęciu mordercy, będziecie państwo ponownie przesłuchiwani przez prokuratora, a zapewne także staniecie w sądzie jako świadkowie oskarżenia.

Chirurg pożegnał się, zaś major zebrał akta dochodzenia i udał się do swojego zwierzchnika.

— Miałem nosa — powiedział Kaczanowski z odcieniem dumy w głosie, kiedy już pułkownik przestudiował zeznania obu dziewcząt, że przywiązywałem tak wielkie znaczenie do tego futeraliku. Jeżeli dowiedziemy czyją jest on własnością, będziemy wiedzieli kto zamordował Maliszewskiego.

— Tak — zgodził się Adam Niemiroch — to pierwszy

konkretny sukces dochodzenia.

— A mówiłem ci, że sprawa zbliża się ku końcowi. Nie chciałeś mi wierzyć.

— Nie ciesz się przedwcześnie. Właściwie nic nie wiesz. Od futeralika do jego właściciela droga daleka. Może okazać się nie do przebycia — pułkownik przytłumił optymizm przyjaciela.

— Mój nos mi mówi, że nim tydzień upłynie, zbrodniarz znajdzie się pod kluczem.

— Nie mam nic przeciwko temu — zgodził się pułkownik — pamiętaj jednak Januszkę, że najlepszy nawet organ powonienia traci swoje cenne właściwości przy najmniejszym przeziębieniu. Obyś się więc nam nie przeziębził.

— Powiem ci, że kłamię w żywy kamień, kiedy zważyłaś na moje barki tę sprawę. Ale teraz mi przeszło. Przeciwnie jestem zadowolony. Po rozmowie z tymi miłymi pielęgniarkami nabrałem energii. Chcę jak najprędzej przyskrzynić tego drania.

— Przyznaj się, mileńki, że ci któraś z tych dziewcząt za bardzo wpadła w oko? No, jak to jest? Znam ciebie nie od dzisiaj.

— Jedna z nich jest cholernie ładna. Smągła brunetka. Opalona, długie nogi. Wszystko co potrzeba na swoim miejscu i w odpowiedniej proporcji. Gdybym był młodszy...

— Nie przejmuj się. Teraz dziewczyny śpiewają „Kochajcie starszych panów”. A co z inżynierem Michałem Senowiczem? Masz jakieś wiadomości o nim?

— Z rana była u mnie Haneczka Senowiczowa. „Haneczka” dla mnie brzmi ładniej niż „Anka”. Opo wiadała, że inżynier bardzo się przejął. Cała noc nie spał. Musiała go prawie gwałtem wysłać do pracy. Ona sama przysięgała, że jej mąż jest niewinny. Błagała ze łzami w oczach, abym nie gubił ojca malutkich dzieci. Groziła, że jeżeli zaaresztuje Senowicza, ona tego nie przeżyje, popełni samobójstwo. W końcu musiałem ją uspokoić, aby mi się w gabinecie nie rozryczała na dobre.

— Ale uspokoiłeś?

— Umówiłem się z nią w kawiarni. Jak wyjdzie z pracy. Będzie mnie jeszcze przekonywała. Musiałem się na to zgodzić.

— Oj, Janusz Janusz, ty marnie skończysz. A co z tą brunetką o długich nogach? Też się z nią umówiłeś?

— Jeszcze nie. Ale wiesz co, może ty masz i rację?

ROZDZIAŁ 14

Czternaście milionów dolarów

— Pan dyrektor prosi — sekretarka otworzyła drzwi obite brązową skórą.

Janusz Kaczanowski wszedł do gabinetu dyrektora departamentu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Starszy siwy mężczyzna wyciągnął rękę do oficera milicji.

— Mówił mi Adaś Niemirowicz, że major ma jakieś kłopoty. Proszę niech pan siada. Może będę mógł coś na to poradzić.

Pojawiła się sekretarka i postawiła dwie filiżanki kawy oraz napełniła kieliszki koniakiem.

— Chciałem dowiedzieć się czegoś o dyrektorze Aleksandrze Maliszewskim. Z „Maszynoimportu” Czy pan dyrektor go znał?

— Naturalnie. Bardzo boleliśmy nad jego nagłą śmiercią. Żeby umrzeć przy operacji ślepej kiszki...

— To nie skutki operacji. Dyrektora Maliszewskiego zamordowano. Mamy na to dowody. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

— Zamordowany? Ależ dlaczego, na miły Bóg! — dyrektor nie krył swojego zdumienia.

— Tego nie wiemy. Właśnie dlatego przyszedłem do pana dyrektora.

— Naturalnie służę wszelką pomocą. Co tylko będę mógł. Ależ mnie major zastrzelił.

— Jaką opinię miał dyrektor Maliszewski?

— To był kryształowy człowiek. Poza tym znakomity fachowiec. Miał swoje wady, ale któż ich nie ma? Patrzyliśmy na nie przez palce. Jego śmierć, to dla naszego resortu duża strata. Ubył nam najlepszy ekspert w dziedzinie maszyn.

— Czy śmierć dyrektora nie wiąże się z jakimiś nadużyciami?

— Co pan ma na myśli?

— No, może Maliszewski uczestniczył w jakichś nadużyciach. Albo o nich wiedział. Może stał się dla kogoś niewygodny? I to aż tak bardzo, że trzeba było go usunąć.

Dyrektor uśmiechnął się.

— Widzi pan, majorze — powiedział — nadużycia zdarzają się zawsze i wszędzie. Najlepsza kontrola ich nie wyeliminuje. Najwyżej przyspieszy wykrycie tego rodzaju przestępstwa. Nie twierdzę, że i w naszym resorcie nie zdarzają się nadużycia. Na przykład pobieranie łapówek od naszych kontrahentów. To się zresztą elegancko nazywa „prowizja dla zawierających kontrakt”. Kiedy stawialiśmy pierwsze kroki w handlu zagranicznym, tego rodzaju nadużycia zdarzały się częściej. Że wspomnę tylko o głośnych transakcjach z zakupem autobusów francuskich. Później, w miarę krzepnięcia młodego państwa, nabieraliśmy większego doświadczenia. Usprawniliśmy zawieranie kontraktów. Decyzje podejmowane są na innym szczeblu. Jedni zbierają oferty, drudzy rozpatrują je pod względem technicznym. Są specjaliści do badania warunków kredytowych. Głos ma również nasz krajowy kontrahent, dla którego ten towar się sprowadza. Znamy dobrze rynek cen i jego fluktuacje. To bardzo utrudnia nadużycia.

— A czy je całkowicie wyeliminowano?

— Chciałbym wierzyć, że tak. Chciałbym wierzyć, że dzisiejsi nasi pracownicy stoją znacznie wyżej pod względem etycznym, jak i fachowym. Naturalnie zdajemy sobie sprawę, że nie jesteśmy bez wad. Droga od zapotrzebowania krajowego do zakupu i dostarczenia towaru jest ciągle za długa. Nadal jesteśmy zbyt mało operatywni. Niemniej postęp na tym polu jest widoczny. Teraz także nowe usprawnienia resortów, a nawet większych przedsiębiorstw przyczyniły się do lepszego zorganizowania naszego handlu zagranicznego.

— A wracając do dyrektora Maliszewskiego?

— Był znakomitym ekspertem. Bardzo często jego głos decydował. Mieliśmy do niego bezwzględne zaufanie. Panie, ten człowiek nigdy nie wziął od przedstawiciela jakiejś firmy zagranicznej nawet małego kalendarzyka. Nie pozwolił zapłacić za siebie obiadu. Maniak uczciwości. A poza tym co za

specjalista! Wielokrotnie opinie ekspertów różniły się. Większość opowiadała się za kupnem maszyn lub zamówień w konkurencyjnej firmie. Ale ministerstwo najczęściej opierało się na zdaniu Maliszewskiego. Tak było na przykład z piecami obrotowymi dla cementowni. Grono specjalistów uważało, że angielskie będą najlepsze. Jedyne Maliszewski gardłował za duńskimi. Za jego radą kupiliśmy w Danii, ale jedną cementownię wyposażyliśmy w piec angielski. Ceny i warunki płatności były mniej więcej te same. Angielskie nawet trochę tańsze. Cóż się okazało? Piec angielski w naszych warunkach nie daje pełnej wydajności. Pracuje już pięć lat i stale mamy z nim kłopoty. A duńskie spisują się o wiele lepiej.

— A jak się układały stosunki Maliszewskiego z ludźmi? Pracownikami waszego resortu?

— Fachowcy nieraz skaczą sobie do oczu. Maliszewski bił kiedyś pięścią w stół. Ale ten człowiek miał cenną zaletę. Nie upierał się przy swoim zdaniu jedynie dlatego, żeby nie utracić prestiżu. Jeżeli ktoś potrafił go przekonać właściwym argumentem, zgadzał się z cudzą tezą. Bywało, że Maliszewski wyjeżdżał za granicę do fabryk, gdzie pracowały urządzenia podobne do tych, jakie zamierzaliśmy sprowadzić, a jakie naszemu ekspertowi nie podobały się. Po powrocie potrafił powiedzieć „nie miałem racji” Przyznanie się do pomyłki jest jedną z cenniejszych zalet ludzkich. Nie uważa pan?

— Bardzo ceniona i u nas w milicji. Jakże często trzeba przyznać się „spudłowałem”. I rozpoczynać całą robotę na nowo.

— Właśnie.

— A co do wad, panie dyrektorze?

Trochę histeryk. Stale się na coś leczył, chociaż wyglądał jak tur Poza tym nieprawdopodobny babiarz. Są mężczyźni, którzy nieustannie pragną udowodniać rzecz niemożliwą do udowodnienia, że są prawdziwymi mężczyznami. Takim był Maliszewski. Stale pysznił się jakimiś podbojami. Jego historyjki przypominały opowiadania rybaków o złowionych rybach. Nie wiem jak tam było naprawdę, ale Maliszewski startował do każdej babki. Młoda, stara, ładna czy brzydka,

obojętne.

— Są takie typy.

— Do nich zaliczał się „piękny Olo”.

— Dyrektor Maliszewski uważał, prawdopodobnie zresztą nie bez podstaw, że na jego życie dokonano dwóch zamachów.

— Wiem. Najpierw usiłowano go otruć, a potem jakiś samochód mało go nie przejechał przed własnym domem. Obie te historyjki on sam szeroko kolportował w naszym ministerstwie. Nikt mu naturalnie nie wierzył.

— Podobno wyrażał wtedy przekonanie, że nasłano na niego z zagranicy zawodowych morderców. Czy zna pan tę wersję?

— Do mnie Maliszewski niczego podobnego nie mówił, bo bym go wyśmiał. Ale wśród plotek, które później obiegały ten gmach, powtarzano i takie. Panowała jednak opinia, że to wytwór fantazji i hysterii dyrektora. Tym bardziej, że podobno nieraz różni rywale odgrążali się Olkowi i zapowiadali policzenie mu kości.

— Dziś, kiedy Maliszewski naprawdę padł ofiarą zbrodni, czy tego rodzaju hipoteza o mordercy działającym na zlecenie jakiegoś wielkiego koncernu zagranicznego może być prawdziwa?

— Nie.

— Wyklucza pan zemstę za utracenie jakiejś oferty?

— Całkowicie. Maliszewski, chociaż świetny fachowiec, nigdy sam nie decydował o odrzuceniu najmniejszej oferty. Liczyliśmy się z jego opinią i opieraliśmy się na jego zdaniu, ale traktowaliśmy to jako głos doradczy. Poza tym nie te czasy, panie majorze. Proszę wziąć pod uwagę, że gdyby zainspirowano morderstwo i taka afera się wydała, firma ta stanęłaby na progu bankructwa. Nikt by z nią nie pertraktował i nie próbował u niej kupić. Każdy bałby się, że i na niego naślą morderców. Nie, to zupełnie nieprawdopodobne.

— Ja od początku byłem zdania, że morderców należy szukać w kraju. Jednakże nie widzę motywu.

— Może rzeczywiście jakiś zdradzony mąż? — podsunął dyrektor departamentu.

— Odpowiem tak, jak pan mi przed chwilą, nie te czasy

dyrektorze.

Obaj roześmieli się.

— Chciałbym pana prosić — zaczął oficer milicji — o pewną przysługę. Może udałoby się ustalić, choćby za pośrednictwem waszych placówek zagranicznych, co to firma „LYNNDA” i czym się ona zajmuje?

Dyrektor znowu się roześmiał.

— Tę informację otrzyma pan nie wychodząc z tego pokoju. Ode mnie. Zupełnie gratis.

— Wspaniale.

— „LYNNDA” — rzekł dyrektor — to jeden z największych na świecie koncernów papierniczych i poligraficznych. Produkcja maszyn do wyrobu celulozy, papieru, automaty do produkcji worków, maszyny drukarskie. Fabryki tego koncernu rozrzucone są w różnych krajach Europy zachodniej.

— Myślałem, sądząc po nazwie, że to jakaś szwedzka fabryka. Kosmetyki czy coś podobnego.

— Nazwa rzeczywiście wskazuje na Skandynawię, ale to po prostu skrót pierwszych sylab lub liter trzech założycieli fabryki, która od ubiegłego wieku rozwinęła się w potężny koncern.

— Czy nasz handel zagraniczny przeprowadza jakieś transakcje z tą firmą?

— Dotychczas nie. Ale obecnie zawieramy bardzo duży kontrakt. Nie znam szczegółów, bo to nie mój dział, ale jeżeli pana majora sprawa ta interesuje, mogę poprosić naczelnika Liska. On udzieli wyczerpujących informacji.

— Byłbym panu dyrektorowi mocno zobowiązany.

Dyrektor polecił sekretarce wezwać naczelnika Liska wraz z dokumentami dotyczącymi umowy z „LYNNDA”. Wkrótce w gabinecie zjawił się urzędnik z plikiem papierów.

— Proszę kolego, niech pan zreferuje panu majorowi Kaczanowskiemu nasze rozmowy z firmą „LYNNDA”. Major prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci naszego biednego Ola Maliszewskiego.

— To straszny wypadek. Już ja rozprawiłbym się z tymi lekarzami — naczelnik Lisek zupełnie opacznie wytłumaczył

sobie rolę oficera milicji — dobrze chociaż, że pan dyrektor Maliszewski skończył ekspertyzę.

— Major nie jest zorientowany i będzie pan musiał zacząć od początku uprzedził dyrektor departamentu.

— W związku z trudnościami pokrycia zapotrzebowania na papier dla prasy, wydawnictw książkowych i opakowania, przed rokiem powzięto uchwałę budowy nowej dużej papierni. Wybór i zakup odpowiedniej dokumentacji oraz urządzeń nasze ministerstwo powierzyło „Maszynoimportowi” To zresztą leży w ich gestii. Dyrektor Kowalewski nawiązał kontakt z najpoważniejszymi producentami w tej dziedzinie i objechał całą Europę dla przeprowadzenia wstępnych rozmów.

— Razem z Maliszewskim?

— Z nim, z innymi naszymi ekspertami oraz z przedstawicielami przemysłu papierniczego. Tego rodzaju kontakty zwykle nawiązuje się z całą grupą fachowców. Tym bardziej przy tak wielkim zamówieniu.

— Chodziło o duże sumy?

— Urządzenia tylko do pierwszej nitki produkcji mają kosztować ponad czternaście milionów dolarów. Do tego dojdą inwestycje pomocnicze i w konsekwencji zamówienia maszyn drukarskich, które mogłyby przerobić tę masę papieru na książki i gazety. A przewiduje się, że po osiągnięciu pełnej produkcji, fabryka będzie dysponowała przynajmniej trzema nitkami produkcyjnymi.

— Gigant!

— Tak jest — przytaknął naczelnik Lisek — Jed na z największych papierni w Europie. Po nawiązaniu wstępnych pertraktacji zaczęły się najtrudniejsze problemy. Teraz do nas przyjeżdżają przedstawiciele zagranicznych koncernów. Oglądali teren przyszłej fabryki, badali nawet skład wody w miejscowych studniach głębinowych, interesowali się wielu zagadnieniami technicznymi, choćby takimi jak kreda czy piasek już nie mówiąc o wielu innych drobiazgach. Każdego z tych panów trzeba było obwozić, tłumaczyć dokładnie czego wymagamy i na jaką produkcję chcemy się nastawić. Są dosłownie tysiące odmian papieru. Każda wymaga innego

zestawu maszyn i urządzeń. W tym byli nam pomocni fachowcy z przemysłu papierniczego. Kiedy wreszcie przebrnęliśmy i przez ten etap, zaczęły napływać oferty. Z kolei należało wybrać jak najkorzystniejszą.

— Tym się zajmował dyrektor Kowalewski?

— Nie. On miał jedynie wgląd w finanse. To administrator i finansista, a nie specjalista. Oferty badali eksperci z przemysłu i nasi. To bardzo żmudna praca i wymagająca dużej wiedzy. Każda z firm pisze o sobie i swoich wyrobach jak najlepiej. Obiecuje dużo. Trzeba ich odpowiednio związać kontraktem, żeby te obietnice były w pełni dotrzymane. W przemyśle papierniczym mieliśmy przykre doświadczenia z dawnych lat. Dla fabryki w Skolwinie zakupiono maszynę z zagranicy. Miała produkować ciągły płat papieru z szybkością bodaj 12 tysięcy obrotów wału na minutę. Tymczasem wydajność maszyny wynosiła początkowo mniej niż 4 tys. obrotów. Po wszelkich poprawkach i przeróbkach maszyna wyciągnęła zaledwie ponad 7 tysięcy obrotów. I wtedy producent maszyny umył ręce. Niestety, otrzymał pełną należność za dostarczone urządzenia i nic mu nie można było zrobić. Przez parę lat nasi fachowcy biedzili się nad tym gratem i wreszcie dociągnęli do 12 tysięcy. Więcej już im się nie udało.

— To zwykle oszustwo.

— Trudno to tak otwarcie nazwać. Producent zasłonił się wymówką, że nie otrzymał od nas pełnych danych i że warunki techniczne na miejscu były odmienne od tych, które przyjmował w swojej ofercie. Nasi prawnicy nie radzili wdawać się w ryzyko kosztownego procesu przed sądem zagranicznym o odszkodowanie.

Naczelnik Lisek upił łyk kawy z postawionej mu przez sekretarkę filiżanki i kontynuował:

— Sam pan rozumie, panie majorze, jak bardzo musieliśmy być ostrożni. Opinie ekspertów różniły się. Natomiast parametry produkcyjne ofert były do siebie zbliżone. W tym przemyśle nie ma cudów ani jakichś wielkich rewelacji technicznych. Od czasów kiedy Chińczycy pierwsi zaczęli wyrabiać papier, zmieniła się tylko szybkość jego produkcji, ale za to

pogorszyła jakość.

Współcześnie drukowane książki nie wytrzymują tak długo bez żadnych zmian, co inkunabuły z okresu dynastii Ming. A nawiązując do ofert, to warunki spłat kredytowych również zbytnio się nie różniły. Jedni dawali dłuższy kredyt i o mniejszym oprocentowaniu, ale w zamian żądali większej wpłaty początkowej. Inni tę sumę trochę inaczej dzielili.

— Czy „LYNNDA” także składała ofertą?

— Naturalnie. Oni byli najbardziej zainteresowani otrzymaniem zamówienia. Widocznie muszą mieć jakieś trudności z produkcją, bo po prostu ze skóry wyłazili, aby się z nami dogadać. Ich przedstawiciele nie opuszczali Warszawy. Szli na każde ustępstwa, obiecywali uwzględnić wszystkie nasze dodatkowe postulaty. W końcu dopięli swojego. Przyjęliśmy ich ofertę. W tych dniach nastąpi uroczyste podpisanie umowy.

— Czy eksperci popierali tę firmę?

— Jak zwykle zdania były podzielone. Jedni stwierdzili, że maszyny „LYNNDY” są znane z solidności wykonania i z długowieczności. Drudzy uważali, że nie jest to ostatni krzyk mody w przemyśle papierniczym. Także dyskusja na temat przyszłych kosztów produkcji nie była jednomyślna. Każdy miał swoje racje. To zresztą bardzo dobrze. Naszym zadaniem jest wyważać te wszystkie racje i wybrać urządzenia najodpowiedniejsze i na jakie nas stać w tej chwili.

— Więc jednak wybrano „LYNNDE”?

— Tak. Ze względu na uступliwość firmy i na to, że „LYNNDA” zobowiązała się przyjąć część należności maszynami produkowanymi w Polsce. To nam bardzo odpowiada. Ciągłe nie mamy za wiele dewiz.

— Rozumiem — nareszcie major zrozumiał powód dla którego zamordowano Maliszewskiego — przy różnicy zdań ekspertów przeważał wzgląd na jak najmniejsze koszty dewizowe. Pomimo że dyrektor Maliszewski przeciwny był tej transakcji.

— Pan się myli, majorze — spokojnie odpowiedział naczelnik Lisek — dyrektor Maliszewski z całą ostrożnością wypowiadał swoje sądy. Zwłaszcza w tak doniosłej sprawie. Początkowo, jak

orientuję się, wyrażał się bez większego entuzjazmu o ofercie „LYNNDY”. Jeszcze raz wizytował różne fabryki i oglądał papiernie pracujące na systemach tych firm.. W końcu jednak jego głos przechylił szalę na korzyść „LYNNDY”. Powtarzam na szczęście, dyrektor skończył swoją ekspertyzę tuż przed chorobą. Otrzymaliśmy ją z „Maszynoimportu” już po jego śmierci.

— Mógłbym ją zobaczyć?

— Proszę. Ale uprzedzam, że to przeszło stustronicowy elaborat — naczelnik Lisek otworzył swoją teczkę i wydobyl z niej gruby plik papieru maszynowego gęsto wypełnionego słowami i cyframi.

Janusz Kaczanowski pobieżnie przejrzał dokument. Na końcu znajdowała się wyraźna konkluzja:

„...zważywszy na to wszystko wnioskuję, że w naszej sytuacji oferta firmy „LYNNDY” jest najkorzystniejsza. Terminy dostaw są najszybsze. Maszyny znane z solidności wykonania. Inni użytkownicy podobnych maszyn wyrażali się o ich pracy z dużym uznaniem.

Poza tym „LYNNDY” udziela nam wieloletniej gwarancji, zobowiązuje się do pomocy technicznej oraz do stałego ulepszania zakupionych u nich urządzeń, jeśli takie ulepszenia będą wprowadzane w przyszłej produkcji tej firmy. Reasumując stawiam wniosek o zawarcie wynegocjonowanego kontraktu z „LYNNDY” biorąc za podstawę jej ofertę

*(—) Aleksander Maliszewski
Warszawa, 7 czerwca 1972 r.*

Do ekspertyzy dołączone był krótkie pismo przechyodnie „Maszynoimportu”.

Do

*Ministerstwa Handlu Zagranicznego Departament
Zakupu Maszyn i Urządzeń*

Przy niniejszym załączam ekspertyzę dokonaną przez

dyrektora technicznego „Maszynoimportu” inż. mgr Aleksandra Maliszewskiego Wprawdzie osobiście uważam, że oferta firmy „PMP” jest pod pewnymi względami korzystniejsza, jednakże przyznaję, że warunki finansowe „LYNNDY” są dla nas najwygodniejsze. Ze względu na przeciąganie się tej sprawy, przy poważnym zaawansowaniu robót w kraju, uprzejmie proszę o szybkie powzięcie decyzji. abyśmy mogli przystąpić do ostatecznego negocjonowania szczegółów umowy.

*dyrektor naczelny (—). Stanisław Kowalewski
Warszawa, 15 czerwca 1972 r.*

Oficer długo oglądał obydwie pisma. Wreszcie zwrócił je naczelnikowi Liskowi.

— Jak pan się przekonał, majorze, ekspertyza pana Maliszewskiego w ogólnym rezultacie wypadła dla „LYNNDY” pozytywnie. Nie chcieliśmy przeciągać sprawy, a do dyrektora technicznego „Maszynoimportu” mieliśmy bezwzględne zaufanie. Wprawdzie dyrektor naczelny tej centrali, Kowalewski, był odmiennego zdania, ale Kowalewski nie jest fachowcem. W tej sytuacji zgodziliśmy się ze stanowiskiem Maliszewskiego. Pan minister po zapoznaniu się z całokształtem sprawy zdecydował podpisanie z „LYNNDĄ” umowy wstępnej. Dalsze pertraktacje dla ustalenia szczegółów poprowadzi dyrektor Kowalewski. Naturalnie w asyście przedstawicieli z przemysłu papierniczego. Dostawy pierwszych maszyn zaczną się za trzy miesiące. To także rekord. Tylko „LYNNDĄ” mogła się zobowiązać do tak krótkiego terminu. Przede wszystkim dlatego, że ich przedstawiciele siedzą tu na miejscu i mogli się zapoznać z naszymi planami budowy hal fabrycznych. Przypuszczam, że ta firma tak była pewna otrzymania zamówienia, że wcześniej przystąpiła do produkcji tych urządzeń, które trzeba dostarczyć w pierwszym rzucie.

— To sprytne z ich strony.

— Im wyraźnie zależało na naszym zamówieniu. Jeden z przedstawicieli konkurencji ostrzegał nas przed wiązaniem się

z bankrutami, do których rzekomo należy „LYNNDA” stojącą na progu ogłoszenia niewypłacalności. To oczywiście złośliwości pod adresem przeciwnika. Gdyby nawet „LYNNDA” przeżywała naprawdę przejściowe trudności, to takie duże zamówienie jak nasze stawia ją na nogi przynajmniej na najbliższe trzy lata. Nie potrzebujemy się więc niczego obawiać — zakończył swoją relację naczelnik Lisek.

Major Kaczanowski podziękował obydwu panom za dokładne informacje. Po dalsze powinien teraz wstąpić do „Maszynoimportu”. Ale było już zbyt późno. O tej porze pracownicy tej centrali opuszczali biuro. Zresztą w tej chwili oficerowi milicji przyszła do głowy nowa hipoteza. Teoria ta doskonale tłumaczyła zawilości całej sprawy.

Wskazywała wyraźnie, że morderstwo popełniono na Maliszewskim nie było jakimś szaleńczym czynem zazdrośnika, lecz działaniem na zimno człowieka, który za cenę cudzej śmierci postanowił zdobyć pieniądze. Chęć wzbogacenia się, ten najczęstszy powód wszystkich zbrodni od początku świata i w tym dramacie odegrał decydującą rolę.

Kaczanowski tak był przejęty swoją nową koncepcją, że nie czekał na autobus, który by go zawiózł do Pałacu Mostowskich, lecz zatrzymał pustą taksówkę przejeżdżającą akurat ulicą Wiejską, i kazał się wieźć do Komendy. Pułkownika Niemi-rocha dopadł na korytarzu, kiedy ten wybierał się do domu.

— Ważne wiadomości! — powiedział major — wracam z Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Musimy porozmawiać na ten temat.

— Czy to takie pilne? Nie może poczekać do jutra

— Bardzo pilne.

— Spóźnisz się na randkę z piękną panią. Pamiętaj, jesteś umówiony z Senowiczową.

— Pal ją diabli. Zaczeka.

— Obiecałem żonie, że dzisiaj przyjdę punktualnie.

— Tylko piętnaście minut — błagał Kaczanowski.

— Co ja z tobą mam — pułkownik niechętnie zawrócił do swojego gabinetu.

Kiedy się tam znaleźli, major przystąpił od przedstawienia

swojej teorii.

— Wszystko już rozumiem — powiedział — mógłbym przestępcę aresztować choćby zaraz. Ale zaczekam ze dwa dni. Chcę mieć nieodparty dowód, że zamordował Maliszewskiego. Wtedy dopiero wycisnę z niego całą prawdę.

— Za to ja nic nie rozumiem. Mówisz zbyt chaotycznie.

— Posłuchaj. Wielka światowa firma stanęła w obliczu poważnych trudności. Nie wiem, czy grozi jej bankructwo, czy też może się przed tym uchronić za cenę oddania swoich udziałów konkurencji, która chętnie pozbyłaby się koncernu znanego od przeszło stu lat z solidności swoich wyrobów.

— Mówisz o firmie „LYNNDY”?

— Tak, o niej. To koncern produkujący maszyny do fabrykacji papieru oraz maszyny drukarskie.

— No jasne! Maszyny drukarskie. Nie mogłem sobie początkowo z niczym tej firmy skojarzyć.

— I oto nagle do „LYNNDY” zgłasza się człowiek. Obiecuje im duże zamówienie. W pierwszym rzucie czternaście milionów dolarów. Przynręka wszelką pomoc przy załatwieniu transakcji. W tym tak ważne informacje, jak ujawnienie treści ofert konkurencji i warunków kredytowych, na jakich inne firmy mogą zrealizować zamówienie. Także opinię kupującego i jego możliwości finansowe. Dzięki takim wiadomościom przedstawiciel „LYNNDY”, urzędujący stale w Warszawie, może zmieniać swoje propozycje, aby były dla nas dogodniejsze od pozostałych firm. Informator nie działa z czystej miłości do zagranicznego koncernu. Na pewno postawił twarde warunki. Duża prowizja, kto wie, czy także nie jakieś kierownicze stanowisko w jednym z zakładów tej firmy gdzieś w zachodniej Europie. Bo co za sens mają w Polsce wielkie pieniądze? Nie mógłby się nimi popisać.

— A Maliszewski sprzeciwiał się tej transakcji. Usiłował ją utracić i dlatego musiał zginąć.

— To byłoby za proste. Nasz przestępca jest za sprytny na aferę szytą tak grubymi nićmi. Umowę podpisano właśnie dlatego, że ekspertyza przeważała szalę. Przeciwny był człowiek, który go zabił.

— Dopiero teraz nic nie rozumiem.

— Maliszewski miał w ministerstwie opinię nieprzekupnego i znakomitego fachowca. Jego zdanie często rozstrzygało przy podejmowaniu ważnych decyzji importowych. Również i w tej sprawie oparto się na obszernym elaboracie Maliszewskiego. Miałem ten dokument w ręku. Sporządzono go bardzo zrecznie. To nie jest hymn pochwalny na cześć „LYNNDY”. Wskazuje się tam wady produkcji tej firmy i podkreśla zalety tego, co oferują konkurenci. Ale szala przechyliła się jednak zdecydowanie na korzyść „LYNNDY”. Ten dokument rzekomo złożono w „Maszynoimporcie” w dniu 7 czerwca, zaś przesłano do ministerstwa w dniu 15 czerwca. Co za dziwny traf, akurat na drugi dzień po śmierci Maliszewskiego.

Teraz jasne — przytaknął pułkownik. — Ciekawi mnie, czy przestępca od początku planował zamordowanie eksperta?

— Nie sądzę. Zapewne wydawało mu się, że ekspertyza wypadnie jednak pomyślnie. Maszyny „LYNNDY” nie są przecież złe, ale mają jedną wadę. Ta produkcja jest nieco spóźniona w stosunku do najnowszych osiągnięć techniki w tej dziedzinie. A Maliszewski był maniakiem nowoczesności. Uważał, że jeżeli musimy na coś wydawać dewizy, to niech to będzie ostatnia zdobycz techniki. Sądzę, że wywierano na niego wielką presję. Dwa nieudolne zamachy mogły mieć za cel zastraszenie dyrektora i zmuszenie do do wzięcia przychylniej dla „LYNNDY” decyzji. Jak wiemy, ta droga zawiodła. Przy wszystkich swoich wadach i śmiesznoścach, pod tym względem Maliszewski był jak kryształ.

— Co zamierzasz zrobić?

— Muszę pewne rzeczy sprawdzić. Nie mają one wielkiego znaczenia, ale zawsze mi się przydadzą. W tej chwili nie mógłbym mordercy dowieść zbrodni. Najwyżej fałszerstwa. Dlatego przeprowadzę pewne doświadczenie. Posłuchaj... — Kaczanowski szeroko opisał przyszłą akcję.

— Czy bez tego teatru nie dałoby się sprawy zlikwidować?

— Nie. To jedyna szansa udowodnienia, że ten człowiek jest także mordercą.

— A jeśli pomysł zawiedzie?

- Nie przypuszczam. Nie martwmy się zresztą o przeszłość.
- Rób Jak uważasz. — Niemiroch spojrział na zegarek i złapał się za głowę. Dochodziła piąta.
- Mogłeś mi to wszystko opowiedzieć jutro rano. Jesteś zbrodniarzem. Rozbijasz dwa ogniska domowe.
- Czyje?
- Przede wszystkim moje. Już wiem, co usłyszę od żony. No i tego inżyniera Senowicza. Chodź, to cię po drodze podrzucę do kawiarni.
- Powinna jeszcze czekać — łudził się nadzieją major, wysiadając z samochodu w pobliżu skrzyżowania Nowego Świata ze Świętokrzyską.

ROZDZIAŁ 15

Nie dopita filiżanka kawy

Tego dnia major Janusz Kaczanowski był bardzo ruchliwy. Najpierw odwiedził panią Henrykę Maliszewską w jej biurze. Długo i szeroko przedstawiał jej swoją propozycję. Młoda kobieta, aczkolwiek początkowo jej niechętna, w końcu uległa perswazjom. Podniosła słuchawkę, wykręciła numer, a po uzgodnieniu połączenia powiedziała:

— Muszę się z tobą dzisiaj zobaczyć. Sprawa o tyle ważna, że związana ze śmiercią Olka. Potrzebuję twojej pomocy... Tak właśnie dzisiaj. Zastosuję się do godziny i miejsca dla ciebie najdogodniejszego... Może w „Nowym Świecie”? Będziesz miał blisko... O czwartej?... Dobrze, może być pół godziny później. Bardzo ci dziękuję. — Henryka odłożyła słuchawkę.

— Ja również pani dziękuję. To zaproszenie było konieczne.

— Czy ja mam przyjść?

— Jeżeli pani ma ochotę, to oczywiście. Ma pani pełne prawo wiedzieć, jak i dlaczego umarł jej mąż. Sądzę, że dam pani odpowiedź na to pytanie właśnie tam w kawiarni.

— Dobrze. Przyjdę.

Potem major pojechał na Zielną. Do szpitala. Tutaj długo konferował z doktorem Zygmuntem Niekwaszem. Chirurg był

nie mniej zaskoczony od Maliszewskiej.

— Nie wiem, czy potrafię odegrać dobrze swoją rolę?

— Na pewno — uspokajał oficer milicji — przecież to proste. Ja będę na sali. Moi ludzie zajmą sąsiednie stoliki. Będą widzieli i słyszeli wszystko. Może pan liczyć na ich interwencję. Początkowo myślałem o którejś z pielęgniarek lub dyrektorze Postomskim, ale doszedłem do przekonania, że pan jest osobą właściwą.

— Skoro trzeba, służę majorowi. — To i dla pana zamknie sprawę.

— Mam nadzieję.

Następnie major wraz z chirurgiem długo przeglądali kartotekę pacjentów, którzy w ciągu ostatnich dwóch lat byli operowani lub przebywali na obserwacji na oddziale chirurgicznym. Nie znaleźli jednak tego nazwiska, którego tak pilnie szukali. — Musimy przejrzeć spis chorych na stronie kobiecej. Jego żona mogła się tu leczyć — podsunął myśl oficer milicji.

Przeszli korytarzem do dyżurki położonej w drugim skrzydle gmachu. Znowu rozpoczęło się wertowanie kartoteki, w pewnym momencie ordynatora odwołano. Opuścił na jakiś czas majora i tak się dziwnie zdarzyło, że właśnie wtedy znalazła się w pobliżu wysoka, zgrabna, czarnowłosa pielęgniarka o smagłej twarzy i długich nogach. Major wdał się z nią w rozmowę i o czymś przekonywał. Dziewczyna odpowiadała śmiechem, ale wreszcie potakująco skinęła głową. Na widok wracającego chirurga, szybko czmychnęła z dyżurki.

Ale i tutaj oficer milicji nie znalazł w spisie chorych poszukiwanego nazwiska. Odkrył je dopiero w kartotece centralnej szpitala. Ten chory przed mniej więcej rokiem, leżał na oddziale urologicznym. Stwierdzono jakieś niedomagania u pacjenta, miano go operować, ale skończyło się na kilkutygodniowej kuracji.

— Wszystko gra — stwierdził z zadowoleniem major zegnając się z doktorem Niekwaszem. — Tak jak przewidywałem. A

zatem do czwartej piętnaście. Kawiarnia „Nowy Świat”. Tylko proszę o punktualność.

— My chirurdzy mamy punktualność już we krwi — zapewnił Niekwasz — będę co do minuty. W takiej sprawie nie mógłbym się spóźnić.

O godzinie czwartej Janusz Kaczanowski „urzędował” w kawiarni. Byli tu również jego ludzie. Punktualnie kwadrans po czwartej zjawił się chirurg. Major posadził go przy stoliku pod ścianą i wręczył popołudniówkę.

— Proszę, niech pan wygląda na zaczytanego w gazecie. Na mój znak odłoży pan dziennik, rozejrzy się po sali ukłoni znajomemu i podejdzie do jego stolika. A potem to, co ustaliliśmy.

— Mam taką treść, jak przed skomplikowaną operacją serca.

— Minie, jak się tylko rozpocznie nasze przedstawienie. To także ważna operacja — oficer dodawał otuchy chirurgowi. ..

Upłynęło następne dwadzieścia minut. Na salę wszedł dyrektor Stanisław Kowalewski. Rozejrzał się dookoła, ale nie zauważył doktora, ani oficera milicji. Nie dostrzegł także osoby, z którą się umówił. Wybrał wolny stolik pod oknem i zamówił kawę. Wkrótce kelnerka postawiła przed nim filiżankę z czarnym płynem. Dwa sąsiednie stoliki zajęli jacyś mężczyźni. Przy jednym siedziało ich dwóch, przy drugim tylko jeden.

W tym momencie do kawiarni weszła przystojna kobieta. Rozglądała się szukając znajomego. Dyrektor Kowalewski podniósł rękę, aby łatwiej go zauważyła. Pani podeszła do stolika, przywitała się i usiadła. Zaczęli o czymś rozmawiać.

Doktor Niekwasz, tak się złożyło, zajmował stolik w niewielkiej odległości od tej pary. Odłożył właśnie trzymany w rękę dziennik i zajął się obserwowaniem kawiarnianych gości. Spostrzegł dwoje znajomych i skłonił się im. Henryka Maliszewska oddała ukłon okraszając go uśmiechem. Dyrektor lekko kiwnął głową.

Lekarz wstał od swojego stolika i niezdecydowanym krokiem podszedł do Maliszewskiej i Kowalewskiego.

— Przepraszam — zaczął chirurg — że państwu przeska-

dzam, ale dobrze, że spotkałem pana dyrektora. Od paru tygodni noszę w kieszeni ten drobiazg. — Niekwasz wyjął safianowy futerałik — pan zapomniał go wtedy w gabinecie dyrektora szpitala.

— Dziękuję panu — Kowalewski sięgnął machinalnie do kieszeni, wyjął malutki scyzoryczek oprawiony w perłową masę i wsunął do futerałika.

Jednocześnie trzech mężczyzn zajmujący sąsiednie stoliki powstałi ze swoich miejsc. Przejściem pomiędzy krzesłami szedł w tę stronę major Kaczanowski. Dyrektor od razu zrozumiał kim są ci ludzie. Zbladł, wyciągnął z kieszeni scyzoryk i nerwowo wyszarpywał go z futerału.

— Po co pan mi go dał? Nigdy nie miałem takiego futerałiku.

— Pan przegrał, panie Kowalewski — major stał już przy nich.
— Idziemy!

— To jakieś nieporozumienie. Kim pan jest? Co to wszystko znaczy?

Jestem z milicji. Aresztuję pana. Nie róbmy tu cyrku. Już i tak zbyt wiele osób nam się przygląda. Pojedziemy do Komendy, tam pan będzie mógł wszystko wyjaśnić.

Kowalewski nie protestował. Posłusznie skierował się ku wyjściu. Tylko na stoliku pozostała filiżanka nie dopitej kawy.

Na ulicy Kubusia Puchatka stało kilka wozów milicyjnych. Do jednego z nich wsadzono Stanisława Kowalewskiego pod troskliwą opieką trzech wywiadowców. Następnym wozem do Pałacu Mostowskich pojechali Henryka Maliszewska, Zygmunt Niekwasz i major Kaczanowski.

Aresztowanego natychmiast wprowadzono do gabinetu pułkownika Niemirocha, który niecierpliwie czekał na wyniki akcji.

— Panowie nie wiedzą kim ja jestem — dyrektor nie tracił pewności siebie — proszę zawiadomić ministra handlu zagranicznego.

— Dobrze, zawiadomimy go. Niech pan będzie spokojny.

— To niesłychane! Porywacie mnie z kawiarni, jak w jakimś

gangsterskim filmie.

— Tylko bez porównań. Jeżeli chodzi o gangsterów, to zdaje się pan nim jest.

— O co mnie oskarżacie?

— O zamordowanie Aleksandra Maliszewskiego i Elżbiety Rafalskiej.

— Nonsens!

— Pańskie zaprzeczenia nie na wiele się zdadzą.

— Drogo was to będzie kosztować — Kowalewski nie tracił tupetu.

— Cała afera zaczęła się mniej więcej przed półtora rokiem. Przy okazji pewnej podróży zagranicznej nawiązał pan kontakt z koncernem „LYNNDA”.

Na to słowo twarz dyrektora lekko drgnęła, ale zaraz się opanował.

— Wiedział pan, że potężny do niedawna koncern przeżywa poważne trudności. Portfel zamówień był na wyczerpaniu. Nowe nie wpływały. Jednocześnie wiedział pan również, że Polska nosi się z zamiarem zakupu za granicą kompletnego urządzenia wielkiej papierni, której budowa została zaplanowana w planie pięcioletnim. Ofiarował pan swoje usługi „LYNNDZIE”. Doprowadzenie do sfinalizowania wielkiej transakcji. Naturalnie nie na piękne oczy, a za odpowiednia prowizję.

Nie chcę tu delikatnych uszu obrażać ordynarnym słowem „łapówka” Tylko dwa promille, zwyczajowa przecież prowizja pośrednika, w tym przypadku wynosiłaby około dwudziestu ośmiu tysięcy dolarów. I to Jedyne za pierwszą partię zamówienia, Ale pan, zdolny handlowiec, na pewno wycisnął z „LYNNDY” co najmniej cztery razy tyle. Musieli się zgodzić Mieli nóż na gardle i jedynie poważne zamówienie mogło ich uratować.

— To są fantazje — przerwał Kowalewski — pan powinien bajki dla dzieci pisać, a nie pracować w milicji. Byle woźny z Ministerstwa Handlu Zagranicznego panu powie, że to właśnie ja byłem przeciwny transakcji z „LYNNDA”. Są na to dowody na piśmie.

— Tak — zgodził się major — widziałem pańskie pismo przewodnie do ekspertyzy Maliszewskiego. Przyznaję, to było sprytne pociągnięcie. Będę o tym mówił później. Ale na razie akcja rozwijała się po pana myśli. Zapadła decyzja zakupu papierni, pan oficjalnie rozpoczął zbieranie ofert. Szybko się okazało, że oferta „LYNNDY” jest z punktu widzenia finansowego najkorzystniejsza. Oni również gotowi są jak najszerzej uwzględnić życzenia zamówienia dawcy. To proste. „LYNNDY” znała zarówno wymagania naszego przemysłu papierniczego, jak i tekst ofert konkurencji. Jedne i drugie dokumenty przechodziły przez ręce dyrektora Kowalewskiego.

— Nudzi mnie to — powiedział przedstawiciel „Maszynimportu”.

— Nie tracę nadziei, że jednak zdołam pana zainteresować moim opowiadaniem, chociaż niewiele tam pan znajdzie nowego. Tak więc wszystko szło dobrze i skończyłoby się pomyślnie, gdyby nie Aleksander Maliszewski. Nie zaniedbał pan niczego, aby uchodzić za jego przyjaciela, przypuszczam, że do roli, jaką miał odegrać w umowie z „LYNNDY” przygotowywał pan go od dawna. Orientował się pan, że pańska przyszła ofiara, przy licznych swoich słabostkach miała jedną wielką zaletę. To był człowiek kryształowo uczciwy. Wiedziano o tym w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i dlatego opinia dyrektora technicznego „Maszynimportu” decydowała o transakcji. Pan jednak liczył, że albo Maliszewski będzie przychylny umowie z „LYNNDY”, albo zdoła go pan przekonać, aby w imię starej przyjaźni i nawet wdzięczności, pan go przecież ściągnął do Warszawy, i wyrobił to wysokie stanowisko, wydał pozytywną opinię o maszynach z „LYNNDY”.

— Mąż kiedyś coś o tym wspominał — wtrąciła Henryka Maliszewika. — Nie interesowały mnie wprawdzie te zagadnienia, ale pamiętam, że Olek mówił o tym, iż naczelny dyrektor wywiera na niego jakąś presję, lecz on nie ustąpi. Choćby doszło do zerwania przyjaźni. Zdaje się, że padło wtedy słowo „LYNNDY”. To było przed pół rokiem.

— Rzeczywiście Aleksander Maliszewski nie ustąpił. Nie

pomogło przypieranie go do muru. Wtedy nastąpił pierwszy zamach na jego życie. Po konferencji w „Grand-Hotelu” w pokoju przedstawiciela koncernu, dyrektor techniczny zachorował z objawami zatrucia.

— Zatrul się lekarstwem. Łykał codziennie niezliczone ilości najrozmaitszych medykamentów — odparł ten zarzut Kowalewski — koń by się tym otrul.

— Tej próby zbrodni nie dowiodę panu. Przypuszczam jednak, że maczał pan w tym palce. Zatrucie nie nastąpiło w pokoju handlowca z „LYNNDY”. To byłoby zbyt niebezpieczne pociągnięcie, ale w jakieś dwie godziny później. Zapewne wysypał pan arsenik do kawy, albo odpowiednio „wzmocnił” lekarstwo, które stało w butelce na biurku Maliszewskiego. Jestem skłonny uwierzyć, że nie chodziło panu wówczas o otrucie swojego, jak pan nieraz podkreślał, najlepszego przyjaciela. Raczej chciał go pan zastraszyć, bo sprawa zakupu papierni nie była wtedy jeszcze zapięta na ostatni guzik.

— Zatrucie arsenikiem. Jest proste do wykrycia — wtrącił doktor Niekwasz — a także stosunkowo łat

wo uratować chorego. Mleko, płukanie żołądka...

— Maliszewski w tym czasie przyjmował lek, w którego skład wchodził arsenik. To trucicielowi dawało łatwą wymówkę, że przyjaciel leczył się z takim zapałem, aż przedawkował lekarstwo. Pomimo to Maliszewski nie dał się zastraszyć i nadal nie chciał złożyć ekspertyzy przychylniej dla „LYNNDY”, chociaż tę ekspertyzę, sporządzoną przez specjalistów koncernu, sam mu pan podsunął. O tym, że najpierw napisana została po angielsku, a dopiero później przetłumaczona na język polski wyraźnie świadczą błędy tłumaczenia i odmienna terminologia. Maliszewski tak by nie napisał.

— Mój mąż był purystą językowym. Tępił wszelkie obce terminy.

— Ponieważ decyzja zakupu papierni dojrzewała, a Maliszewski wciąż się opierał, los jego został przesądzony. Pan, jako najbliższy przyjaciel — znał także koleje różnych flirtów swojego podwładnego. Wiedział pan, kiedy z randki będzie wracał późno. Aby dostać się do domu, w którym mieszkał,

mu- siał przechodzić przez jezdnię ulicy. A pan, panie Kowalewski, mieszka przy ulicy Kopernika, drzwi w drzwi z jakimś Antonim Słomiakiem, właścicielem taksówki bagażowej i namiętym rybakiem. Cóż łatwiejszego jak skorzystać z wyjazdu rybaka i posłużyć się jego samochodem? Ale znowu się nie udało. Chybił pan. Okaże się, że w czasie rewizji u pana w domu lub w którejś z szuflad biurka w „Maszynoimportie” znajdziemy sztuczną brodę i wąsy, a może pan je wyrzucił jako zbędne? Przekonamy się. Pomysł z brodą też był dobry. Rzucił podejrzenie od razu na dwie osoby. Na lekarza Wildmana i na inżyniera Michała Senowicza. Miał czy nie miał powodu, był on szalenie zazdrosny o swoją żonę, której łaski postanowił zdobyć Maliszewski. Obaj ci mężczyźni nosili brody i obaj, kiedy pan wreszcie dopiął celu, znaleźli się na naszej liście podejrzanych o dokonanie zbrodni.

— Senowicz miał też brodę? — zdziwił się pułkownik.

— Zgolił ją niedawno — wyjaśnił major — Maliszewski był histerykiem, stale się na coś skarżącym. Takiemu człowiekowi łatwo było wmówić, że ma zapalenia wyrostka robaczkowego. Pan Kowalewski leżał w szpitalu przy Zielnej, znał doskonale ten teren i stosunki panujące w zakładzie. Zwłaszcza znał doskonale legendę, jaka otaczała jednego z lekarzy, Pawła Wildmana. Przekonanie Maliszewskiego o konieczności natychmiastowej operacji, tym bardziej, że czekały go dłuższe wyjazdy zagraniczne, nie przedstawiało trudności. Potem naczelny dyrektor „Maszynoimportu” rozwinął niesłychaną energię dla zapewnienia przyjacielowi specjalnych przywilejów i osobnej separatu. Drobne przeszkody udało się pomyślnie pokonać.

— Chciałbym dorzucić — wtrącił doktor Niekwasz — że pan Maliszewski miał naprawdę stan zapalny, ale niezbyt groźny i nie wymagający zabiegu chirurgicznego.

— Tym łatwiej powiódł się plan pana Kowalewskiego umieszczenia Maliszewskiego w szpitalu. Teraz nastąpił drugi akt dramatu. Po operacji mniej więcej w dziesięć godzin później, w szpitalu zjawia się człowiek z brodą ubrany w strój lekarza. Kręci się w pobliżu telefonu umieszczonego na ścianie

przy klatce schodowej w gmachu chirurgii. Punktualnie o umówionej godzinie rozlega się dzwonek telefonu. Fałszywy lekarz podnosi słuchawkę, obiecuje wezwać pielęgniarkę i idzie na drugie piętro, na oddział chirurgiczny. Tam szybko przemierza pusty o tej porze korytarz, bo co zdrowsi pacjenci zgromadzeni są w świetlicy i oglądają telewizję, reszta leży w swoich pokojach. Pseudolekarz otwiera separatkę i oznajmia dyżurującej przy chorym Elżbiecie Rafalskiej, że jest do niej telefon. Może odejść spokojnie od pacjenta, bo w tym czasie on zaopiekuje się Maliszewskim. W separacie jest ciemno. Chorzy po operacji zazwyczaj skarżą się na ból oczu. Zwłaszcza krótkowidze. Rafalska nie widzi dokładnie twarzy lekarza, zauważa jedynie jego brodę. A brodę w szpitalu nosi tylko Paweł Wildman. Pielęgniarka mało zna tego lekarza, nigdy z nim nie rozmawiała. Ale ma zaufanie do stroju lekarskiego. Wychodzi z separatki.

— Mąż był krótkowidzem. Nosił szkła: minus pięć dioptrii — wyjaśniła Maliszewska.

— Fałszywy lekarz zostaje sam na sam z chorym. Tu mogą być dwa warianty: albo Maliszewski go nie poznał, albo pan Kowalewski rozpoznany wyjaśnił przyjacielowi, że udało mu się okpić całą służbę szpitalną, aby odwiedzić swojego druha. Przypuszczam jednak, że pierwsza wersja jest bardziej prawdziwa. Sztuczna broda, wąsy i duże okulary bardzo zmieniają twarz. Lekarz nachyla się nad chorym i daje mu parę pastylek na sen. Następnie nalewa pełną szklankę wody i pozwala Maliszewskiemu popić lekarstwo. Pacjent cierpi od kilku godzin na pragnienie. Chętnie wypija podany mu płyn. Wraca pielęgniarka, lekarz wychodzi. Morderstwo zostało dokonane. Chory za kilkanaście minut uśnie. Wypity płyn spowoduje gwałtowne ruchy jelit. Podwiązka założona na arterii musi się zsunąć. Nastąpi krwotok wewnętrzny. Pielęgniarka niczego nie domyśli się, bo chory będzie mocno spał. Już się z tego snu nie obudzi. Ale pan, panie Kowalewski, popełnił mały błąd. Był pan zdenerwowany i nie od razu udało się panu otworzyć flakonik z pastylkami. Użył pan do tego celu swojego pięknego szczyryka. Nie zauważył pan, że futeralik upadł na podłogę. Pod łóżko

chorego. Zapomniał pan o tym. Nic dziwnego, nie morduje się ludzi codziennie. Brak wprawy.

— Futeralik z napisem „LYNNDA” — uzupełnił pułkownik.

— Mamy na szczęście świadka, który może potwierdzić, że futeralik ten znaleziono w separacie pod łóżkiem, zaraz po śmierci Maliszewskiego. Ale do końca naszej historii dość daleko. Pan Kowalewski miał w szpitalu dobrą znajomą. Panią doktor Myśliwiec. Od niej dowiadywał się co dzieje się przy Zielnej. Od niej uzyskał wiadomość, że doktor Niekwasz coś podejrzewa i zaczyna rozpytywać pielęgniarki. Rozmawiał również z Rafalską. Przystępcę ogarnia przerażenie. Boi się, że pielęgniarka powie o odwiedzinach doktora Wildmana w separacie, a lekarz temu zaprzeczy. Sprawa może się wydać. Samochód Alojzego Słomiaka przydaje się jeszcze raz. Tym razem poszło zrzęcniej. Rafalska ginie na jezdni ulicy Stołecznej.

— Nie chcę dłużej słuchać tych banaluków — przerwał Kowalewski. — W pańskim opowiadaniu brak logiki. Morderstwo za pomocą szklanki wody? Zwykła fantazja.

— To rzeczywistość — zaprzeczył doktor Niekwasz — płyn podany mniej więcej w dziesięć godzin po zabiegu zazwyczaj wywołuje ostre ruchy jelit. Dlatego tak się przestrzega, aby chorym po operacji nie dawano niczego do picia.

— Nie jestem lekarzem. Nie miałem o tym zielonego pojęcia.

— Owszem. Miał pan. Przede wszystkim leżał pan prawie miesiąc w szpitalu Tam łatwo dowiedzieć się, dlaczego operowanym nie pozwalają pić. Każda pielęgniarka to panu powie A poza tym przed piętnastu laty pan nie był jeszcze potężnym dyrektorem centrali handlu zagranicznego, lecz tylko skromnym urzędnikiem w prokuraturze we Wrocławiu. Dziwnym trafem w rejonie, który prowadził średztwo w sprawie członków „Klubu 44” i zabójstwa „Czarnego Romcia”. „Czarny Romcio” zmarł po wypiciu szklanki kompotu. Woda i kompot działają jednakowo.

— W ogóle chodzi o każdy płyn, lub nawet półpłynny pokarm — wyjaśnił chirurg.

— Aleksander Maliszewski zmarł, a właściwie został

zamordowany czternastego czerwca. A piętnastego czerwca „Maszynoimport” przesłał do Ministerstwa Handlu Zagranicznego ekspertyzę w sprawie oferty „LYNNDY”. Do ekspertyzy dołączono pismo przewodnie dyrektora Kowalewskiego, który wypowiada się przeciwko tej ofercie. Ale dyrektor Kowalewski doskonale wiedział, że zadecyduje głos fachowca, inżyniera magistra po dwóch fakultetach Politechniki, a nie prawnika. Zresztą zastrzeżenia dyrektora Kowalewskiego były raczej natury formalnej. Nie poparto ich żadnym argumentem. I tu pan panie Kowalewski popełnił drugi błąd. Równie poważny jak zgubienie futeralika.

— Co pan jeszcze wymyśli? — spytał dyrektor, ale w jego głosie zabrakło pewności i arogancji, z jaką przed tym traktował oficera milicji.

— Obydwa dokumenty, zarówno ekspertyza, jak i pismo przewodnie dyrektora Kowalewskiego podpisane są tym samym długopisem. Tusz jest pochodzenia zagranicznego i ma niespotykany w Polsce fioleto - niebieski kolor. Kulka długopisu trochę się zacina, co powoduje zadrapania papieru. Jestem pewien, że ten długopis znajdziemy w pańskiej kieszeni. Znam się trochę na grafologii i moim zdaniem obydwie dokumenty podpisano nie tylko jednym długopisem, ale i jedną ręką. Moje spostrzeżenia na pewno potwierdzi ekspertyza fachowców. Maliszewski musiał umrzeć, żeby jego podpis znalazł się pod przychylną opinią o maszynach „LYNNDY”. Tak, to był drugi błąd. Gdyby nie ten długopis może nie zwróciłbym uwagi na charakterystyczne cechy obydwu podpisów i nie rozszyfrował pańskiej kombinacji. A ostatecznie zgubiła pana zbyt wielka zachłanność. Czy naprawdę nie mógł się pan obyć bez kosztownych drobiazgów z firmy „LYNNDY”? A kiedy pan zgubił futeralik, nie mógł pan rozstać się ze scyzorykiem. Trzeba go było natychmiast wyrzucić... Proszę go pokazać!

Kowalewski nie drgnął.

— Niech pan mnie nie zmusza, abym zawołał milicjantów i kazał im użyć siły. I niech pan się nie łudzi, że się na to nie zdecyduje.

— Ulegam przemocy — dyrektor sięgnął do kieszeni i położył na stole futeralik z jego zawartością.

Oficer milicji wyciągnął mały, zgrabny scyzoryczek. Na perłowej masie nabite były złote litery „LYNNDA”. Identyczne jak na futerale.

— Proszę mi wymienić chociaż jedną w Polsce osobę, która ma podobny przyrząd?

— Maliszewski miał taki sam — szybko odpowiedział Kowalewski — to futeralik na jego scyzoryk leżał w szpitalu. Ja swój zgubiłem znacznie wcześniej...

— Nieprawda! — zaprotestowała Henryka Maliszewska — Olek nigdy nie przyjął od nikogo żadnego prezentu. Tym bardziej nie wzięłyby tak kosztownego drobiazgu od firmy, o której miał wydać opinię.

— Zgubił pan znacznie wcześniej i gdzie indziej, a jednak wziął pan ten futeralik od doktora Niekwasza. Dlaczego? — zapytał pułkownik Niemiroch.

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

— Ja już skończyłem — stwierdził major Kaczanowski — wszystko co powiedziałem dokumentuję fakty. Jeżeli moje oskarżenie jest fałszywe ma pan prawo się bronić. Niech pan dowiedzie, że było inaczej.

Stanisław Kowalewski spuścił głowę.

Milczał.

KONIEC

Czytelnikom spoza Warszawy autor winien jest parę wyjaśnień. Przede wszystkim Zielna to mała uliczka leżąca na tyłach Marszałkowskiej. Stoi tam tylko kilka domów i nigdy nie było żadnego szpitala. Także, niestety nie zakupiliśmy za granicą wielkiej wytwórni papieru. Może dlatego, że koncert „LYNNDA” nigdy nie istniał. Wszystko co przeczytać można w tej powieści autor przepisał z sufitu w swoim pokoju. Jeśli się to komuś podoba, bardzo się cieszę, jeśli nie — przepraszam.

JERZY EDIGEY

Ebook zdygitalizowany z „gazetowej” wersji tej książki,
która ukazywała się w „Dzienniku Zachodnim”
od 22 października do 8 grudnia 1973 roku.

